













**TANIE**  
**ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI**  
**ELIZY ORZESZKOWÉJ.**

---

**Tom XXV.**  
**P o m p a l i Ń s c y.**



**WARSZAWA.**  
Własność, nakład i druk S. Lewentala.  
Nowy Świat Nr. 41.  
**1885.**



ELIZA PRZESZKOWA.

# POMPALIŃSCY.

POWIEŚĆ

w dwóch częściach.

---

Część pierwsza.

---

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

*Rogowski*

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy Świat Nr. 41.

1885.



Доволено цензурою.  
Варшава, 24 Декабря 1885 года.

2554  
<http://rcin.org.pl>

**CZĘŚĆ I.**





## ROZDZIAŁ I.

---

Wzywanie pomocy Muz przed rozpoczęciem pisania nie jest rzeczą czasów naszych. Było to kiedyś mową powszechną, ale być przestało, odkąd, pod wpływem szerzącej się w świecie poziomej prozy, słońce zaniechało, w języku poetów, jeździć po firmamencie ognistym wozem, księżyc utracił wdzięczne miano Dyany, jędza nazwaną została nie Megerą, lecz jędzą, a Dafnis i Chlorynna ustąpiły miejsca Pawłowi i Marysi. W owym-to właśnie czasie, gdy mowa bogów tak znakomitą ulegała przemianie, jeden z wielkich wieszczów zachodu, zapytany: co mianowicie, wobec nowego porządku wyobrażeń i wyrażeń, powie on o człowieku, powierzającym łódź przeznaczeń swoich głębiom ponurego państwa, nad którym panuje straszliwy trójząb Neptuna? — odrzekł: — powiem po prostu: wypływa na morze. Co za ska-

żenie smaku! Jaka gminna prostaczość słowa! Jakże wyraźnie uczuć się już tu daje powolne znikanie złotych i srebrnych wieków ludzkości, a nadciąganie żelaznego, owego żelaznego wieku, w którym wodna puchlina, tak serca, jak wyobraźni, jak stylu, zaszczytnym odznaczeniem być przestanie, a ludzkość pracować pocznie na to, aby módz nazywać prawdę, jakkolwiek-by gorzką była—prawdą, a głupstwo, jakkolwiek różowe — głupstwem!

Tak, a przecież i dla obecnie piszących istnieją takie momenta, w których, na widok podnoszącego się przed nimi zadania, czują oni całą słabość, całą nicość swych sił przyrodzonych, i radzi-by byli przyzwać sobie ku pomocy wszystkich mieszkańców starożytnego Helikonu, posiadać w pamięci swój wszystkie mitologie starożytne i inne, napełnić słownik swój wszystkimi najwspanialszemi epitetami, metaforami i allegoryami, aby módz dokładnie określić wielkość opisywanego przedmiotu, i w jak najdostatniejszy sposób przedstawić go razem i polecić współczuciu przyszłej rzeszy czytelników.

Taki-to właśnie moment przebywam, łaskawy czytelniku, rozpoczynając powieść tę, rozpoczynając ją z gorzkim zwątpieniem o siłach mych, z wewnętrznym westchnieniem do wszystkich bóstw, które dotąd opiekować się piórem mém i wspierać je raczyły, rozpoczynając ją z trwogą niepomierną i uroczystym nastrojem ducha; albowiem opiewać mi w niej przy-

chodzi dostojny i całej parafii méj znany ród: Hrabów Czólno Don-Don Pompalińskich.

Jakże opiewać go będę? Czy świetne zjawisko to obejmę w całości, poczynając od piérwszej chwili, w której zajaśniało śród świata, do obecnej, od najdawniejszego protoplasty do drobniuchnych terazniejszych odrośli? Nie; zadaniu podobnemu nie podołała-bym nigdy. Jakkolwiek bowiem urodzinom rodu tego towarzyszyły wieszczki różne: dobre i niedobre, takie, które obdarzały go sownicę, i takie, które go niczém wcale nie obdarzyły; nie potrafiła-bym nigdy opisać wiernie, wyliczyć szczegółowo, i w jaki taki artystyczny ład ułożyć wszystkich splendorów i kolei losu, łączących się w pamięci méj z pojęciem rodu tego.

Wolę więc poprzestać na mniejszém, i pobieżnym zaledwie rzutem oka ogarnąwszy część historyczną przedmiotu, szczegółowo opracować jeden tylko epizod, z terazniejszego już istnienia rodu poczerpnięty i z pewną tylko ilością członków jego związek mający, epizod, którego tytuł, gdyby nie wstret mój do wszelkich w ogólności długich i szumnych tytułów, brzmieć-by powinien: *O troskach i zgryzotach, które dotknęły dostojną rodzinę Hrabów Czólno Don-Don Pompalińskich.*

O! były to troski i zgryzoty, o których z pewnością pojęcia nie masz, ty, gminny wyrobniku, pochylający się od świtu do nocy nad twardą glebą, aby



z niej dla spracowanego ciała twego, i wybladłych ust twych dzieci wydobyć odrobinę czarnego, łzami i potem oblanego pożywienia; nie macie o nich pojęcia i wy, matki czułe, spędzające noce bezsenne nad kolebkami dzieci waszych, w trwodze o życie ich lub dołę; ani wy, mężowie uczeni, z krwawym znojem myśli goniący za promieniem prawdy; ani wy, mężowie idei, rzucający się w odmet walk za to, coście uwielbili i ukochali sercem... Były to troski i zgryzoty, godne najczulszych trenów, najżałośniejszych, najmelancholiczniejszych elegii... Ja przecież, nie posiadając z natury najlżejszój ku melancholii skłonności, a w dodatku i nie umiejąc wierszy pisać, przedstawię wam je, czytelnicy, w formie nie trenu, nie elegii, lecz skromnej powiastki, którą chciała-bym nawet uczynić jak najmniej smutną i którą też w wierszu następującym rozpoczynam.

Rozpocząć inaczej nie mogę, jak wytlómaczeniem, niezrozumiałego ci zapewne, czytelniku, znaczenia dwóch wyrazów, poprzedzających bezpośrednio nazwisko Pompalińscy, i ściśle z nazwiskiem tém połączonych, mianowicie: Czółno i Don-Don.

Owóż Czółno—to herb; a Don-Don — przydomek. Zkąd się zaś wzięły i jak powstały, i herb, i przydomek, co wiem, to opowiem.

Ród Pompalińskich najżywszym jaśnieje blaskiem w miejscowości, w której szumią ostatki puszcz niegdyś wspaniałych i sławnych, Niemen toczy szerokie,



poważne swe fale, najbujniejsza wzrasta boćwina i najsmaczniejsze w świecie całym wyrabiają się kielbasy—słowem: na Litwie.

Najlżejszój nie ulega wątpliwości, że istnienie rodu tego datuje od czasów niesłychanie dawnych. Są tacy, którzy mniemają i dowodzą, że pierwszym protoplastą jego był jeden z dwunastu Wojewodów, którzy rządili przed królem Mieczysławem jeszcze i ojcem jego, Piastem. Inni, a między tymi i sam dziś żyjący hrabia Światosław Pompaliński, utrzymują, iż nie jeden z dwunastu Wojewodów Polskich, ale pewien wielki wódz Rzymski, który odznaczył się tém mianowicie, iż obalił w gruzy kilka miast kwitnących i położył koniec życiu niesłychanej ilości ludzi, był pierwszym założycielem rodu, którego on, Hrabia Światosław, jest obecnie głową i główną ozdobą. Niezadowolniony jednak takim wywodem, brat hrabiego Światosława, hrabia August, domyśla się i domysł swój niezbitemi dowodami wkrótce stwierdzić przyrzeka, iż ród Pompalińskich wywodzić się właściwie powinien nie od słynnego wodza Rzymskiego, ani tém bardziej od Wojewody Polskiego, ale od jednego z owych walecznych i bohaterskich braci Machabeuszów, o których przecie świat cały wie, jakimi byli gorącymi patryotami i niezłomnymi rycerzami.

Wspomnienie jednak o Machabeuszach sprowadza, nie wiem prawdziwie dlaczego, wyraz niesmaku

na oblicze hrabiego Światosława i wywołuje zwykle spór, delikatny zresztą i etykietalny, pomiędzy nim, a nieco lekkomyślnym bratem jego, spór, który, gdy raz wznieconym został przy wytwornie zastawionym stole hrabiego Światosława, jeden z biesiadników, przeżuwający właśnie ostatni kąsek pasztetu z jarząbków i niosący do ust kielich wybornego węgryna, uczynił wniosek, że obaj dostojni bracia, jakkolwiek dostojni i wysoce uczeni, tym razem tylko i całkiem wyjątkowo, znajdują się w błędzie; początku bowiem rodu Pompalińskich szukać należy ani w kronikach Rzymskich, ani w dziejach Izraelskich, ale w owój całkiem przedhistorycznej epoce, której ślady odkrywają się dziś oczom geologów i antropologów, w postaci jaskiń napełnionych zmieszaniem ze sobą kośćmi ludzkimi, lwiami i niedźwiedziami, czyli, że pierwszego w świecie Pompalińskiego szukać należy nie gdzieindziej, tylko pomiędzy ludźmi kopalnymi.

Podobne jednak twierdzenie, jako opierające się na geologii i antropologii, zakrawało mocno na herezję, i przypaść nie mogło do smaku ściślej i goręcej ortodoxyi hrabiny Wiktoryi Pompalińskiej, z domu księżniczki X., wdowy po zgasłym oddawna hrabi Jarosławie, trzecim i najmłodszym z pomiędzy trzech dostojnych hrabiów - braci, matki dwu w kwiecie wieku obecnie zostających, a stanowiących świetną nadzieję rodu, hrabiów-braci: Mścisława i Cezarego.

Hrabina Wiktorya, po długim rozmyślaniu nad wnioskiem biesiadnika, który wydawał się jój więcej grzesznym, niż prawowiernym, udała się do spowiednika swego, *alias* dyrektora swego sumienia, z zapytaniem: czy prawidła prawomyślności pozwalają wierzyć w epoki przedhistoryczne, w geologią, antropologią, jaskinie i ludzi kopalnych. Na co gdy dyrektor sumienia odpowiedział, że: epoki przedhistorycznej nie było wcale żadnej i być nie mogło, albowiem dzieje świata od jego stworzenia stoją najwyraźniej i jak na dłoni opisane w księgach Genezy, Królów, Sędziów, Estery, Paralipomenon i t. d., że następnie geologia i antropologia, a zatem jaskinie i ludzie kopalni, są niczem innym, jak wymysłami półmędrków i wybrykami demokratycznymi, mogącemi tylko splamić czystość wyobraźni i zmącić spokój myśli tak nieskazitelnej niewiasty i arystokratycznej damy, jak hrabina Wiktorya; hrabina Wiktorya przestała już całkiem wierzyć w legendę o Pompalińskim kopalnym, a marzyła natomiast o tém, że, jako ludzie pochodzą nie z jaskiń, lecz z raju, pierwszym Pompalińskim musiał być tedy ktokolwiek z mieszkańców tego miejsca rozkoszy, kto wie? czy nie sam nawet Adam, mąż Ewy, a ojciec ludzkości.

Wszystkie te jednak spory, dochodzenia, domysły, należą już dziś do minionej przeszłości; brzmiały one dość długo, ale już przebrzmiały, pozostawiając po sobie w umysłach zarówno interesowanych osób, jak



i tych, którzy je najbliżej otaczają, tę pewność niezbitą, że ród Pompalińskich jest nadzwyczaj starożytnym rodem, i na mocy tak starożytności swój, jak posiadanych przez się bogactw, ma prawo stać na jednej linii z najstarożytniejszemi i najbardziej szanownemi rodami kraju naszego, ba, całej nawet Europy.

Nieszczęściem, wiek nasz jest, jak wiadomo, wiekiem sceptycyzmu i nieustających nigdy kontrawersyi. Jakkolwiek więc spory i niepewności wszelkie, pod powyższym względem zachodzące, oddawna już umilkły w łonie samej rodziny, i w łonach wielu zresztą ludzi, którzy mają zaszczyt jeść, pić i oddychać w bezpośredniej jej bliskości; w oddali przecież, wśród nikczemnego, po niskich poziomach czołgającego się plebsu, krążą o przedmiocie tym różne szczególne przypuszczenia i wcale dziwne opowiadają się powieści.

I tak: utrzymują niektórzy, że najwyraźniejszym dowodem głębokiej starożytności świętego dziś rodu zdaje się być to właśnie, iż początki jego giną w mrokach przeszłości tak dalece, że wspomnienia o nich darmo-by szukać w jakimkolwiek kronikarzu, historyku, lub heraldyku, nie już izraelskim lub rzymskim, ale po prostu polskim. Milczy o rodzie tym Gall, i milczy Kadłubek, milczą Długosz, i Bielski, i Strykowski, milczą Paprocki i Niesiecki, milczą Naruszewicz, Lelewel, Szujski i Szajnocha. Daremnie



wertujesz dzieła wszystkich wyż wymienianych szpę-  
raczy i mędrców, daremnie na karcie każdój, każdą  
wielką literę, zapowiadającą imię własne, chciwém  
chwytasz okiem: Potoccy-to, Zamoyscy, Tarnowscy,  
Sapiehowie, Sanguszkowie, Lubomirscy, ale — nie  
Pompalińscy. O Pompalińch w księgach rodzaju ary-  
stokratycznego ani słychnu!

Szczególne wydarzenie! Ja przecież, nie posiadają-  
jąc w sercu mém ani źdźbła złośliwości, pełna zresztą  
czci i uroczystego poważania dla wszystkiego, co wiel-  
kie i potężne, wydarzenie to na dobre wytlómaczyć  
pragnę. Być może, iż wszyscy, wyż wspomnieni kro-  
nikarze, historycy i heraldycy, na pozór tylko byli  
takimi skrzętnymi zbieraczami i sumiennymi praco-  
wnikami, za jakich świat zwykł ich uważać, w grun-  
cie zaś dopuszczali się grzesznego niedbalstwa i kary-  
godnych, doprawdy, opuszczeń. Wszak bywają na  
ziemi sławy niezasłużone! Być może jeszcze, iż za-  
chodziły tu intrygi jakież, przyczyny osobiste cał-  
kiem, wzajemne niechęci, urazy; że którykolwiek z ro-  
du Pompalińskich pokłócił się o starostwo naprzy-  
kład, lub kasztelańskie krzesło z Marcinem Gallem,  
inny z Długoszem, inny jeszcze z Paprockim, inny  
jeszcze w turniejach patryotycznych prześcignął Le-  
lewela, inny potrafił nie chcąc ślepego Szajnochę, lub  
z niedostateczném uszanowaniem słucał uniwersy-  
teckiego wykładu profesora Szujskiego, za co wszyst-  
ko mszcząc się, mężowie ci, zaniedbali znieawidzone

przez się imię polecić czci i pamięci potomnych, i za-  
grzebali je grubą warstwą niezłomnego milczenia.  
O! tak! Bywają wszak na świecie stronności i niesłu-  
szności takie!

Wszystko powyższe jednak stanowi dla zajmują-  
cego nas rodu nieprzyjemność, że tak powiem, nega-  
tywną tylko. W innych wersjach przytrafiają się  
nieprzyjemności afirmatywnej już natury. Tak na-  
przykład: niedawno jeszcze poumierali ludzie, pamię-  
tający czas, w którym, przed stu około laty, wielkie  
jezioro nasze napełniło się wodą strasznie mętną. By-  
li podówczas tacy, którzy z całej mocy głów swych  
i rąk usiłowali wodę tę oczyszczać i do stanu spokoj-  
nej, kryształowej toni doprowadzać. Nie udało się  
biedakom. Ale też i na odwrót—istnieli i tacy, któ-  
rzy „nad rzekami Babilonu usiadłszy”, zatopili w to-  
ni zmaconej długie, kręto wijące się wędkę. Był-że to,  
był połów obfity! Owóz ci, co niedawno poumierali,  
a przed śmiercią o starych dziejach dzieciom i wna-  
kom swym opowiadać lubili, gwarzyli jakoś... na-pół  
nieprzytomnie zapewne, że niby... w pośród rybaków  
owych widziano... ach! okropna to potwarz, której  
usta moje wypowiedzieć odrazu niemogą!.. że tedy po-  
śród rybaków owych... znajdował się i... (odwagi pió-  
ro moje! odwagi!) i ojciec hrabiów Światosława, Au-  
gusta i Jarosława, że... był on jakoby rybakiem bar-  
dzo zręcznym, bo same złote rybki czepiały się jego  
wędkę, że jednak podówczas jeszcze ani hrabia, ani



żadnym wcale wielkim panem nie był, i wtedy dopiero, gdy już owych ryb wiele, wiele nałowił, stał się wielkim panem (choć zawsze jeszcze nie hrabią), nabył ogromne dobra i zaczął w nich stawiać pałac tak wielki, tak wielki, że dotąd jeszcze budować się on nie przestaje, a nawet, według przepowiedni znawców, budować się będzie, jak katedra kolońska, przez wieków siedm.

Nie na tém jednak koniec kalumnii. Zkąd bowiem wziął się ów dzielny rybak? Był synem flisaka, odpowiadają kalumniatorzy. Czém są flisacy, wiedzą dobrze wszyscy, nad brzegami rzek spławnych mieszkający.

Owóż rodzic rybaka, wedle powyżej wymienionych kalumniatorów, był jakoby flisakiem na jednej z *Wicin*, zbożem naładowanej, a rok rocznie po spławnych falach Niemna żeglującej ku Królewcowi, czy innym tam miejscom wielkich targowisk nadmorskich. Ztąd tedy, czyli od téj niby wiciny, powstało Czółno, dotąd na herbie Pompalińskich, śród bladobłękitnego tła, niby śród fal rzecznych, figurujące, a Czółno, nie zaś Wicina, jakby z pozorów być powinno, dlatego mianowicie, że Wicina, jako nazwa czysto miejscowa, litewska, posiadała-by brzmienie i kształt na tarczy, nie dla wszystkich plemion ucywilizowanego świata zrozumiałe, gdy tymczasem czółnem, jak wiadomo, posługują się plemiona wszelkie. Oto więc, wedle mniemania plebsu, rodowód herbu.

Z przydomkiem inna zupełnie historia. Zjawił się on obok nazwiska wcale niedawno, wtedy mianowicie, gdy w prowincyi, w której położone są dobra Pompalińskich, zjawiała się pewna choroba umysłowa, dotąd przez psychiatryą nieznaną i niebadaną, a nosząca specjalną nazwę: przydomkomanii. Nagle jednocześnie znakomita liczba głów chorobie téj podlegała. Wszyscy, cokolwiek choć-by dostojniejsi obywatele powiatu N., zapragnęli na gwałt mieć przydomki. Rozpoczęło się ogólne grzebanie w familijnych archiwach, nastąpiły formalne obłężenia tak zwanych deputacyi szlacheckich, czyli biur, mających w swém posiadaniu heraldyczne wywody miejscowej szlachty i trudniącój się ich legalizowaniem. Pracowano w pocie czoła nad rozkopywaniem dawno zgasłych i zapomnianych próchen przeszłości, nad wznawianiem, a jeśli trzeba, i kleceniem na nowo jakich takich, byle odrobinę prawdopodobnych, przyrostków i dodatków do głównego imienia.

Przyznać téż trzeba, że mozoły podjęte nie poszły na marne i że mnóstwo imion wyłoniło się z pyłu wstrząśniętych aż do posad archiwów, z odnowionym lub nowym, a zawsze szumnie brzmiącym, splendorem.

Tak naprzykład, znani w parafii całej z wielu plemiennych cnót naszych i przymiotów, jako to: z rozrzutności, próżniactwa i, wszelkie granice higieną i moralnością przepisane przechodzącego, ducha



erotyczności, bracia Tutunfowiczowie nazywać się po-  
częli: Tynf Tutunfowiczami (z powodu czego złośliwi  
mawiali, że przydomek większą ma wartość od wła-  
ścicieli, bo jest w nim tynf, wtedy, gdy jego właścicie-  
le tynfa nie są warci). Imci pan Kobyłkowski wy-  
drukował na wizytowym bilecie swym Koryto-Kobył-  
kowski; Trzewikowski anonsował się w arystokracy-  
cznych salonach, jako Perła-Trzewikowski; Wyrydło  
został Jastrząb-Wyrydłem; Kniks — Trzaska-Kniksem  
i t. d.

Przydomki, słowem, stały się w one czasy modą  
powszechną, pożądaniem najwyższém, zaszczytem ko-  
niecznym, bez którego niepodobna było porządnemu  
człowiekowi przyzwoicie zaprezentować się w świecie,  
ani téż osobistój i szlacheckiej swój godności dosta-  
tecznie ochronić przed napływającą coraz gwałto-  
wniej falą gminnych, demokratycznych roszczeń  
i wyobrażeń. Nic-by zresztą w staraniach tych i upię-  
kszeniach się pracowitych osobliwego nie było, gdy-  
by nie ta szczególna okoliczność, iż zaszły one w tym  
właśnie czasie, który bezpośrednio nastąpił po wiel-  
kiej, wstrząsającej reformie społecznych stosunków.  
Należy-ż, proszę państwa, opuszczać beczynnje ręce  
i poddawać się zniechęceniui dlatego, że szczęście  
i bogactwa zniknęły? Przeciwnie, tém gorliwiiej, tém  
usilniej pracować należy, aby straty poniesio-  
ne powetować i nowym zajaśnić blaskiem. Kto  
płacze, ten płacze, kto głodny, ten głodny, a kto mo-

że do uratowanego domu swego dodać jeszcze przydomek, dlaczegoż-by uczynić tego nie miał, ku większej chwale swojej i narodu swego, ku pokazaniu światu całemu, że nietylko istniejemy jeszcze, ale ba! o świetność istnień naszych skutecznie starać się potrafimy!

Ztąd wniosek, że istnieje na ziemi pewien gatunek ludzi, do którego w żaden sposób zastosować się nie da Darwinowskie prawo, wykształcania się organizmów wedle potrzeb i warunków otaczających, który jednakim jest wszędzie i zawsze, w szczęściu i niedoli, przed burzą i po burzy.

Z tém wszystkiém, mogliż Pompalińscy pozostać w tyle tam, gdzie dokonywały się tak szlachetne i pełne chwały zachody? Hrabiowie zresztą Światosław i August, jako ludzie wiekowi i czujący się najzupełniej już wyższymi nad wszelkie wyższości, przez innych zdobyte, lub zdobytymi być mogące, nie myśleliby może tak dalece o swój, w rodzinnym powiecie ich grasującej, chorobie przydomkowej, i nie raczyli-by trudzić się dlatego, aby nie dać się ubiedz w dostojenstwach jakimś tam Tutunfowiczom lub Kniksom. Ale pomyślał o tém wszystkiém bardzo gorliwie młody hrabia Mieczysław, syn hrabiny Wiktoryi, z domu księżniczki X. i zgasłego oddawna najmłodszego z trzech hrabiów-braci, hrabiego Jarosława. Hrabia Mścisław osobiście nawet, w interesie przydomku swego, zjechał na Litwę i nie ustawał w staraniach a za-



chodach póty, aż w papierach familijnych znalazł najwyraźniej wypisane, (co zresztą znaném mu już było z podań rodzinnych i portretów, okrywających ściany sali jadalnej hrabiego stryja jego), że w dość odległym już wieku, dwaj Pompalińscy ożenieni byli z kolei z dwiema hiszpankami wielkich rodów, córkami grandów i udzielnymi panów, których imiona nieodmiennie poprzedzanemi bywały zgłoską Don. Dwie hiszpanki, córki grandów, w rodzinie — dwa tedy Don, co złożone razem układało się we wcale dźwięczny przydomek, mający w dodatku nad Tynfem, Korytem, Perłą i t. d., tę niezaprzeczoną wyższość, że, gdy tamte brzmiały gminnie, po polsku, Don-Do wydawał dźwięk jakoby poruszanój struny gitary hiszpańskiej, i nasuwał wyobraźni cały szereg poetycznych, cudzoziemskich obrazów, jako to: płaszczów aksamitnych, po almawiwsku na ramiona zarzucających, kapeluszy najeżonych strusiami piórami i t. d. i t. d.

Powiadają, że czyn ów hrabiego Mściława, w postaci przydomka pojawiwszy się wśród świata, obudził w powiecie niemało szlachetnych współzawodnictw i wysileń, że mianowicie dwaj obywatele miejscowi, odznaczyli się w tym względzie nadzwyczaj bujną pomysłowością, wypisując przed nazwiskami swemi, jeden, francuzkie: De-De, drugi niemieckie Von-Von...

Pomysły te przecież, jakkolwiek świetne, nie zdołały zakorzenieć się w rodzinnym gruncie i, gdy hiszpańskie Don-Don zostało przyjęte powszechnym oklaskiem i uwielbieniem, francuzkie De-De i niemieckie Von-Von, wyśmiane i odtrącone, zniknęły wkrótce z podpisów na listach i kart wizytowych tak zupełnie, jakby nigdy nie istniały.

W czém nowy dowód prawdziwości przysłowia, że co wolno Jowiszowi, nie wolno wołowi, czyli, że co świat uznaje chlubą i zasługą u milionowych panów, to wżgardą i szyderstwem okrywa u jakichś tam odłużonych, lub ledwie dostatnich szlachetek.

Tak więc, wylegitymowawszy przed czytelnikiem pochodzenie i znaczenie herbu i przydomka, powinna-bym jeszcze powiedzieć coś i o tytule hrabio-wskim, który posiada także swą, tragicznych przejść niepozbawioną, historią.

Że jednak główne i najtragiczniejsze zajście używaniem tytułu tego spowodowane, stanowi już integralną część epizodu, mającego składać treść niniejszej opowieści, że, co więcej, rozpoczęło ono właśnie cały szereg trosk tych i zgryzot, które, dostojną rodzinę nawiedziwszy, mnie pióro do ręki włożyły; wolę więc, przez obawę powtarzania się, pozostawić rzecz o tytule dalszym czasom, a kończąc już pobieżny mój zarys historyczny, zaprosić czytelnika do następnego rozdziału, w którym bę-



dzie on miał zaszczyt wstąpić wraz ze mną w wysokie progi pałacu hrabiego Światosława, i osobiście już zapoznać się z kilku głównymi członkami opiewanego przeze mnie rodu.

---

## ROZDZIAŁ II.

---

Hrabia Światosław Pompaliński, niezależnie od wielkich dóbr i ozdobnych rezydencyi dziedzicznych na Litwie, posiadał piękny, obszerny pałac w Warszawie, jedną z głównych ulic miasta tego przyozdabiający. Tu téż od lat już dawnych zamieszkiwał najczęściej, to jest zawsze, ilekroć nie udawał się w lecie do wód, a w zimie do którejś ze stolic europejskich.

Wycieczki te zresztą stały się od pewnego czasu coraz rzadszemi. Interesa zaś majątków litewskich sprawowali stale mnodzy pełnomocnicy, rządcy i oficyaliści, mający tylko obowiązek stawienia się parę razy do roku przed obliczem sędziwego pryncypała ze sprawozdaniami, raportami i intratami.

Hrabia August posiadał także w Warszawie, nie pałac już wprawdzie, ale niewielki, zgrabny pa-

łacyk, istne arcydzieło architektury i wzór komfortu.

Szczęście posiadania w Warszawie pałacu nie przypadło w udziale tylko najmłodszemu z trzech hrabiów braci, hrabiemu Jarosławowi, a to nie dla czego innego, tylko z powodu, że, wzięwszy w działo poojcowskim te właśnie dobra, które zawierały w sobie ów słynny gmach, powyżej do katedry Kolońskiej porównany, a trafniej daleko porównanym być mogący do Watykańskiego niby pałacu na małą skalę, poczytywał sobie za obowiązek, tak przez cześć synowską, jak przez własny honor nakazany, prowadzić dalej jego szeroką i wzniosłą budowę.

Prowadził tedy i, do końca doprowadzić nie zdolawszy, bo z dwustu, wedle rodzicielskiego planu, istnieć mogących komnat, wykończywszy tylko dziewięćdziesiąt ośm, a z piętnastu wież i wieżyczek wzniosłszy w zupełności zaledwie dziewięć, zmarł przy trudzie, testamentem polecając starszemu synowi swemu, Mścisławowi, prowadzenie dalej, a jeśli mu życia i pieniędzy starczy i dokończenie, przez dwa pokolenia już wnoszonego, a tak chlubnego dla rodu, jak i pożytecznego dla ojczyzny, kolosalnego dzieła. Wszystko to jednak doprowadziło do takiego wyniku, że, dźwigając kolosalne dzieło architektoniczne na Litwie, hrabia Jarosław nie już wcale z bruku warszawskiego wydzwignąć nie był w możności, i zamiast mieszkać we własnym pałacu, jak hrabia Świa-



tosław, albo przynajmniej we własnej ślicznej willi, jak hrabia August, zmuszonym się widywał na czas pobytów swych w stolicy najmować, poprostu najmować, pewną wielką kamienicę, trywialnie płacić komorne i barbarzyńsko nazywać się *lokatorem*.

Okoliczność ta szczególnie nieprzyjemną wydawała się hrabinie Wiktoryi, która, będąc z domu, jak już wiadomo, księżniczką X., większą część młodości swój przepędziwszy w Paryżu i przez książęce pochodzenie swe wniosłszy w dom Pompalińskich splendor, domowi temu dotąd nieznanemu, wiedziała dobrze, co i jak dzieć się powinno na przedmieściach Saint-Germain wszech krain i stolic, co i jak należało się urodzeniu jej, położeniu, stosunkom. Cóż czynić jednak, skoro się już raz popełniło mezalians!... A zresztą ów mały Watykan, na Litwie wznoszony, wynagradzał w części przynajmniej i przed światem maskował najętą kamienicę.

Po śmierci wszakże hrabiego Jarosława, zaszlęj wtedy jeszcze, gdy hrabiowie Mściśław i Cezary przechodzili za ledwie z rąk bon Francuzek w ręce guwernerów téjże narodowości, i w dalekiej, dalekiej jeszcze bardzo perspektywie widzieli przed sobą, młode mi krokami ich kierować mającego, preceptora i mentora, labego Lamkowskiego, po śmierci tedy hrabiego Jarosława, owego nieodżałowanego a wytrwałego architekta, hrabia Światosław, jako człek nieżonaty, a z bratową-księżniczką zostający w stosunkach o tyle

przyjacielskich, o ile na to pozwalały prawidła etykiety, bardzo uprzejmie prosił wdowę po młodszym i mniej szczęśliwym bracie, aby podzielić raczyła wraz z synami obszerny pałac jego, w większej połowie stojący pustkami, a posiadający wszystkie warunki dla pomieszczenia się w nim dwóch, chociażby hrabiowskich i z książętami zmieszanych, rodzin.

Hrabina Wiktorya, po pewnych niezbędnych ceregielach i drożeniach się, przedstawienie szwagra przyjęła tém chętniej, ile że był on, i prawdopodobnie na zawsze pozostać miał, niezonatym, a więc bezdzietnym, oprócz dóbr ziemskich posiadał kapitały znaczne, któremi rozporządzać się mógł dowolnie, czy to na rzecz jedyne go syna hrabiego Augusta, czy téż jój, hrabiny Wiktoryi, synów, czy téż może i na ulubioną sobie, a gorliwie przez się uprawianą filantropią. Utrzymywać więc synów swych w jak najbliższym stosunku do tak dostojnego stryja i zdobywać dla nich łaski jego, ze szkodą chociażby trzeciego bratanka i filantropii, wydawało się czulej a troskliwej matce obowiązkiem świętym; pielęgnowanie starości jego i umilanie mu chwil życia samotnych rozkosz i zasługę obiecywało chrześcijańskiej niewieście, która, wtedy właśnie wstępując w dobę życia, pośredniczącą pomiędzy młodością a starością, pierwsze kroki stawiać zaczynała na drodze dewocyi, a zatém i cnót, nierozłącznie z nią związanych, jako to: rezygnacyi, pokory, wyrzeczenia się, miłosierdzia.

Hrabina Wiktorya tedy od lat już kilkunastu mieszkała w pałacu hrabiego Światosława, w którego też ścianach zbiegła znaczna część dzieciństwa i młodości jej synów. Apartament jej, składający się ze znakomitęj ilości salonów, budoarów, gabinetów i pokojów, przedzielonym był z apartamentem właściciela pałacu długą, wąską salą, z jednéj strony oszkloną, a z drugieję obrazami najrozmaitszych rozmiarów obwieszoną, stanowiącą więc dość okazałą i zasobną galeryą malowideł.

Tę-to właśnie galeryą, w pewien biały dzień zimowy, lekkim, acz powolnym i poważnym krokiem przebywała hrabina Wiktorya, dążąc, po poprzedniém naturalnie zaanonsowaniu się, do apartamentów hrabiego szwagra.

Hrabina Wiktorya była kobietą wysokiego wzrostu i pięknej kibici. W postawie jej i poruszeniach, w sposobie trzymania głowy i w wyrazie twarzy białej i delikatnej, acz licznemi już zmarszczkami zbrózdzonej, w spójrzeniu mianowicie wielkich czarnych oczu, dość ognistém jeszcze, pewném siebie, nieco wzgardliwém i niecierpliwém, mało, albo i nic prawie nie odbijały się one cnoty, wspólnie z dewocją praktykowane, a oddawna już, według opinii powszechnéj, hrabinę odznaczające, jako to: rezygnacya, pokora, wyrzeczenie się i t. d.

Był to przecież może pozór tylko fałszywy, lub dawnemi, a bezpowrotnie porzuconemi przyzwyczajenia-



mi wyrobiony. Był to może człowiek stary, który, z tronu ducha nawróconej niewiasty strącony przez człowieka nowego, mścił się na swym pogwałcicielu, okrywając go uparciem purpurą dawniej królewskości swój i wszelkimi oznakami właściwych sobie, acz dziś na bezczynność skazanych cech, jako to: tajonego, lecz wiecznie w głębi wrzącego żalu za wielu minionemi ponętami i urokami życia, dumy, wytworności, pieczołowitej dbałości o piękność, delikatność i przystrój grzesznego ciała. Czarna, lecz z cenniejszą bardzo jedwabnej materji sporządzona i niepomiernie długa szata hrabiny, z poważnym szelestem sunęła po kobiercu, okrywającym posadzkę galeryi; wielka brosza roboty weneckiej, przedstawiająca na okrągłym medalionie bazylikę Świętego Piotra, zapięta u szyi, tonęła na-pół w puchu pajęczych śnieżnych koronek; takąż koronka, niedbale zarzucona na czarny, mocno siwiejący warkocz, nadawała całemu strojowi pozór wytwornego, przedobiedniego *demi negligé*.

Przeszedłszy galeryą obrazów i salę jadalną, zawieszoną familijnemi portretami, wśród których na niepośledniem miejscu figurowały dwie nieboszczki Pompałińskie, z domu grandówny hiszpańskie, hrabina Wiktorya znalazła się w pokoju, w którym, u boku pana swego trzymając się, z francuzką gazetą w rękę, siedział ulubiony kamerdyner hrabiego Światosława. Człek o czarnym fraku i czarnej długiej brodzie, po-

wstał śpiesznie na widok wchodzącej, z powagą złożył na stole numer *Constitutionnela* i postąpił na przód, aby przed dostojnym gościem drzwi komnaty pana swego roztworzyć. Hrabina jednak zatrzymała się u drzwi, w przyległej bowiem komnacie usłyszała rozmawiające głosy.

— *Qui est là?* — zapytała.

— *Monsieur le comte Auguste Pompaliński et monsieur l'abbé Lamkowski* — brzmiała odpowiedź kamerdynera.

Hrabina niedbale skinęła głową, ale z pod spuszczonej powiek jej strzelił promyk nagle ożywionych źrenic, a usta, ponsowe jeszcze, zarysowały wśród otaczających je drobnouchnych zmarszczek ledwie dostrzegalny uśmiech zadowolenia. Uśmiech ten przecież zniknął z błyskawiczną szybkością, bo gdy kamerdyner roztworzył na oścież drzwi przyległego pokoju, dostojna dama miała już na twarzy zwykły sobie wyraz dumnej powagi, przysłonionej z lekka smętkiem i znużeniem.

Pokój, do którego weszła hrabina Wiktorya, był na-pół gabinetem, na-pół salonem. Znajdowały się tam liczne kanapy i fotele, adamaszkim złotawego koloru obite, konsole marmurowe z wielkimi zwierciadłami powyżej, u jednego z okien ogromne biuro, rozmiarami swemi i mnóstwem nagromadzonych na niem przyrządów piśmiennych i papierów przypominające przybytki ministeryalnych prac i rozmyślań;

w jednym kącie posąg słynnego malarza jakiegoś, w drugim popiersie muzyka, a w trzecim olbrzymi *ficus*, wyrastający z marmurowego wazonu i tak wysoki a rozłożysty, że szerokiemi liśćmi swemi okrywał znaczną część wyniosłego sufitu. Czwarty róg pokoju zajmował obszerny, bardzo misternie z marmuru i malachitu cyzelowany kominek, na gzemsach dźwigający dwie smukłe urny, wśród których, niby wśród wspomnień żałobnych, stał, złocistemi ramami objęty, portret panny Mars, słynnej niegdyś śpiewaczki francuzkiej, którą hrabia Światosław w Paryżu znał i w której, jak szeptała kronika wielko-światowa, szalenie się był kochał. Oprócz panny Mars, były tam na ścianach mnogie jeszcze wizerunki kobiet, wsławionych talentem i wdziękami, lecz wszystkie one posiadały pozę i strój *de la dernière convenance*, tak zresztą, jak być powinno w ulubionej komnacie pana poważnego, i poważnie, w towarzystwie rodziny i filantropii, żywot swój kończącego.

W tym tedy gabinecie, czy salonie, znajdowało się w chwili wejścia hrabiny Wiktoryi trzech mężczyzn, niezmiernie różniących się ze sobą tak powierzchownością, jak tém, co było na niej wyrytém. Przed kominkiem, na którym palił się ogień dość szczupły, aby nie zakrawać na mieszczańską lub szlachecką zaburmaszystość i wesołość, siedział w głębokim, niskim fotelu hrabia Światosław, w luźne i wygodne, lecz nadzwyczajnie staranne, *demi-negligé* ubrany, z no-



gami wspartemi o aksamitny podnózek, i pomimo bliskości ognia, ciepłą flanelą, mającą pozór lamparciej skóry, owiniętemi. Hrabia Światosław bowiem oddawna już cierpiał na artretyzm w nogach, która to choroba w dostojnym organizmie jego wspólnie z wielu innemi istnieć musiała, bo twarz jego ściągała, pięknie zarysowana, lecz chuda i blada, nosiła na sobie wyraźne bardzo cechy chorowitości. Rzadki, srebrny włos ocieniał mu czoło wysokie, gęsto zbrudzone, a nie pozbawione cech inteligencji i śladów przepalonych od dawna, lecz gorących niegdyś, namiętności. Oczy szare, duże, patrzyły z pod brwi siwych zimno i zarazem bystro, zwiędłe usta wyrażały chłód i obojętność całkiem arystokratyczną, jakkolwiek w obwisłych kątach ich i w podnoszącym je niekiedy półśmiechu czuć było gorycz, głęboko utajoną i wyrażającą się na zewnątrz lekkim tylko, ostrożnym, wykwinnym szyderstwem.

O kilka kroków od hrabiego Światosława, z młodzieńczą gracją o gzems kominka wsparty, stał o pięć lat od sześćdziesięcio-pięcio-letniego brata swego młodszy, hrabia August. O ile w powierzchowności hrabiego Światosława łączyły się cechy inteligencji wrodzonej, acz może nie w pełni i niedoskonale trafnie rozwiniętej, natury niegdyś ognistej, dystynkcji wielce arystokratycznej i dolegliwej chorowitości, o tyle postać i twarz hrabiego Augusta znamionowały zdrowie doskonałe, wesołość tak wylaną, że aż przekraczającą

w objawach swych, prawidła dystynkcyi i etykiety, doskonałą pewność siebie, zasadzającą się na głębokim przeświadczeniu o wszechstronnój, tak umysłowój, jak fizycznój swój wartości. Więcój krępy niż wysoki, o rumianych, pulchnych policzkach, żywych, błyszczących oczach, gęstych włosach i długich bokobrodach, których głęboka czarność wydawała, przy bliższém przyjrzeniu się, zręczne i staranne używanie sztuki farbiarskiej,—sześćdziesięcioletni hrabia nosił na sobie wszystkie cechy tak zwanój grubój natury, lubującej się w materyalnych stronach życia i użycia.

*Bon vivant, beau mangeur et joyeux compagnon*, jak o naturach podobnych wyrażają się Francuzi, hrabia August był także wielkim zwolennikiem sportu i myśliwstwa, wyścigowemi końmi swemi i posiadaniem przez się znakomitemi gatunkami chartów, wyźłów i ogarów, słynąc na kraj cały, nieledwie że na Europę, i przynosząc tym sposobem ze swój strony grosz sowity do szkatuły, zawierającej chwałę rodową i krajową. To téż od pierwszego zaraz spójrzenia na hrabiego Augusta, zdawać-by się mogło, że na nogach jego koniecznie i nieodmiennie istnieć powinny długie buty angielskie, do końnej jazdy i polowań używane, w dłoni szpicruta lub kielich i na piersi rozpostarta, sosem *piquant* poplamiona, serweta. W istocie téż, długie buty angielskie, serweta, szpicruta i kielich

stanowiły strój i narzędzia, w życiu hrabiego Augusta najpospolitsze.

Tym razem jednak — o dziwy! — zamiast owych sportsmańskich i gastronomicznych insygniów, hrabia miał na sobie ubranie bardzo poważne, mundur bowiem granatowego koloru ze złotymi guzami, pośród których wyryte były różne jakieś dziwacznych kształtów statuetki, rydelki, toporki i garnki. Żadnych żartów, proszę państwa! Był to mundur pewnego Towarzystwa Archeologicznego, które, jakkolwiek istnieć od lat już kilku przestało, na pamiątkę krótkiego istnienia swego, zostawiło swym byłym członkom owe rozdawane przez się, a tajemniczój symboliki pełne ubrania.

Hrabia August dostał się był do towarzystwa tego, sposobem całkiem wypadkowym, nie przez co innego, jeno przez to, że odkryto w dobrach jego stary jakiś kurhan litewski i wygrzebano z kurhanu tego pewną ilość posążków i czerepków pogańskich. Wprawdzie nie on to sam odkrył kurhan i nie on wygrzebywał posążki; stało się to przecież w jego dobrach i za jego wiedzą. Co więcj, posążki i czerepki przez niego właśnie, nie przez kogo innego, ofiarowanemi zostały do zbioru starożytności, przez uczone Towarzystwo posiadane. Za to wszystko został członkiem Towarzystwa i otrzymał prawo na noszenie uczonego munduru, co tak silne na umysł jego wywarło wrażenie, że odtąd — stał się naprawdę uczonym, i to



w najzmudniejszej gałęzi nauk, bo w archeologii. Zbierał, a raczej umyślnie w tym celu przyjętemu sekretarzowi zbierać polecił, wszelkie możliwe do otrzymania stare monety, medale, rzeźby, a nawet książki, ku przechowaniu ich urządził odpowiednio w pałacyku swym dwie spore sale i zasłynął niebawem w świecie, jako skrzętny zbieracz i niezmordowany poszukiwacz historycznych zabytków naszej przeszłości.

Jak więc hrabia Światosław znanym był powszechnie, jako wspaniałomyślny filantrop i protektor sztuk pięknych, tak brat jego uchodził już nie za hodowcę poprawnych ras psich i końskich, ale i o tyle za pracowitego, o ile patriotycznego, uczonego. Jeżeli dodamy, że hrabina Wiktorya ze swój strony słyneła z gorącej pobożności i wszelkich cnót, nierozłącznie z nią związanych, dziwić się nie będziemy porównaniu, uczynionemu tak przez część publiczności, jak przez niektóre arystokratyczno-klerykalne organa prasy peryodycznej, porównaniu, opiewającemu nadzwyczajne podobieństwo dostojnego rodzeństwa do panującej podówczas w pełnej jeszcze chwale i potędze rodziny Bonapartych, wśród której, jak wiadomo, sam cesarz był znakomitym literatem, księżę Napoleon liberalistą i t. d.

Bądź-co-bądź, hrabia August dumnym był zdobytą przez się sławą uczonego, i jakkolwiek Towarzystwo Archeologiczne, którego był członkiem, oddawna już zniknęło z powierzchni ziemi, przywdziewać lubił

mundur z posążkami i rydelkami we wszelkich okolicznościach ważniejszych, takich mianowicie, w których specjalnie reprezentować mu wypadało ród Pompalińskich, a przywdziewając go, z podwójnym samozadowoleniem głąskał długie swe bokobrody i mówił z cicha:

— *Ça fait toujours mousser le nom!*

Trzecim w pokoju znajdującym się mężczyzną był l'abbé Lamkowski, wysoki, szczupły, o rysach ściągłych, bardzo prawidłowych i łagodnych, którym brak wszelkiego zarostu nadawał pozór znacznie młodszy, niż spodziewać się tego można było po kilku srebrnych niteczkach, wijących się w bujnych, ciemnych kędziorach jego włosów. L'abbé, siedząc w pewnym od dwóch braci oddaleniu, białą i bardzo piękną ręką przerzucał kartki albumu, a spuszczone powieki jego, podnosząc się w chwili wejścia hrabiny do pokoju, ukazały wielkie, ciemne źrenice, zamyślane i spokojne na powierzchni, z przytłumionym ogniem na dnie.

Na widok wchodzącej, hrabia Światosław poruszył się w swym fotelu, w zamiarze jakby powstania, ale ból i grube zwoje flaneli udaremniły poryw galanteryi, niewymaganą zresztą bynajmniej, bo hrabina, przyspieszonym krokiem przesunawszy się przez pokój, stała już obok fotelu i, w obie dłonie ujmując długą, chudą rękę szwagra, głosem pełnym miękkią troskliwością mówiła:

— *Bonjour, bonjour! comment donc ça-va-t-il?* jakże się dziś czujesz, *cher frère?*

-- *Merci* — odparł hrabia-szwagier ze słabym uśmiechem — *comme toujours!* jak zwykle.

Hrabia August z rycerską galanterią i zarazem doskonałą salonowością złożył przez mgnienie oka pulchne swe usta na atlasowej ręczce bratowej-księżniczki. L'abbé ograniczył się powstaniem z kanapy i milczącym ukłonem.

— Panowie są dziś tak rannymi gośćmi! — zaczęła hrabina, siadając na fotelu w pobliżu stołu z albumami i zwracając się trochę do hrabiego Augusta, daleko więcej do l'abbé'go.

— *Comment donc!* — zawołał hrabia August nieco zbyt mocno podniesionym głosem, co wprawilo w chwilowe drgnienie jeden z nerwów twarzowych hrabiny — chciałem przecież być jednym z pierwszych dla powitania naszego kochanego Mścisława i powinszowania mu...

— Pan hrabia Światosław — jednocześnie prawie ozwał się l'abbé — był tak dobrym, że zaprosić mię raczył na tę prawdziwą uroczystość familijną, w której, za pośrednictwem kochanego naszego hrabiego Mścisława, usłyszć nam będzie daném echa i wieści ze świętego Grodu, do naszej ziemi wygnania przybyłe.

L'abbé mówił to bardzo cicho, tak, że zniżony, miękki głos jego, wydawał się jakoby jedwabną pod-



szewką podniesionego nazbyt, szorstkiego głosu hrabiego Augusta. To téż hrabina najmniejszej, zda się, nie zwróciła uwagi na słowa szwagra. Wiadomém to zresztą już było całemu wielkiemu światu, że w niezbyt serdecznych zostawała ona stosunkach z hrabią Augustem, którego gruba natura szczególnie wstrętną wydawać się musiała delikatnym jéj uczuciom i wzniosłym pojęciom. To téż i teraz, zwrócona całkiem do l'abbé'go, z lekkim westchnieniem mówić zaczęła:

— *Oh oui!* Mam wszelką nadzieję, że Mścisław przywiezie nam teraz z sobą najwyższe szczęście i najżywszą radość w postaci błogosławieństwa Ojca Świętego, specjalnie rodzinie naszej udzielonego! Wybrane to dziecię! tak młody jeszcze, a tyle już w nim dumy szlacheckiej, dbałości o honor imienia, wytrwałości w dobrych przedsięwzięciach! Wszak prawda, *monsieur l'abbé*, że mam prawo, tym razem tylko, rozminąć się ze świętymi prawami pokory i, jako matka Mścisława, być dumną mojem dziećciem?

Na wdzięczny, pół-żartobliwy uśmiech, ostatnim słowom towarzyszący, l'abbé odpowiedział również uśmiechem i lekkim skinieniem głowy.

— Pani hrabina masz bez zaprzeczenia prawo szczyć się piękném dziełem, któreś, wychowując hrabiego Mścisława, dokonała.

— Z pomocą Bożą..! — szepnęła hrabina — i twoją, *Mr l'abbé*.

— Nic na ziemi dzieć się nie może bez łaski Jego i pomocy — ciszej jeszcze i skromnie wzmiankę o osobie własnej pomijając, odszepnął l'abbé.

Przez cały ciąg rozmowy téj, hrabia Światosław pozostał niemym i nieruchomym. Raz tylko, gdy hrabina Wiktorya mówiła o pokorze, usta jego zarysował szybki i ledwie widzialny uśmiech. Hrabia August za to nie mógł widocznie ustać na miejscu. Chwalenie hrabiego Mścisława wobec milionowego a bezdzietnego brata sprawiało na nim, niewiedzieć dlaczego, dziwnie niemiłe wrażenie. Zwrócony więc do hrabiego Światosława, o ile mógł najmniej głośno rzekł:

— Szkoda wielka, że mój Wilhelm nie znajdował się w Warszawie w czasie téj fatalnej *mezawantury* o tytuł... był-by on niezawodnie, jako starszy, uprzedził Mścisława i sam pojechał do Rzymu...

Ostry promyk wymknął się z oczu hrabiny, która wyrazy te dosłyszała.

— Hrabia Wilhelm bawi obecnie, o ile wiem, w Homburgu — rzekła, patrząc na hrabiego Światosława. Ton jéj mowy słodki był i uprzejmy, ale ileż grotów szyderstwa mieściło się w słowach jéj dla ojcowskiego serca hrabiego Augusta.

— Wilhelm zatrzymał się w Homburgu przejazdem, przejazdem tylko... jedzie ztamtąd do Londynu

w interesach fabryki naszej w Alexinie;—wymówił hrabia August szybko, jękając się nieco i patrząc także na hrabiego Światosława, jakby chciał zbadać, jakie wrażenie słowa hrabiny sprawiły na starszym bracie jego. Ale w jednostajnie wciąż zimnej i milczącej twarzy hrabiego Światosława nie zdradzało się żadne wrażenie.

— Tak? — przeciągle ozwała się hrabina — to szczególnie! a ja słyszałam, że fabryka Alexińska zamknąć się ma dla braku nowych maszyn, które hrabia Wilhelm miał przysłać z za granicy i nie przysłał...

— *Mais, pardonnez moi chère belle soeur...*— zaczął hrabia August, mocno zaczerwieniony:

— *Permettez* — przerwał mu zimny, suchy głos hrabiego Światosława. — Fabryki Alexińskie są już zamknięte. Hrabia Wilhelm przegrał w Homburgu pieniądze, któreśmy mu dali na nowe maszyny.

Mówiąc to, hrabia Światosław patrzył na brata wzrokiem zupełnie spokojnym, obojętnym, pod którego wpływem jednak zastraszające już rumieńce wytrysnęły na twarz i czoło hrabiego Augusta. Nie tak biegły w szermierce słów, jak w kulinarii, sportologii i archeologii, zaciął się, według trywialnego wyrażenia, i wyjąknął tylko z cicha: *Mais... mais... ça fait toujours mousser le nom!*...

Po twarzy hrabiny przemknął błysk tryumfu.

— Co do Mścisława — ciągnął hrabia Świato-



sław, nie zdając się najlżejszj zwracać uwagi na wrażenia obecnych — niepewną jest jeszcze rzeczą, czy przywiezie on nam z Grodu świętego to, po co się tam udał.

— Kochany hrabio! — zawołał hrabia August — możesz-że wątpić...

— Wątpienie o wszystkiém i o wszystkich stało się moim nałogiem — z suchym uśmiechem rzucił gospodarz domu.

— A jednak, panie hrabio — bardzo cicho wtrącił *l'abbé* — powiedzianém jest: przez wiarę do nieba...

— Albo do głupich złudzeń — dokończył, z jednostajną zawsze obojętnością w głosie i twarzy, hrabia Światosław.

— Co się tycze jednak tytułu, tak niesłusznie nam zaprzeczonego — ciągnął hrabia August — jestem najmocniej przekonany, że Ojciec Święty zechce wynagrodzić wyrządzoną nam niesprawiedliwość i...

— *Cher comte* — słodziutko i nadzwyczaj uprzejmie przerwała hrabina — jeżeli o czémkolwiek, to właśnie o woli i wyrokach tak świętj osoby nie godzi się nam wyrażać przedwczesnego zdania...

— A jednak — wtrącił znowu gospodarz domu — zdawałaś się *chère comtesse*, mocną posiadać wiarę w pomyślność dla nas wyroków tych, skoro uznałaś a stosowne udzielić księżnie B., baronowj H. i wielu

innym osobom wiadomości o tém, że zostaliśmy już hrabiami państwa Rzymskiego.

Tym razem zmieszanie było po stronie hrabiny, pochwyconej na gorącym uczynku gadatliwości kobiecój, zadowolenie po stronie hrabiego Augusta, który téż, prostując się nieco i muskając dłonią bokobrody, wyrzekł z uśmiechem:

— Pani hrabina wysoką snadź posiada wiarę w dyplomatyczne zdolności Mściława...

— I ma w tém zupełną słusność — potwierdził hrabia Światosław; — Mściław jest w istocie *un jeune homme très capable* i ręczę, że gdyby był na miejscu Wilhelma, zdobył-by się na jakikolwiek koncept dyplomatyczny, aby nam przysłać maszyny, których bardzo dla Alexińskich fabryk potrzebujemy.

I znowu hrabina cicho i pokornie zatryumfowała, a hrabia August zmieszał się i zasmucił. Widocznie, hrabia Światosław trzymał w ręku swych radości i smutki, tryumfy i upokorzenia dwojga istot tych, ubiegających się o jego względy, a igranie uczuciami i nieustanne przechylenie się z jednej strony na drugą, stanowiło dla niego pewną, dość żywą przyjemność życia.

L'abbé przerwał tę nieskończenie błogą rozmowę rodzinną, uwagą, że pociąg Warszawsko-Wiedeński musiał już przybyć i hrabia Mściław za mały kwadransik zjawi się śród oczekującego na niego towarzystwa.

— Co za szkoda, że Pawełek wyjechał z Cezarym na Litwę — zauważył hrabia August — posłalibyśmy go na spotkanie Mścislawa.

— *Pardon cher comte, qui est ce que ça Pawełek?* — zagadnęła hrabina.

— *Eh, bien! Paul, notre cousin*, a twój *chère comtesse*, ex-paź i wychowaniec.

Na to wystąpienie hrabiego Augusta twarz hrabiny powlekła się niewiedzieć czemu lekkim rumieńcem. Jaktol ona miewać mogła kiedykolwiek paziów, niby wesoła królowa swawolnego dworu! Co za złośliwość!

— Żle się stało — ciągnął młodszy z hrabiów;— w tak ważnej okoliczności trzeba było koniecznie, aby ktokolwiek z członków rodziny naszój wyjechał na spotkanie Mścislawa... Mnie, jako stryjowi, nie wypadało czynić tego... Szkoda, że *Paul* jest nieobecnym, ale znowu cóż by tam bez niego począł na wsi nasz *biedny* Cezary!

Wyraz *biedny* wymówiony był z przyciskiem i westchnieniem.

— Cezary jest takim dzieckiem... — ozwał się hrabia Światosław.

— *Pardon, cher frère* — przerwał mu brat — *ce pauvre César*, skończył już lat dwadzieścia trzy.

— Bywają ludzie, którzy przez całe życie nie przestają być dziećmi. Bardzo się lękam, aby Cezary do liczby ich nie należał.

— *Mon Dieu!* — westchnęła hrabina — gdyby



Cezary posiadał choć cząstkę téj siły, tego rozumu, tego... tego... *savoir vivre*, któremi tak hojnie obdarzonym jest Mścisław... jakże-bym się cieszyła!

— Rezygnacyi, pani hrabino! rezygnacyi — rzekł bardzo cicho l'abbé—wyroki Bozkie są nieodgadnione i trudno nam zaprawdę zrozumieć, dlaczego, obdarzając częstokroć jednego z równie dostojnych braci darami wszystkimi, drugiemu odmawiać On ich raczy... Hrabia Cezary zresztą odznacza się także cnotami, które pocieszać powinny troskliwą i bogobojną duszę jego matki... ma on także dobre serce.

— *Hélas!* — westchnęła z cicha hrabina i, zamiast stawać w obronie młodszego syna, gdy hrabia August o nim wyraźnie opowiadać coś zaczął starszemu bratu półgłosem i z żartobliwym nieco uśmiechem, pograżyła się całkiem w milczącym przypatrywaniu się jednéj z kartek albumu.

Wkrótce jednak i hrabia August mówić przestał, widząc, że najdelikatniejsze jego dowcipy i insynuacye rozbijają się, niby o pancierz stalowy, o lodowatą obojętność starszego brata; l'abbé spoglądał w okno, hrabina nie odrywała oczu od albumu; wszyscy milczeli. Była to cisza oczekiwania na ważny, uroczysty moment rodzinnego życia. Zanim przecież moment ten nadejdzie wraz z zatoczeniem się przed ściany pałacowe karety, przywożącój ze stacyi kolei żelaznej tak ukochanego i uwielbianego w rodzinie hrabiego Mścisława, my, którzy nie mamy powodu momentu

tę z równą oczekiwać niecierpliwością, rzućmy okiem na bardzo niedaleką przeszłość, aby dowiedzieć się, jaki-to był mianowicie ów wielki cel podróży młodego hrabiego do Rzymu i co ją spowodowało.

Rzecz szła, jak to zresztą już odgadł domyślny czytelnik, o tytuł hrabiowski. Smutno powiedzieć, niemniej jednak jest to prawdą, że tak, jak o imieniu Pompalińskich zamilczeli, przez niską zawiść lub grzeszne niedbalstwo, wszyscy bez wyjątku kronikarze, heraldycy i historycy polscy, tak również, w skutek zapewne podziemnych intryg jakichś, lub niedorowanego zaniedbania przodków, przepadły bez wieści przywileje i inne pisane dowody, które-by stwierdzić mogły prawowitość używanego przez zajmujący nas ród tytułu. A jednak i w listach prywatnych, i pewnych, nieoficyalnych wprawdzie, dokumentach, istniały ślady, że ojciec jeszcze trzech hrabiów-braci, ów słynnej pamięci rybak, posługiwał się tym tytułem. Idąc za przykładem rodzica, posługiwali się niemi trzej hrabiowie-bracia. Najrzadziej i najostrożniej, wyłącznie prawie po-za granicami kraju, używał go hrabia Światosław; nierównie już hojniej, zawsze jednak w granicach pewnego umiarkowania, szafowali nim hrabiowie Jarosław i August, co wszystko sprawiło, że hrabia Mścisław (trzecie już zatem pokolenie), dorósłszy, a w ścisłe rozpatrywanie papierów familijnych bynajmniej się nie wdając, ty-

tuł ten uważał jako akcesoryum, nieodłącznie do nazwiska, dóbr i budującego się w nich małego Watykanu przywiązane o prawomocności jego nie zwątpił ani na mgnienie oka i rozporządzać się nim zaczął w prawo i w lewo, zawsze i wszędzie, jak najrzetelniejszą i bezsporną swą własnością. Za sprawą hrabiego Mścisława, tytuł ów awansował po raz pierwszy z kart wizytowych i listów prywatnych do papierów i dokumentów całkiem już urzędowych. Przeszło to niepostrzeżenie i pomyślnie raz, drugi, dziesiąty, aż nagle dwudziesty lub dwudziesty pierwszy podpis, dokonany na urzędowem podaniu w tym kształcie: *Mścisław, Waclaw, Karol Hrabia Czólno Don-Don Pom-paliński*, sprowadził do apartamentu podpisanego katastrofę, w postaci wysłańca pewnej władzy rządowej, który-to posłaniec, z najwykwintniejszą zresztą grzecznością, oświadczył, że w podpisie wyż wymienionym zaszła drobna omyłka, to jest, że wśród siedmiu składających go wyrazów jeden okazywał się zbyt cennym, tak dalece wedle mniemania sfer urzędowych zbyt cennym, iż sfery te zmuszone są bardzo stanowczo prosić podpisującego, aby nadal używać go zaprzestał, tym razem zaś za używanie dość znaczne quantum pieniędzy, w kształcie niby sztrafu, w pewnym wskazanem miejscu, pod karą procesu z temi urzędowemi sferami, złożyć raczył.—Nie przeczę bynajmniej temu, słodziutko i cichutko mówiła *katastrofa*, ubrana w mundur urzędowy, —nie przeczę bynajmniej, że tytuł



hrabiowski jak najdoskonalej przystoi świetnemu imieniu, wielkim bogactwom i niemniejszym cnotom a zasługom Jaśnie Wielmożnych Panów Pompalińskich. Cóż czynić jednak! prawo jest wyraźne! tytuły wszelkie podległy u nas od czasu pewnego ścisłej kontroli. Legitymacyi trzeba! nic więcej, tylko małeńkiej, maluteczkiej legitymacyi, a wszystko będzie dobrze! Jestem pewny, jestem najgłębiej przekonany, że Jaśnie Wielmożnym Panom bardzo łatwo będzie legitymacyjkę tę wyrobić i...

Tu hrabia Mścisław, który dotąd, w pół leżąc na szezłagu, z bezprzykładną cierpliwością i w najgłębszym milczeniu słuchał długich i słodkich mów *katastrofy*, podniósł się nieco, pociągnął za taśmę od dzwonka i do wchodzącego kamerdynera rzekł:

— *Żorż*, otwórz temu panu drzwi przedpokoj!

Słyszając słowa te, *katastrofa* szybko podniosła się z brzeżka krzeselka, na którym siedziała, jeszcze szybciej złożyła na mozaikowym stole trzymany dotąd w ręku, a wielkim szarym stemplem zaopatrzony papier, i ukłoniwszy się dwa razy, bez pomocy *Żorża*, najzupełniej samodzielnie, pałac opuściła. Naonczas podniósł się już całkiem z szezłaga hrabia Mścisław, pochwycił ze stołu wyż wzmiankowany papier, zmiął go w dłoni i po chwilowym namyśle zadzwonił znowu na *Żorża*.

— *Żorż*, idź na górę i zapytaj, czy mogę widzieć się zaraz z hrabią moim stryjem.

Zorz wrócił niebawem i oznajmił, że hrabia stryj może być dla synowca widzialnym. Nie upłynęło dwóch minut, a hrabia Mściśław znajdował się już na pierwszym piętrze pałacu i stał przed fotelem hrabiego Światosława. Ze wzburzonej fizyognomii i nadmiarę ożywionych ruchów synowca, właściciel pałacu domyślił się niepospolitego a przykrego jakiegoś zajścia. Nie wydawał się jednak ani ciekawym, ani zaniepokojonym.

— *Qu'y a t-il donc?* — zapytał obojętnie

— Mój stryju — zaczął hrabia Mściśław, ze wzruszenia wielkiego zaledwie mogąc oddech pochwycić i zapominając nazywać stryja po francuzku — impertynencya straszna! zniewaga osobista... przykro mi, że zmuszony jestem martwić cię.

— Nic nie szkodzi — z lekką niecierpliwością przerwał stryj — martw, ale mów, o co rzecz idzie! *Tous ces emportemens me donnent horriblement sur les nerfs!*

— *Lisez ceci, mon oncle* — wyrzekł hrabia Mściśław, uroczyście niemal podając stryjowi papier ze stemplem.

— Nie lubię czytać tych bazgranin. *Sois si bon* i opowiedz, co tam takiego...

Hrabia Mściśław opowiedział i, ku wielkiemu zdziwieniu swemu, ujrzał stryja tak zimnym, tak obojętnym, jakim bywał zazwyczaj! Czy już nic, nic.



żadna zniewaga, żaden wstyd, głazu tego wzruszyć nie mogły?

— *Eh bien*, — ozwał się hrabia Światosław, czegoż się tu tak rzucać i martwić... *et que puis-je, moi, faire pour ton plaisir?*

Hrabia Mścisław wrzał cały.

— Chciał-bym dowiedzieć się od stryja, czy jesteśmy rzeczywiście hrabiami, czy nie jesteśmy?

Hrabia Światosław grzebał przez chwilę w dogajających węglach złożonym haczykiem, potem rzekł:

— *C'est selon*. Dla publiczności, rozumiesz mię, dla motłochu, każdy człowiek, zostający w naszej pozycyi majątkowej i posiadający takie stosunki, jakie my posiadamy, jest hrabią. Z tego więc punktu rzecz biorąc, jesteśmy bezsprzecznie hrabiami, i to hrabiami najczystszej wody, nie mamy bowiem długów i od dwóch pokoleń już nie popełniliśmy żadnego mezaliansu. Z innej jednak strony, z tej... (tu wskazał na papier ze stemplem) urzędowej... nie posiadaliśmy nigdy i nie posiadamy żadnego tytułu.

Mścisław patrzył na stryja szeroko otwartemi oczyma.

— *Vous plaisantez, mon oncle!*

— Przekonaj się!

— I stryj to mówi tak spokojnie!

Obwisłe kąty ust hrabiego Światosława podniosły się nieco, tworząc lekki, bardzo charakterystyczny uśmiech.



— Nie mam już lat dwudziestu pięciu, jak ty, *mon enfant*.

Wyraz *mon enfant*, wymówiony z naciskiem, wstrząsnął do gruntu hrabią Mściśławem.

— *Je ne suis plus enfant!* — wybuchnął — wieki upłynęły, odkąd przestałem być nawet młodym człowiekiem, *et que les sources des émotions se sont desséchés en moi!* Jakkolwiek przecież obojętny jestem na wszystko, co się dzieje i co się dziać może na tym nudnym świecie, nie przestał mię obchodzić honor mój i rodziny, do której mam zaszczyt należeć. W wypadku, który mię dziś spotkał, nie widzę nic więcej, jak nędzne intrygi demokratów, którzy stracić-by nas pragnęli z piedestału, na którym jeszcze, dzięki Bogu, stoimy. Intryg i postępów podobnych tolerować nie należy w interesie samego społeczeństwa, które, straciwszy szacunek dla wszelkich wyższości, stanie się pastwą krzykaczy i *sankiulotów*. Co za *esclandre*, zresztą! jakie *shoking!* *quel scandal!* czy myślisz, *mon oncle*, że wypadek ten utaić się zdoła, że nie schwycą go zaraz języki ludzkie i nie rozniosą na wszystkie strony świata, że nie porwie go gromada naszych niby postępowych pisarków i nie skomponuje na ten temat masy artykułów, komedyi i powieści, które zapełnią szpalty szanownych organów naszej wielce demokratycznej prasy... Zanadto wysoko stoimy, aby to, co nas dotyczy, przechodzić mogło niepostrzeżenie... a ja... ja zno-

wu... *moi...* jestem zbyt dumny, aby na podobne rzeczy nie zważać, aby z zimną krwią i beczynnianie oddawać siebie i rodzinę, do której mam zaszczyt należeć, na pastwę obmów i pośmiewiska gawiedzi!...

Kiedy hrabia Mścisław przemawiał w ten sposób, przechadzając się szerokimi krokami po pokoju, giestykulując energicznie i w uniesieniu swém tracąc zupełnie pamięć o odznaczającej go zazwyczaj dystynkcyi; hrabia Światosław wodził za nim wzrokiem, w którym nie odbijało się żadne inne uczucie, oprócz ciekawości uważnego i pojętnego badacza dusz ludzkich. Kiedy nakoniec młody hrabia umilkł na chwilę, lodowaty stryj jego wymówił z wolna:

— Wiész co, Mścisławie? ile razy widzę cię podobnie wzruszonym, myślę zawsze, że gniewasz się dlatego głównie, iż znajdujesz w tém wielką przyjemność.

Mścisław stanął na środku pokoju, myślał chwilę nad słowami stryja, poczem uśmiechnął się niechętnie, szydersko nieco.

— *Eh bien, c'est vrai, mon oncle!* — rzekł. — Rzadko mi się, co prawda, wydarza, abym czuł, że żyję. Gdy rozgniewam się, doświadczam uczucia tego *et c'est pour cela* ten nieznośny Żorż nudzić mię już zaczyna i odprawić go muszę. Łagodny jak baran, niemy jak ryba. Od trzech miesięcy już jest u mnie, a nie mogłem rozgniewać się na



niego ani razu. Z tém wszystkiém, *je Vous assure, mon oncle*, że kiedy ta lisia fizyognomia ze złotemi guzikami przy mundurze, siedząc naprzeciw mnie, gadała mi te wszystkie androny o legitymacyach, sztrafach i tym podobnych absurdach, czułem się, *tout de bon, hors demoi!*... o, i teraz jeszcze, gdy o tém wspomnę, co to będzie za *esclandre!*.. No! już ja temu koniecznie poradzić muszę...

— Radź, radź, *mon cher* — potwierdził hrabia Światosław — a jeżeli do przedsięwzięć twych zabraknie ci pieniędzy, proszę cię, abys do mojej kasy zapukał. Jakkolwiek bowiem nie mam *awantażu* gniewać się od czasu do czasu, jak ty, i w ten chociaż-by sposób módz czuć, że żyję; interesa rodziny naszój niezupełnie przestały mię obchodzić. Jestem nawet tego przekonania, że wszystkiemi siłami utrzymać się powinniśmy na naszym stanowisku, ponieważ ono tylko jedynie dostarczyć może tych drobnych choćby i nędznych przyjemnostek, których na świecie doświadczać można.

Hrabia Mścisław nie okazał po tych słowach stryja ani radości, ani smutku. Chodził jeszcze chwilkę po pokoju, milcząc i myśląc, potem stanął przed hrabią Światosławem i rzekł:

— *Mon oncle*, jutro jadę do Rzymu.

— *Vas-y, mon cher*.

— Rok temu wrócił ztamtąd Bondondoński, pro-



sty szlachetka, *vous savez, mais diablement riche*, i wrócił...

— Znam tę historią...

— *Oui, mon oncle*. A przy naszych stosunkach i wspomnieniach, które matka moja przed laty dzieściciu zostawiła po sobie w Rzymie, spodziewać się należy...

— *Eh bien, vas à Rome*. Ja się tymczasem ubiorę trochę, bo dziś u mnie, *tu sais, un diner d'intimes*. Książę B. także będzie. *A propos*, jakże tam stoi projekt twój matki?

— Jaki projekt?

— *Le projet de ton mariage avec la princesse Stéphanie B*.

Wyras najwyższego niesmaku wybił się na twarzy hrabiego Mścisława.

— *Comment vous va-t-elle?* — badał stryj.

— Brzydka, jak noc — niechętnie rzucił Mścisław.

— *Fi donc*, Mścisławie! Księżniczka!

— Wygląda na czarownicę!

— *Mais vous avez des expressions... mon cher...* czy myślisz pojąć za żonę boginią piękności? daj pokój! Bogiń tych znajdzie się zawsze dosyć—za pieniądze; najsmaczniejszy zaś kąsek nie jest nigdy dość smacznym, aby się nie przejadł, gdy go mamy zawsze. Nie żenimy się tedy *pour le plaisir de notre coeur*, jak mawiali niegdyś czuli pastuszkowie, ale dlatego, aby-

śmy nie potrzebowali, w interesach dzisiejszemu podobnych, jeździć do Rzymu, a w wypadku już podróży, mieli na nią dostatecznie pieniędzy.

Hrabia Mścisław obojętnie wysłuchiwał stryjowskięj tęj mowy, jakkolwiek na ustach jego igrał wciąż wyraz lekkiego niesmaku.

— *Mon oncle* — rzekł, gdy hrabia Światosław mówić przestał — jakkolwiek wysoko cenię stanowisko i interesa rodziny naszęj, nie sądzę, abym kiedykolwiek dla nich nawet poświęcić chciał swobodę moję i wprzadz się w jarzmo nieznośnych jakichś, a koniecznych, zobowiązań. Być może zresztą, iż przykra ta okoliczność spotka mnie kiedy w skutek nieprzewidzianych dotąd wypadków, tymczasem jednak, pozwól, *mon oncle*, abym mógł marzyć o tēm, że nie przestanę nigdy wstępować w tve ślady, *et comme vous, mon oncle*, nie poddam się nigdy słodkim więzom Hymenu.

Rzekłszy to tonem na-pół ożywionym i wesołym, na-pół niedbałym i niechętnym, hrabia Mścisław złożył przed stryjem ukłon pełen uszanowania i pokój opuścił.

Po tęg konferencyi z hrabią stryjem, nastąpiła druga, nierównie dłuższa i poufniejsza, konferencya z hrabiną matką, potēm trzecia jeszcze, najdłuższa, z najbieglejszym w swęj sztuce jubilerem miasta Warszawy; pocēm już wszystkiēm, hrabia Mścisław, osypany błogosławieństwami swęj matki, pżegnany

przez stryja Światosława lekkim ściśnieniem dłoni, a przez stryja Augusta energicznym i długim, acz obłudnym nieco uściskiem, wyuczony przez l'abbé specjalnych zwyczajów i obyczajów, etykiet i ceremoniałów w miejscu, do którego się udawał, wsiadł do karety i pojechał.

I otoż od tego pamiętnego dnia wyjazdu miesiąc przeszło upłynął, a kareta Mścisława (nie wiadomo już teraz czy hrabiego, czy może aż księcia) zatoczyła się znowu pod ścianę pałacu.

— *Voilà notre jeune comte qui arrive!* — wykrzyknął, zbyt głośno znowu, spoglądający w okno hrabia August.

— *Peut-être prince* — uśmiechnął się l'abbé.

Hrabina z istotnym wzruszeniem przycisnęła białą dłoń do tej części jedwabnego stanika, pod którą śpiesznie teraz uderzało serce.

W przedpokojach, na wschodach, przed ozdobnym pałacowym wejściem, zapanował ruch wielki. Marszałek dworu, galonowany odźwierny, kamerdynerowie, lokaje, śpieszyli z usługami przybywającemu panu.

Młody pan wysiadł z karety nie z taką żywością i fantazją, jakby się tego można było spodziewać po kimś, kto tak energicznie podróż daleką był przedsięwziął i cel jój, prawdopodobnie, z powodzeniem osiągnął. Przeciwnie, blady i wychudzony, hrabia (czy może książę) Mścisław, miał pozór człowieka, nie



tyle znużonego podróża, ile znudzonego wszystkiem i wszystkimi pod słońcem.

Pięknie wykrojone szare jego oczy patrzyły do-koła sennie jakoś i mglisto; kształtna, wysmukła po-stać sunęła na przód z wolna bardzo i z ciężkością, jakby wstępowała na wschody.

— Czy hrabia mój stryj dziś przyjmuje? — za-pytał kamerdynera stryjowskiego, który także wyszedł był na jego spotkanie.

— Przyjmuje i prosi *Jaśnie Pana* do swego po-koju, gdzie obecna jest także *Jaśnie Pani* hrabina.

Na widok wchodzącego syna, *Jaśnie Pani* hrabina lekkie zaledwie poruszenie uczyniła na fotelu. Dy-styngowana matka nie zwykła rzucać się w objęcia najmilszemu choćby i z najdalszej podróży wracające-mu dziecięciu; ale też prawda, że i dystyngowany syn, także nie roztwiera objęć swych przed najlepszą i choćby najdawniej niewidzianą matką. Natomiast hrabina Wiktorya wyciągnęła ku wchodzącemu białą dłoń swą i cichym, słodkim głosem przemówiła:

— *Bonjour, mon enfant.*

— *Bonjour, maman* — odrzekł syn, i usta swe przy-łożył na chwilę do ręki matczynój.

W zupełnie ten sam sposób powitanie odbyło się pomiędzy przybyłym a hrabią Światosławem; hrabia August nieco już energiczniej i wielomówniej radość swą z powodu powrotu synowca objawiał, l'abbé zaś,

po uściśnieniu ręki młodego podróżnika, łagodnie-  
żartobliwym tonem rzekł:

— Prawdziwie, nie wiem jak mam mówić... *prince  
ou comte?*

Zamiast bezpośredniej odpowiedzi, przybyły zwró-  
cił się ku roztwartym drzwiom przyległego pokoju,  
a ujrawszy tam rudą brodę swego Żorża, zawołał:

— *George! mon étui de Rome! celui, que tu sais!*

— *Oui, monsieur le comte* — zabrzmiała w oddali  
odpowiedź, a hrabia August, hrabina Wiktorya  
i l'abbé zamienili pomiędzy sobą mimowolne zapewne  
spójrzzenia i mimowoli téż a jednocześnie szepnęli:

— *Comte!*

W szepcie tym brzmiało nieco rozczarowania.  
Hrabia Światosław jeden, nie zdając się troszczyć o nic  
wcale, spokojnie rozgrzebywał złożonym haczykiem  
swym, żarzące się na kominku węgle.

— Czy *Żorż* twój zawsze jest tak spokojnego i fle-  
gmatycznego temperamentu? — zapytał.

— Zaczyna trochę odmieniać się na lepsze.  
W Wiedniu zrobił mi scenę *furioso* o jakiś tam fry-  
kas niemiecki, którego, jak powiadał, nie jadły-by  
w Polsce i myszy... Wyłajałem go za to, że śmiał  
mnie trudzić swemi gastronomicznemi wymysłami, on  
odpowiadał mi słowo za słowo. Trwało to z kwa-  
drans, zgniewałem się straszliwie i darowałem mu za  
to nazajutrz coś z mojej garderoby...

— Brawo! — rzekł hrabia Światosław — w Wie-



dniu więc bawiłeś się, jak słyszę, wcale nieźle; a jakże tam było w Rzymie?

— Nuda straszliwa... — odparł młody pan, ziewając skrycie. — W teatrach nie bywałem, bo od pewnego czasu *ça m'embête*; po starych ruderach nie błądziłem, bo znam je od dawna... w pauzach więc pomiędzy wizytami i audyencyami, dla interesu koniecznymi, spałem, jak niedźwiedź w zimie... myślałem doprawdy, że zasnę na wieki...

— Bah! to smutno ci było! A nie mógł-żeś się na żadnego tam *maitre d'hotel* albo komisyonera rozgniewać?

— *Oui dà mon oncle!* Byłem tam przecież w roli *d'un comte polonais*, a stryj wie, co to znaczy. Usłużność i pokora ze stron wszelkich nieprzezwyjężona...

— A *Żorż*?

— *Il etait assomant* ze swą niewolniczą prawdziwie łagodnością...

— *Au nom du Ciel*, kochani hrabiowie, czy nie można-by o czémś inném w tak ważnej chwili pomóc, niż o *Żorżu* i tój szczególnój skłonności hrabiego Mścisława do scen i gniewów?

Wykrzyk ten wyrwał się z ust hrabiego Augusta, który, od chwili wejścia do pokoju synowca-podróżnika, stał prawdziwie na żarzących się węglach. Radby on posłyszć coprędzej o rezultacie tak go obchożdzącej sprawy familijnej, a tu wszyscy zdawali się dbać o nią tyle, co o przeszłoroczną zimę.



Za całą odpowiedź na wybuch ten, wcale nieprzy-  
stojny, otrzymał ze strony Mścisława lekkie wzrusze-  
nie ramion i giest, mający oznaczać: „Cóż mię tam to  
obchodzi!” ze strony zaś gospodarza domu zniecier-  
pliwione nieco spójrzenie i towarzyszące mu, dosko-  
nale obojętnie wymówione słowa:

— Cóż tam tak ważnego znajdujesz w chwili téj,  
kochany hrabio? Ja przynajmniej nic nie znajduję  
i sędzę, *qu'il n'y a que des enfans et des gens de peu, qui  
se trémoussent et se mettent hors d'eux, pour des riens!*

Była to jedna z nauczek, których hrabia Świato-  
sław nie szczędził swemu nazbyt żywemu i nieprzy-  
stojnie rubasznemu bratu. Na szczęście, *Żorż*, wcho-  
dzący ze srebrną tacą w ręku, na której spoczywało  
aksamitne, w złoto oprawne *étui*, zbawienną uczynił  
dywersyą i hrabiego Augusta od kolących, jakkol-  
wiek bardzo pokornych, tryumfów hrabiny Wiktoryi  
wybawił.

Hrabia Mścisław otworzył *étui*, wy dobył z niego  
wielki arkusz zapisanego papieru i podał go starsze-  
mu ze stryjów, sam zaś, pod wpływem widocznie głę-  
bokiego do wszech rzeczy ziemskich zniechęcenia,  
upadł raczj niż usiadł na szezłag, i usta cieniuchną  
chusteczką przysłonił, aby ukryć rozdzierające je  
przemocą poziewanie. Hrabia Światosław z wolna  
bardzo rozwinął papier i przeczytał po włosku wypi-  
sane, piérwsze, znajdujące się na nim wyrazy: „Dy-  
plom na tytuł Hrabiów Państwa Rzymskiego, udzie-

lony dostojnej rodzinie polskiej Pompalińskich, od najstarszego z dziś żyjących pokoleń aż po ostatnie wygaśnięcie wszystkich męzkich gałęzi rodu tego.”

— Od najstarszego z dziś żyjących pokoleń... — powtórzył hrabia August i dodał: — więc to niby i dla mnie!

Radość żywa odbiła się w wiecznie zresztą wesołych jego oczach. Obawiał się on zawsze, aby Mściśław w samolubstwie swém nie zapomniał o stryjach i dla siebie tylko samego osobistego tytułu nie wyrobił.

Inne całkiem wrażenie przeczytany ustęp wywarł na hrabinie Wiktorii. Policzki jój powlokły się na chwilę zwiększoną bladością, lekki jęk wyrwał się z piersi, a w jęku tym drżał boleśnie wymówiony wyraz: „Hrabiów!” Szybko jednak poskromiła wzruszenie swe i, składając jak do modlitwy białe ręce, z cicha i z uśmiechem rozrzewnienia na ustach mówić zaczęła:

— Dzięki niech będą Ojcu Świętemu za tę wysoką łaskę, którą obdarzyć nas raczył! Wprawdzie... byłam dość śmiałą, aby spodziewać się czegoś więcej... ale niech stanie się wola Tego, który mędrszym jest od nas wszystkich i w wyrokach nieomylnym... ja z Nim o dary Jego sprzeczać się nie będę...

— Pani hrabina mówi, jak prawdziwej córce Kościoła i bogobojnej pani przystało — szepnął l'abbé,



a szept ten wlał w smętne przedtém oczy hrabiny światło szczerój, tkliwój radości.

Hrabia August tymczasem zapinał guzy archeologicznego munduru, od pierwszego z góry do ostatniego u dołu, co było zwykle nieomylną z jego strony zapowiedzią niepospolitego jakiegoś, krasomówczego wystąpienia. Jakoż uroczystym krokiem zbliżył się do synowca, który, na widok zapinanych guzików, z góry już podniósł się z szezłaga bardzo powoli i nie bez cichego stęknienia, w obie swe pulchne ręce ujął drobną i kobieco delikatną dłoń jego i, po kilku sekundach pełnego obietnic milczenia, zaczął w te słowa:

— *Cher neveu!* poczytuję sobie za wielką przyjemność i... i... *chose...* obowiązek, złożyć ci w imieniu swoim i nieobecnego tu syna mego, Wilhelma, powinszowania twój energii *et de cet esprit vraiment chevaleresque*, z jakimi... z jakimi wybawiłeś nas wszystkich od... od... *chose...* od dyabelnego kłopotu, *je voulais dire*, od dotkliwój troski o zaszczyt i dostojęństwo... *je voulais dire... oui...* dostojęństwo, najniesłuszniej nam zaprzeczone, a teraz, dzięki twój energii *et ton esprit chevaleresque...* odnalezione w Grodzie... *chose...* w Grodzie Świętym, dla którego ja sam, kochany Mścisławie, wyznaję to głośno i otwarcie, *malgré... malgré*, że poniewieranie świętymi rzeczami stało się w naszych niby... *chose...* demokratycznych czasach modą parweniuszów i *sankiulotów...* jestem



z najgłębszém poważaniem, i w którém przemieszkując nieraz, nabyłem zamiłowania i, mogę to powiedzieć bez próżnego samochwalstwa, *une vraie et approfondie connaissance* rzeczy starożytnych, których... których tyłu zabytkami szczyli się ten Gród Świąty. Przyjm więc, *cher neveu*, raz jeszcze najszczerze podziękowanie, które składam ci w imieniu swoim i, nieobecne-go tu, syna mego Wilhelma, jak téż życzenia wszelkich powodzeń i... i... *chose...* zaszczytów, które spotkają cię niezawodnie w przyszłości, jako tak pełnego energii, szlachetnej ambicji i... *chose... d'un esprit vraiment chevaleresque*, członek rodziny, do której ja także i nieobecny tu syn mój, Wilhelm, mamy zaszczyt wraz z tobą, *cher neveu*, należeć.

W czasie wypowiedzanego w ten sposób *speechu*, Mścisław trzy razy ziewnął, trzy razy z całej mocy oparł się pokusie wyrwania ręki swój z dłoni stryjowskich i bezwładnego upadnięcia na szezłąg, w którego pobliżu *speech* go pochwycił; aż nakoniec, powstrzymany prawami etykiety i winnego starszym członkom rodziny uszanowania, powziął stanowczą decyzją wpatrzania się w jeden z guzów archeologicznego munduru i tak już, z oczyma wlepionemi w wyryte na guzie pogańskie bóstwo litewskie, niemy, nieruchomy, męczeńsko-cierpliwy, do końca pozostał.

Po skończonym *speechu*, nastąpiła niezbędna dla krewkiej i wylanój natury hrabiego Augusta akkolada.

która jednak, dzięki usiłowaniom hrabiego Mścisława, skończyła się na obustronném, po trzykroć powtórzoném, ucałowaniu powietrza. Poczém jeszcze hrabia Mścisław, pragnąc odrazu i jak najszybciej dojść do końca wszelkich, dnia tego odbyć się mających, ceremonii, zawołał na *Żorża*, aby mu podał *tous les autres étuis de Rome*.

*Żorz* żądane przedmioty trzymał już snadź w pogotowiu, bo wniósł wnet na srebrnej tacy trzy wspańiale przybrane pudełka, z których hrabia Mścisław ofiarował po jedném matce i obu stryjom. W pudełku hrabiny znajdował się rożaniec z agatowych paciorek, własnoręcznie przez Ojca Świętego poświęcony; to, które otrzymał hrabia August, zawierało w sobie medal starożytny, za czasów jeszcze Trajana, czy Wespazyana wybity; w pudełku nakoniec hrabiego Światosława znajdowała się mała statuetka, mistrzowskiej w istocie roboty, a wraz z Pompeją i Herkulanum z pod popiołów wygrzebana.

Podarunki te, tak trafnie zastosowane do upodobań otrzymujących je osób, miały szczęście obudzić powszechnie w dostojném gronie zadowolenie. Hrabina Wiktorya z niskim ukłonem, podobnym do tych, które dworskie damy wykonywają, stając przed oblicznością swego monarchy, rozwinęła różaniec w całej jego długości, i usta swe do niego z nieśmiałym a uroczystym poszanowaniem przyłożyła. Hrabia August oglądał medal Trajana przed światłem, w cieniu,



z prawej strony, z lewej, i wyczytywał znajdujące się na nim podpisy z większą wprawdzie powagą, niż poprawnością, zawsze jednak w sposób dowodzący, jeżeli niezupełnie głębokiego znawstwa, to przynajmniej gorącego w rzeczach starożytnych zamiłowania. Hrabia Światosław nawet rad był widocznie ze statuetki swój, którą też dość ciekawie obejrzał i do rzędu najrzadszych z pomiędzy posiadanych przez się dzieł sztuki zaliczyć raczył.

L'abbé, który nic nie otrzymał, radował się radością swych bliźnich, z niskim ukłonem pocałował różaniec, dopomógł hrabiemu Augustowi do wyczytania łacińskich na medalu napisów i ze skromnością erudyty, nie lubiącego popisywać się ze swą wiedzą, zawiódł leciuchny spór z hrabią Światosławem względem daty, do której odnieść należało udzielenie się ducha sztuki staro-greckiej Włochom południowym, a więc także Pompei i Herkulanum.

Gdy tak hrabia Mściśław, sprawiwszy wszystkie interesa dnia tego, zamierzał już pożegnać towarzystwo i w głębi apartamentu swego rzucić się w objęcia, upragnionych mu, ciszy i samotności; gdy i hrabina Wiktorya także powstała z fotelu, chcąc udać się do swych pokojów i tam w skupieniu ducha ochłonać z doznanych dnia tego przykrych i radosnych wrażeń; gdy i hrabia August nawet, nacieszywszy się trochę medalem, a sprzykrzywszy sobie zamknięcie w dusznej komnacie brata, zateksnił do co-



dziennych swych przedobiednich, ekwitacyjnych ówiceń: otworzyły się niespodzianie drzwi, i czarnobrody kamerdyner hrabiego Światosława oznajmił przybycie pana Pawła Pompalińskiego.

Oznajmienie to sprowadziło na twarze wszystkich obecnych (z wyjątkiem hrabiego Mścisława, który już drzemał trochę i hrabiego Światosława, który nigdy niczemu się nie dziwił) wyraz zdziwienia, a nawet lekkiego przestachu.

— *Paul!* — wykrzyknęła lekko hrabina — sam jeden! *et mon pauvre César?* cóż się z nim stało?

— Pawelek! — wymówił hrabia August, uszom swoim jakby nie wierząc. — Mógł-że porzucić tam na wsi biednego naszego Cezarego? *est-il possible?*

— Musiało stać się coś niezwykłego z naszym biednym hrabią Cezarym — z gorącym współczuciem szepnął l'abbé.

Na przyzwalający znak gospodarza domu, kamerdyner cofnął się, a w chwilę potem wszedł do pokoju Paweł Pompaliński.

Widzę już z góry zdziwienie, a może i oburzenie Wasze, czytelnicy, nad zuchwalstwem mojem, z jakim ośmielam się jednego z Pompalińskich, a więc zapewne członka téż opisywanéj przeze mnie dostojnéj rodziny, przedstawić Wam bez tytułów, herbów i przydomków i nazwać, *tout simplement*, Pawłem Pompalińskim.

Rzecz to w istocie podziwienia godna, niemniej przecież prawdą jest, że nowo pojawiająca się ta w powieści naszej osoba nie była ani hrabią, ani Czółnem, ani Don-Donem, ale poprostu, dla członków rodziny *Paulem*, albo Pawełkiem, a dla ludzi postronnych, *tout simplement*, panem Pawłem.

Powód do tego, jakkolwiek smutny, wielce pospolicity. Jak na rozłożystym, odwiecznym dębie, istnieją, oprócz gałęzi, z głównego pnia wyrastających i sutém listowiem okrytych, inne gałązki poboczne, drobne, ubożuchne; tak i na genealogiczném drzewie zajmującego nas tu rodu, poniżej głównych, wspaniale wybujałych i rozrosłych konarów, powyrastały i namnożyły się odrośle liczne, podrzędne, a przedstawiające sobą ów ród powszechnie znany, zadziwiająco zazwyczaj płodny, a nadzwyczaj uciemiężliwy, ród uboższych, lub całkiem ubogich krewnych.

Niestety! któż z wielkich tego świata nie miał nieszczęścia posiadać ubogich krewnych i po tysiąc razy w życiu nie zapytywał sam siebie: co mam z tym fantem czynić? wyrzucić go za drzwi, czy schować za piec? — Ba! za drzwiami stoi świat z sądami i głupcami śmiechami swemi, — za piecem zaś siedzących, i przez to wprawdzie ukrytych przed światem, żywić i przyodziewać trzeba; nuż-by bowiem ktokolwiek zajrzał za piec i zobaczył krewnego w łachmanach i z wygłodniałym obliczem?



Różnie więc różni w wypadkach podobnych sobie radzą, zależy to od przekonań i upodobań. Pawełek Pompaliński jednak, będący właśnie jednym z listków jednéj z pobocznych i drobnych gałązek genealogicznego drzewa Pompalińskich, nie był przez szczęśliwszych krewnych swych wyrzuconym za drzwi, a jeżeli w istnieniu jego i było coś podobnego do siedzenia za piecem, żywności i przyodziewku nie brakło mu z pewnością, o czém świadczyła czerstwość śniadych policzków jego, znamionująca doskonałe odżywianie i cienkość a cenność ubrania, które go okrywało, a na którém błyszczał nawet złoty łańcuszek, od złotego téż zapewne zegarka.

Był to trzydziestoletni mężczyzna, bardzo przyjemnej powierzchowności. Niezbyt wprawdzie kształtny, bo trochę krępy i zbyt w ramionach szeroki, miał on jednak piękne czarne oczy, bystre i ogniste, piękne czarne włosy, gęste i kędzierzawe, ponsowe świeże usta pod czarnym wąsikiem, i rękę, acz śniadawą nieco i dużą, lecz delikatną i starannie wypielęgnowaną.

Wejście Pawełka powitaném zostało przez troje ust (hrabia Mścisław drzemał wciąż w siedzącej postawie, a hrabia Światosław nie zwykł był o nic z ciekawością zapytywać) przez troje ust wyrzeczoném zapytaniem:

— *Qu'y a t-il donc?* cóż się stało?

— *Rien de très grave* — odpowiedział Pawełek,



witając wszystkich, jak należało, a czyniąc to z wielką swobodą i żywością ruchów.— *Rien de très grave, Mme la comtesse. Mr. le comte César se porte parfaitement bien!*

Z francuzkiego tego wystąpienia Pawełka przekonać się możemy, iż być ubogim krewnym nie znaczy to zawsze nie umieć po francuzku, i że ubogim krewnym, za piec schowanym, oprócz żywności i przyodziewku, daje się jeszcze najczęściej i francuzki język.

— Dlaczegoż więc przyjechałeś tu sam jeden, Pawełku?

— *Pourquoi donc êtes-vous ici? Paul!*

— Czyście już tam skończyli tę historiją ze sprzedażą Malewszczyzny?

— Może nasz biedny hrabia Cezary zapomniał wziąć ze sobą potrzebnych dla sprzedaży papierów?

W odpowiedzi na dwa piérwsze pytania, pochodzące od hrabiego Augusta i hrabiny, Pawełek wyjął z kieszeni surduta list zapieczętowany i wręczył go hrabinie z ukłonem i słowami:

— *Voici la lettre du C-te César.* Potém odpowiedział *l'abbému*: — i owszem, mieliśmy ze sobą wszystkie potrzebne papiery.

Nakoniec zbliżył się do kominka i na pytanie hrabiego Światosława o sprzedaż Malewszczyzny odpowiedział temi zagadkowemi jeszcze dla czytelnika słowami:

— *Hélas! Mr. le comte*, Malewsczyzna leży w sąsiedztwie dóbr generałowej Orczyńskiej, sprzedaną więc być nie mogła.

Wymienione przez Pawełka nazwisko kobiece ściągnęło na niego ostre spójrzzenie hrabiego Augusta, który nawet poruszeniami ramion i źrenic dawał mu do poznania, że, wymawiając nazwisko to wobec hrabiego Światosława, popełnił on, co najmniej, wielką nieostrożność. W istocie téż, niewzruszenie zwykle chłodna fizyognomia gospodarza domu zmieniła się nieco. W przezroczyście zimnym oku jego drgnęło coś i zamięciło się na chwilę. Z obojętnością jednak, która tym razem widocznie była sztuczną, rzekł:

— *Eh bien!* cóż panią generałową obchodzić mogła sprzedaż dóbr naszych?

— Śmiem mniemać — odpowiedział Pawełek — że obchodzić ją ona musiała, skoro przeszkodzić jej starała się i przeszkodziła.

Brwi hrabiego Światosława ściągnęły się więcj posępnie, niż groźnie lub gniewnie. Powolnym ruchem ujął haczyk złożony i zaczął grzebać nim w żarzących się węglach, spuszczać powieki, i tym sposobem ukrywając przed obecnymi wyraz swego wzroku. Bywało to dla wszystkich domowych niemyłym znakiem, że hrabia Światosław nie życzy sobie prowadzić dalej wszczętej rozmowy.

W tej samej zresztą chwili rozległ się po pokoju



lekki wykrzyk hrabiny; list, który czytała, wypadł z jéj dłoni, a z-za chusteczki, którą przysłoniła twarz zbladła, wydobywać się zaczęły, ciche z razu, potem coraz głośniejsze spazmatyczne łkania.

— *Au nom du Ciel! comtesse! qu'avez vous?* — zawołał hrabia August, z rozwartemi ramiony i w pochylonej postawie przyskakując do płaczącej.

— Pani hrabino, cóż się to stało? — mówił l'abbé.

Hrabia Światosław, wyrwany ze swéj zadumy, wymówił téż swe zwykłe, obojętne: *qu'y a t-il donc?*

Mścisław, obudzony z drzemki, otworzył całkiem na-pół przymknięte oczy i, niby echo stryjowskiego głosu, wyszeptał:

— *Qu'y a t-il donc?*—i znowu oczy przymknął.

Hrabina przez sekund kilka nic wymówić nie mogła; nakoniec, czyniąc nad sobą bohaterskie niemal wysilenie, odjęła chusteczkę od twarzy, spójrzała po obecnych załzawionym, na-pół tylko przytomnym wzrokiem, a z ust jéj pobladłych i drżących wyrwał się jeden tylko wyraz:

— Kniks!

— *Quoi?*

— *Plait-il?*

— Co pani hrabina mówi?

Skrzyżowały się znowu wkoło śmiertelnie wzruszonej kobiety przerażenia i zdumienia pełne zapytania. Ale hrabina nic więcej, prócz owego wyrazu, o ta-



jemniczém, lecz grozy snadź i boleści pełném, znaczeniu, wymówić nie była zdolna.

— Kniks! Kniks! Kniks! — wołała w przestankach spazmatycznego płaczu, aż nakoniec, zwyciężona tłumionemi nadaremnie spazmami, pochyliła głowę na tylną poręcz fotelu, i tak już pozostała nieruchoma, oddechu pozbawiona, z piersią wzdętą i zamkniętemi powiekami.

— *Du vinaigre, des sels!* nie wpuszczać tu służby — huknął hrabia August.

— *Ca passera, mais ça passera assurément* — szepnął hrabia Mściśław, otwierając oczy i znowu je przymykając.

Ale l'abbé, najprzytomniejszy z pośród obecnych i najdzielniejszy w niesieniu pomocy tam, gdzie jój potrzebowano, pochylił się nad cierpiącą kobietą i najśłodszy głosem, jaki tylko mógł być kiedykolwiek w posiadaniu jakiegokolwiek krtani człowieczój, wyszeptał:

— Spokoju, pani hrabino! spokoju, pokory, rezygnacyi! Sprobuj pani i w tój ciężkiej próbie okazać się taką, jaką okazać się powinna mężna, dostojna, chrześcijańska niewiasta!

Jak promień słońca rozdziera chmury okrywające horyzont, tak słowa te l'abbégo rozdarły grubą chmurę rozpaczy, którą powleczoneń było oblicze, strasznym ciosem jakimś dotkniętój, pani. Błysnął na niém wyraz ulgi niewymownej, postanowienia mę-

znego, i siląc się, aby nie łkać i nie mdleć, hrabina otworzyła oczy, podniosła nieco głowę, a wskazując na list, u stóp jój leżący, wyszeptać zdołała:

— *Mr. le comte, lisez ceci.*

Począł wnet, gdy słaba, bo ludzka zawsze natura jój, nowemu uległa wstrząśnieniu, zakryła znowu twarz dłońmi i bardzo cicho wyjęczała:

— Kniks! Kniks! oh! *c'est horrible! oh! malheureuse mère, que je suis!... Pardonnez moi, Mr. l'abbé, mais c'est plus fort, que moi!* Oh! Kniks! Kniks!

Pawełek podjął z ziemi list, upuszczony przez hrabinę, i podał go hrabiemu Światosławowi. Na twarzy ubogiego krewnego, jakkolwiek on-to właśnie był tym, który przywiózł wieść jakąś fatalną, nie mało wało się żadne przykre, oficjalnie choć-by okazywane, wzruszenie. Przeciwnie, na ustach jego i w czarnych żywych oczach igrały swawolne i niepodobne snadź do powstrzymania uśmieszki. Szczęściem nikt, jak się tego pewno ubogi krewny spodziewał, nie zwracał najlżejszój uwagi ani na jego osobę, ani na nieprzyzwoitą jój wesołość. Hrabia Światosław podał list hrabiemu Augustowi, mówiąc:

— *Lisez, comte.*

Comte podniósł papier bardzo blisko ku oczom, i z niejaką trudnością wyczytywać począł głośno, niezupełnie wyraźne i kształtne, pismo hrabiego Cezarego.

— „*Chère maman!* Uważam sobie za obowiązek



synowski i potrzebę serca uwiadomić cię, *chère maman*, o ważnym wypadku, który przytrafił się w mo-  
jém życiu. Obawiam się bardzo, żebym, *chère maman*,  
nie zasłużył na gniew twój, jaki mię tak często spo-  
tyka, czego nadzwyczajnie żałuję, i żeby hrabia  
mój brat, Mściśław, nie śmiał się ze mnie. Ale pa-  
miętam dobrze, *chère maman*, jak często mówisz, i hra-  
bia August, mój stryj, także często mówi, że: *l'homme  
propose, Dieu dispose*. Otóż i ze mną tak było. Po-  
jechałem do Pompalina w tym projekcie, aby, jak so-  
bie tego życzył hrabia Światosław, mój stryj, sprze-  
dać Malewszczyznę. Malewszczyzny nie sprzedałem,  
bo kupiec, który miał ją nabyć, kupił daleko tanięj  
jakiś tam folwark u pani generałowej Orszyńskiej; ale  
ja, będąc u pani generałowej na obiedzie i na wieczorze,  
poznałem jedną pannę...

Tu hrabia August przerwał sobie czytanie i skrzy-  
wił się z niesmakiem.

— *Chose...* — rzekł — u generałowej.. będzie  
to coś niesmacznego dla nas... *n'est-ce pas, cher  
frère?*

*Cher frère* brwi miał ściągnięte, i przykrą jakąś,  
ostrą błyskawicę w zimném zwykłe oku.

— *Lisez, Auguste* — rzucił niecierpliwie.

— „Poznałem jedną pannę, która podobała mi  
się od razu bardzo, potem jój bracia u mnie byli i za-  
wieźli mnie do jój rodziców, i ja tam o rękę panny  
oświadczyłem się; odmowy naturalnie nie dostałem,



bo ona mnie także bardzo pokochała, i jesteśmy już zaręczeni. Teraz muszę powiedzieć ci, *chère maman*, kto jest moja narzeczona. Jest to panna Kniks, z tych Kniksów, co to mają Ślepowrona w herbie i przydomek Trzaska.

W tém-to właśnie miejscu synowskiego pisania, hrabina dostała ataku serdecznego płaczu, w tém samém także przerwał czytanie listu hrabia August.

— *Diable!* — wymówił — Kniks! z przydomkiem Trzaska, *c'est fameux! voilà un mariage qui fera bien mousser le nom!*

— Więc hrabia Cezary żeni się... — pełen głębokiego zdumienia wymówił l'abbé.

— *Quoi!* Cezary żeni się! — zawołał hrabia Mściśław, który, przy czytaniu listu, obudził się całkowicie, i zerwał się teraz na równe nogi, — *et avec une Kniks encore! un Slepowron et une Trzaska!*

Żadne pióro opisać nie zdoła wrażenia, jakie sprawiła na zgromadzeniu rodzinném, zawarta w liście hrabiego Cezarego, wiadomość. Wykrzyki, zapytania, odpowiedzi, krzyżowały się, jak strzały.

— I zkąd się wzięła naszemu biednemu hrabiemu Cezaremu, tak nieśmiałemu zwykle, tak powolnemu woli starszych, podobna odwaga i samodzielność?

— *O! malheureux enfant!* jakże srogo ukarał mnie Bóg przez ręce mego dziecka!

— *Dites maman:* przez głowę, a nie przez ręce! Cezary miał i ma zawsze głowę do pozłoty!

— Ale za cóż my także mamy być karani przez niego! my, ja i syn mój, Wilhelm, którzy nie życzymy sobie wcale mieć nic wspólnego *avec des Kniks!*

— Wszakże musi to być córka tego tam... Kniksa z Białowzgórz...

Ostatnie pytanie zwróconém było do Pawelka, jako najlepij, zapewne, poinformowanego w danj sprawie.

— *Oui, Mr. le Comte!* Z Białowzgórz...

— Więc córka tego, co to tam podobno zwaryował niedawno.

— Stary Kniks cierpi w istocie rodzaj obłąkania.

— *La belle affaire!* córka waryata! A któż jest z domu jej matka? — O ile wiem Skórkowska...

— Skórkowska! — rozległ się po pokoju szept zbiorowy, przerażenia i obrzydzenia pełen, i wszyscy, jakby w nadmiarze już przykrych uczuć, umilkli. Po dobrej minucie dopięro, z-za chusteczki, którą hrabina przysłała sobie wciąż twarz, do szkarłatu już teraz zarumienioną, wypłynęło słabym nader głosem wymówione pytanie.

— *Paul!* a kto ją rodzi?

— Kogo, pani hrabino?

— *Ah! cette... cette...* Skórkowska?

— O tém nie mogę już pani hrabiny uwiadomić, ginie to albowiem w pomrokach niepamięci i niewiadomości ludzkiej.



Tu już stanowczo i na długo umilkli wszyscy, a w pokoju słychać tylko było tłumione łkania hrabiny, ciężkie, gniewne sapania hrabiego Augusta, i odgłos kroków szybko po pokoju, w nadzwyczajném już wzburzeniu, biegającego hrabiego Mścisława.

Nagle młody hrabia przerwał burzliwą swą przechadzkę, stanął na środku pokoju i z błyskawicami w oczach, pełnym rozpaczliwego szyderstwa tonem, wymówił:

— *A ce qu'il parait, la bêtise de mon frère va nous coûter beaucoup!*

— *Elle ne nous coûtera rien du tous,* bo małżeństwo to do skutku nie przyjdzie! — zabrzmiał w odpowiedzi suchy, podniesiony nieco tym razem, głos hrabiego Światosława.

Wszyscy obecni utkwili teraz oczy w twarz najstarszego członka rodziny, niby w gwiazdę nadziei, niby w ostateczną deskę ratunku.

Hrabia Światosław miał na pozór twarz obojętną i dumną, jak zwykle, ale tylko na pozór. Przy bliższém przyjrzeniu się, można-by dojrzyć, że tym razem była to tylko maska, przemocą, a w części i z nalogu utrzymywana, pod którą głucho wrzały gniewne, gorzkie uczucia. Przechylony na fotelu swym, ramieniem wsparty o jedną z bocznych jego poręczy, wpił się on w twarz Pawełka przenikliwemi, badawczemi oczyma i z wolna zapytał:

— Byłeś u pani generałowej?



— Byłem, panie hrabio. Tam przecież mieszka siostra moja... chciałem ją widziéć...

— A Cezary? — krótko zapytał znowu najstarszy z hrabiów?

— Hrabia Cezary pojechał do generałowej, w skutek listu jój, w którym zapraszała go do siebie na obiad.

— *A propos de quoi* był u pani generałowej ten obiad?

— Domyślam się, że danym był umyślnie i jedynie dla hrabiego Cezarego.

— Byłeś tam?

— Byłem, panie hrabio.

Tu pomiędzy rozmawiających wtrącił się hrabia August.

— I tę pannę... *chose...* widziałeś?

— Widziałem, panie hrabio.

— Cóż? ładna?

— Bardzo piękna.

— *Mais que le diable l'emporte*, z jój pięknnością! — wybuchnął Mścisław.

— Najstarszy z hrabiów, długim, zimnym, znaczącym spójrzeniem skarcił brata i synowca za niedyskretne przerwanie rozmowy, poczem zwrócił się znowu do Pawełka :

— Pani generałowa zostaje zapewne z panią... Kniks... w stosunkach blizkiej znajomości?.. Wszak to jój krewna po matce?

— Tak, panie hrabio.

Gorzki, szyderski uśmiech wił się po ustach hrabiego Światosława.

— *C'est bien* — wymówił po długim milczeniu, dziwnie ostrym, stanowczym tonem — *ce mariage ne se fera pas!* Małżeństwo to nie będzie zawarte! *Ce moi qui vous le dis, comtesse!*

Na słowa te hrabina szybko powstała, i w milczeniu zbliżywszy się do hrabiego szwagra, w obie swe drżące jeszcze dłonie rękę jego ujęła.

— *Oh! cher frère!* — szepnęła — *Vous nous sauverez de cette honte et de cette douleur! vous nous sauverez, n'est-ce pas?*

— Jesteś głową rodziny, *mon frère* — wyrzekł hrabia August.

Hrabia Mściśław stanął przed starszym stryjem, i na-pół uroczyście, na-pół jeszcze gniewnie, z ukłonem wymówił:

— Jestem na usługi twe, *cher Oncle!* racz rozporządzać osobą moją i wskazywać mi, co mam czynić dla zaradzenia fatalnej sprawie tej, przez głupotę brata mojego na dom nasz sprowadzonej.

Hrabia Światosław nikomu nie udzielił odpowiedzi żadnej. Zwrócił się do Pawelka i rzekł krótko:

— Pojedziesz natychmiast z powrotem do Pómpalina i przywieziesz nam tu hrabiego Cezarego.

Tym razem, po rozpogodzonej, zwykle twarzy

ubogiego krewnego przemknął wyraz lekkiego niepokoju.

— Panie hrabio! — wymówił nieśmiało Pawełek — prosił-bym o kilka godzin odpoczynku. Z Pompalina do stacyi kolei dziesięć mil opętanych, koleją zaś jechałem dwanaście godzin.

— *C'est bien! c'est bien!* nie jesteś przecież murzynem, *mon cher*, możesz odjechać jutro... weźmiesz przedtem ode mnie list do hrabiego...

— *Moi, j'écrirai aussi...* — szepnęła hrabina.

— *Et moi* — zawołał hrabia August — jestem przecież stryjem jego i mam prawo... gdyby Wilhelm był tutaj, posłał-bym go tam zaraz...

— Ja tam do Cezarego pisać nie będę! — rzucił Mścisław, ale jak tu przyjedzie, *je lui ferai bien sa leçon!*

— Mścisławie — rzekł jeszcze hrabia Światosław — nie zapomnij o tém, że Pawełek będzie potrzebował na drogę pieniędzy.

— Gdyby hrabia, mój kuzyn, zapomniał o tém — podchwycił Pawełek — przypomniał-bym mu sam z pewnością, jak bowiem pan hrabia wie, na tym świecie nic darmo nie dają, a na moich gruntach złoto i srebro nie rodzi...

— Wiész dobrze, *Paul* — wyrzekł z lekkim zmarszczeniem czoła hrabia Mścisław — że nie zamykam nigdy przed tobą méj portmonetki...

Lekki, zaledwie dostrzegalny rumieniec przesu-



nał się po śniadém czole Pawełka. Z całym jednak swobodnym ukłonem i uśmiechem odpowiedział:

— Oh! hrabio kuzynie! wspaniałomyślność twoja jest mi nadto dobrze znaną, abym kiedykolwiek śmiał o niéj wątpić!

W ten sposób, towarzystwo całe, uspokojone nieco tak stanowczém wdaniem się głowy rodziny w groźną i bolesną dla téjże rodziny sprawę, zwolna rozchodzić się zaczęło, a w kilka minut potém, w pokoju hrabiego Światosława zapanowała cisza zupełna.

Kiedy najstarszy z Pompalińskich patrzył za opuszczającymi go jednocześnie prawie gośćmi, we wzroku jego było więcej daleko zimnego, milczącego szyderstwa, niż tkliwości, więcej zadowolenia z tego, że już raz sobie odeszli, niż żalu nad tém, że go opuszczają.

Dwugodzinny, panujący wkoło niego gwar, zmęczył go widocznie, znużył i zniecierpliwił. Przyćém z twarzy jego nie zniknęły jeszcze zupełnie ślady wzruszenia, doświadczonego przed chwilą przy tylokrotném wspomnianiu owéj tajemniczéj mieszkanki Litwy i niefortunnéj swachy jego synowca, pani generałowej.

Z czołem, na którem liczne a nieruchome zazwyczaj bruzdy drgały teraz i krzyżowały się nakształt zmaconych nagle fal spokojnéj zwykle wody, z ustami, drgającemi przykrym uśmiechem, utkwiał on

zmaconą źrenicę w przedmiocie jakimś, znajdującym się na przeciwległej ścianie. Był to przedmiot bardzo drobnych rozmiarów, nic więcej, jak mały koloryzowany dagierotyp, mający kształt medaliona, w złoto oprawny, a przedstawiający popiersie młodej dziewczyny, z wielkimi szafirowemi oczyma, z kruczym włosem i bladą, delikatną, smutną twarzą. Dagierotyp stary był już bardzo, więc mimo szkła, które go osłaniało, spłwiała i na-pół tylko wyraźny; wisząc zresztą w znacznej od hrabiego Światosława odległości i wśród mnóstwa daleko świeższych i większych rozmiarem portretów i malowideł, zaledwie mógł być widzialnym. A jednak hrabia Światosław wyraźnie snadź widział przed oczyma swemi te drobne, blade, smutne, a pomimo smutku, tłumionej namiętności pełne, rysy dziewczęcia, na starym dagierotypie przedstawionego, bo patrzył na niego długo i uparcie, a wzrok jego ożywił się niewidywanym u niego nigdy, z tajemniczych, zda się, głębin jego istoty buchającym, ogniem. Po dłuższej chwili wpatrywania się takiego w spłwiała dagierotyp, usta jego poruszyły się i wymówiły na-pół głośno:

— Jakże dobrą masz pamięć, Cecyliu! jakże wytrwale obdarzasz mnie dowodami swój pamięci! Dziwna! dziwna, biedna kobieta!

Po wymówieniu wyrazów tych, wzrok hrabiego osuwać się począł z dagierotypu i gasnąć powoli. W parę minut potém, wyciągnął się on wygodnie na

swym długim, niskim fotelu, i zimném już, przezroczy-  
stém, jak odłam lodu, okiem, patrzył wokół pokoju,  
po wszystkich tych miejscach, na których przed kwa-  
dransem stali i siedzieli, o względy jego współubie-  
gali się i o sprawach a zaszczytach domu radzili  
członkowie jego rodziny; uśmiechnął się zwykłym już  
sobie sposobem, znudzonym i nieco szyderskim, po-  
czém z powolnym giestem ręki, oznaczającym głębo-  
kie znużenie, wymówił jeszcze:

— Próżność nad próżnościami i wszystko próż-  
ność!

---



### ROZDZIAŁ III.

---

Opuściwszy pałac bogatego krewnego swego, Pawełek Pompaliński szybkim krokiem przebył kilka głównych ulic Warszawy, wszedł w jedną z uboższych dzielnic miasta tego, i zatrzymał się przed wązką, wysoką, na brudno ceglasty kolor pomalowaną kamienicą. Gdy wchodził w bramę i raźnie wbiegał na cztero-piętrowe, wązkie, strasznie strome i dostatecznie brudne wschody, w ruchach jego i w wyrazie twarzy znać było żywą radość, iż stawał u upragnionego widocznie celu swój wycieczki. Z uśmiechem, niewyłączającym bynajmniej pewnego, acz przyjemnego wzruszenia, pociągnął za dzwonek u drzwi dość niskich, obszarpanych, niezwiastujących bynajmniej, aby za nimi znajdować się mogło siedliśko bogaczy i wielkich tego świata. Po zadzwonieniu nastąpiła dość długa pauza. Za niskimi drzwia-

mi panowało milczenie. Pawełek niecierpliwił się i znać było, że nawet niepokoił się trochę; widocznie jednak nie śmiał dzwonić po raz drugi. Po kilku minutach dopiero dał się słyszeć we wnętrzu mieszkania szelest jakiś, coś nakształt powolnego i ciężkiego sunięcia po ziemi, spadających co chwila z nóg czyichś, klapiących pantofli.

— Czy to ty, Adelciu? — dał się słyszeć z-za drzwi głos męzki, miękki jednak, nieco nosowy i nadzwyczaj energicznie litewskim przeciągłym akcentem zaprawiony.

Usłyszawszy zapytanie to, Pawełek uśmiechnął się figlarnie, poczem, zbliżając usta do drzwi samych i nadając głosowi swemu brzmienie jak najwięcej do brzmienia kobiecego głosu zbliżone, odpowiedział:

— To ja, Wandalinie, otwórz!

Klucz obrócił się w zamku, Pawełek z dziecinną prawie swawolą, chichocząc bardzo cicho, usunął się aż pod ścianę, tak, aby go otwierająca drzwi osoba odrazu dojrzyć nie mogła.

Otwierającą drzwi osobą był mężczyzna, lat może czterdziestu kilku, z niepomiernie otyłą postacią, owiniętą w szlafrok stary, jedwabny, wystrzępionym i brudnawym sznurem w pasie przewiązany. Trochę łysa i trochę siwiejąca głowa jego silnie przymocowaną była do reszty organizmu karkiem krótkim, grubym i czerwonym. Twarz jego, o czole niskim

i mocno rumianych policzkach, miała okrągłość księżycy i pulchność świeżo wypieczonej bułki, a całą ozdobą twarzy téj, jak i całej, niezbyt powabnej i idealnej postaci, był bujny wąs siwiejący i jasno-błękitne oczy, jak u dziecka przezroczyście, z miękkim, dobrém, pomocy jakby i opieki wzywającym, spójrzaniem. Otworzył na-pół drzwi i, nie wychylając z-z nich głowy, miękkim swym głosem i z przeciągłym akcentem zapytał:

— A co, Adelciu? czy będą dziś kartofelki smażone?

— Kartofelki, nie wiem czy będą, ale ja tu jestem — własnym już głosem odpowiedział Pawełek, i zarazem wysunął się tuż przed oczy pana Wandalina, który naprzód drgnął lekko z przestachu, potem jednak radośnie zawołał:

— Pawełek!—i przed przybyłym w całej szerokości krótkie a pulchne ramiona swe roztworzył.

— Ja, ja to jestem we własnej méj osobie — odrzekł Pawełek, wchodząc do pierwszego, dość małego pokoju, który widocznie był sypialnią i zarazem kuchnią, stało w nim bowiem parę łóżek, czystą bardzo pościelą usłanych, na sporym kominie palił się ogień, i kipiała w garnku gotująca się strawa, a pod oknem na stole znajdowały się różne kuchenne przybory.

— Cóż? doprawdy? jesteś znowu w Warszawie?— wołał pan Wandalin, pomimo oporu przybyłego, po-



magając zdejmować mu palto. — Ot tu połóż palto, tu, na łóżku Adelci! z krzesła mogło-by spaść i powalać się około tych kuchennych rupieci... na wieszadła nie zdobyliśmy się jeszcze... No, chodź, chodź do salonu, kochany gościu!

Wyrażenie: salon, brać tym razem należało w znaczeniu czystej metafory; odnosiło się ono bowiem do miejsca, które zaledwie na miano porządnj izby zasługiwało, a i to dlatego tylko porządnj, że panowała w niej czystość wzorowa, obok, przyznać należy, zarówno wzorowego ubóstwa ścian i sprzętów. Istniało jednak w ciasnym i biednym pokoiku tym kilka przedmiotów, widocznie z salonu tu przyniesionych: album jakieś, w kosztownej, malachitowej oprawie, na stole leżące, i osobliwie nader wyglądające przy wielce taniój i pospolitój serwecie siatkowój; złoty narpastek kobiecy, rzucony niedbale obok pokrajanego płótna, z którego ktoś tu własnoręcznie dość grubą męzką koszulę sporządzał; para fotografii w kształcie medalionów, w ładnie rzeźbione ramy oprawnych, a wiszących na ścianie nagiój, w miejscu obicia, szafranowo-żółtą farbą chropowato powleczonój.

Pan Wandalin przecież, izbę tę nazwawszy *salonem*, w skutek dawnego jakiegoś przyzwyczajenia zapewne, i zaprosiwszy do niej gościa giestem prawdziwego gentlemana, któremu uprzejmość i dystynkcyja układu w krew i naturę przeszyła, zasiadł na jedynj znaj-

dującój się w salonie, twardój a wazkiój kanapce, i zapytanie swe powtórzył:

— Jesteś więc znowu w Warszawie?

— Jestem, ale wkrótce nie będę, dlatego pośpieszyłem odwiedzić szanownych państwa... gdzież jest pani Adela?

— Zaraz, zaraz nadejdzie! poszła tam, do skle-  
piku, kartofli kupić na obiad... Ot, zachciało mi się  
dziś smażonych kartofli i wygadałem się z tém, nie  
chcąc jakoś, przed żoną... Żałowałem potém tego,  
bo biedne żonisko, chcąc mi dogodzić, fatygować się  
musi... a Bóg tylko wie, jakie ona już i tak trudy i fa-  
tygi ponosi... zresztą i wydatek niepotrzebny, bo  
w naszym terażniejszym położeniu jednéj potrawy na  
obiad dosyć.. aż nadto dosyć... byle-by i ta codzien-  
tylko była... Ale ot tak jakoś starego człowieka zdu-  
sić w sobie jeszcze nie mogę... To tego się zechce,  
to owego... a choć dziewięćdziesiąt dziewięć razy na  
sto potrafię dobrze język za zębami utrzymać, to  
przecież setny raz z ust się coś wymknie, a potém,  
sumienie gryzie... cóż robić? cóż robić? Żebym tak  
mógł odmienić się i przedzierzgnąć w całkiem innego  
człowieka, takiego żwawego, bystrego człowieka... ale  
cóż, kiedy ani weź! najgorsza biéda, mój Pawełku, że  
schudnąć nie mogę, żadnym sposobem nie mogę! Zda-  
je się, że i zgryzot już tyle przebyłem, i niedostatku,  
i smutków różnych.. a cielska tego, panie dobrodzie-  
ju, jak nie ubywa, tak nie ubywa... Wszak prawda,



Pawełku, że nie zmizerniałem wcale od ostatniej twój bytności tutaj? No, przypatrz się mnie, dobrze tylko przypatrz się, mój drogi! czy zmizerniałem choć trochę... choć odrobinę... choć odrobineczkę...

Mówiąc ostatnie słowa, pan Wandalin prostował się na swém, zbyt wązkiem dla niego, siedzeniu, zgnębiony jakby wstydem za obfitość ciała swego, obcisnął dokoła siebie szlafrok swój, przykurczał ramiona i łagodnemi, przezroczystemi oczyma swemi z niespokojnym oczekiwaniem na Pawełka patrzył.

— Ależ zmizerniałeś pan, zmizerniałeś znacznie — tonem pocieszenia wyrzekł Pawełek, którego żywe, błyszczące oczy mieniły się wyrazem serdecznego, litościwego współczucia i powściąganemi uśmiechami.

— Ej, czyż doprawdy? czyż doprawdy zmizerniałem? — radośnie z razu zawołał pan Wandalin, ale po chwili uczynił ręką giest głębokiego zniechęcenia, i rzekł smutnie. — E! to ty tak sobie mówisz, byle-by mnie pocieszyć; ale ja czuję, dobrze czuję, że zawsze jednostajnie jestem otyły... ot, dał-bym tysiąc rubli...

Tu przerwał sobie nagle i zaśmiał się wesoło.

— Których nie mam — dokończył. — Przywykło się przez życie całe sypać tysiącami, jak plewą, to i teraz lubę te tysiączki na język leżać... no, ale na prawdę, Pawełku kochany, ty tam przecież szastasz



się po świecie, i pomiędzy różnymi ludźmi bywasz... nie słyszałeś tam czasem o jakim lekarstwie od otyłości?... a? Podobno nawet i doktorowie leczą teraz od tego... nie słyszałeś czasem jakim sposobem? czém? mój łaskawco! przypomnij sobie tylko dobrze i doradź!

— Ruszać się coraz więcej, powiadają lekarzel ruszać się!

Pan Wandalin, który chciwie słuchał Pawełka, przy ostatniem słowie jego skinął znowu ręką ze zniechęceniem.

— Łatwo to powiedziéć: ruszać się! ruszać się a jakże ja to ruszać się będę? gdzie? po co? za czém? bruk zbijać napróżno lenię się i wstydzę gorzej jeszcze, niż być otyłym... a i domu pilnować trzeba... żona i córka cały dzień na mieście... przy robocie...

— Pani Adela zawsze lekcy muzyki na mieście daje?

— A cóż robić? męczy się kobiecisko... zamęcza się... byle żyć i nas wyżywić.

— A panna Rozalia?

Przy ostatniem zapytaniu tém, Pawełek, nie wiedziéć czemu, oczy spuścił i nawet zarumienił się trochę.

— Rózia chodzi teraz do fabryki tytoniu... papierosy robi.

— Do fabryki tytoniu! —zawołał Pawełek z nie-

pospolicie żywém poruszeniem—ależ to nie zdrowo na piersi! Panna Rozalia jest tak wątłą, delikatną...

Na czoło pana Wandalina wystąpiło parę kropel potu. Otarł je drżącą trochę ręką i niepewnym głosem odpowiedział:

— Cóż robić? łaskawco mój! cóż robić? żyć trzeba, a ja... ja... no, co tam już o tém mówić... dość spojrzeć na mnie, aby odgadnąć, że jestem... wiesz kto? oto *Ciastuś!* nic więcej, tylko *Ciastuś!*

Ostatnie wyrazy pan Wandalin wymówił z takim komiczném pomieszaniem gniewu, smutku i dobrodusznego zaparcia się swój miłości własnej, że Pawełek i zasmucił się, i zaśmiał zarazem.

— Co pan mówisz? — zawołał — pan, doprawdy, zbyt źle samego siebie przedstawiasz...

— Daj pokój! daj pokój! — mówił pan Wandalin — wiesz dobrze, boś sam to nieraz słyszał, że dla flegmatycznego temperamentu, a może i dla wyglądanja mego, ludzie przewali mnie Ciastusiem, tak też wołali na mnie kochani, oj, kochani i niezapomniani mi nigdy dawni sąsiedzi i przyjaciele moi... a mieli racją!... Ciastusiem urodziłem się... Ciastusiem żyłem, ale dalibóg... (tu pan Wandalin pulchną swą pięścią w pierś się uderzył), ale dalibóg teraz Ciastusiem żyć mi się nie godzi... Ot i dzwonek! To Adelcia wraca, albo może i Rózia na obiad przychodzi... Prze-



praszam cię, mój drogi... lokajów u nas niéma, pójdę drzwi otworzyć...

— Ja pana wywęczę! —zawołał Pawełek, i zanim gospodarz domu zdołał powstać z kanapy, przyskoczył do drzwi i klucz w zamku obrócił.

— Pan Paweł! — rozległy się na progu dwa okrzyki kobiece, w których jednostajnie żywe czuć było zadowolenie, z tą jednak różnicą, że jeden z okrzyków śmiały był i dość głośny, drugi cichszy i głębszym, bardzo nieśmiałym, wzruszeniem drżący.

Do pierwszej izby weszły dwie kobiety: jedna średniego wieku, dość niska, trochę krępa, z ciemną, przywiedłą twarzą, śród której świeciła para oczu piwnych, bystrych i pocziwych; druga młodziutka, ośmnastoletnia może, smukła, szczupła, bladolica, z czarnymi długimi rzęsami, rzucającemi smętne cienie na ściągłe, delikatne policzki. Obie były nadzwyczaj skromnie ubrane w ciemne wełniane sukienki, tylko że, gdy starsza niosła na ramieniu spory kosz zamknięty, a na głowie miała zarzuconą dużą ciepłą chustkę, ciemne warkocze drugiej zdobił skromny kapelusik z czarną zasłonką.

Pawełek z głębokim uszanowaniem ucałował rękę starszej z dwóch kobiet, ale, gdy druga wyciągnęła do niego na powitanie drobną, chudą rączkę, twarz jego zmieniła się tak bardzo, w oczach jego zagrała taka smętna, głęboka tkliwość, że nie można



było wątpić ani na chwilę, iż świetne i pełne chwały nazwisko, które nosił, nie przeszkadzało mu ani trochę być szalenie rozkochanym w ubogiej, na czwartym piętrze mieszkającej fabrykantce papierosów. Wzajemnie też, czarne długie rzęsy fabrykantki papierosów podniosły się z wolna, a wielkie, piwne, głębokie jej oczy, utkwily w twarzy młodego człowieka na króciuchną tylko chwilę, ale z wyrazem, który, nieśmiało i mimo woli, lecz nieprzeparcie, zdawał się mówić: czekałam! tęskniłam!

— Wandalinie! a tyś jeszcze nieubrany! — zawołała pani Adela, spostrzegłszy męża, stojącego na progu *salonu*, i z lekkim zmieszaniem spoglądając na prezentujący się gościowi brudny jego szlafrok.

— Zaraz, kochanie, zaraz! ot zagadałem się trochę z Pawłem...

— Ależ nim pan Paweł przyszedł, nie było czasu?...

— Ty bo, kochanie, na wszystko czas masz... u ciebie wszystko pali się w rękę... u mnie bo nie...

— Wiem, wiem, że nie; ale idź-że już teraz przynajmniej i ubieraj się!... idź-że!...

— A gdzież ja teraz pójdę? — zapytał pan Wandalin, ramiona roztwierając i oglądając się dokoła z zakłopotaniem najwyższym.

W istocie, miejsca tu do wyboru nie było dużo; pani Adela jednak na-pół śmiejąc się, na-pół gderząc,

pochwyciła męża za rękę i szybko, energicznie, bez ceregeli najłżejszych, wypchnęła go za niezgrabny, obdarty mocno parawan, jedno z łóżek w kuchni umieszczonych osłaniający.

— Masz tam wszystko, co potrzeba, bo jużem to z samego rana przygotowała — rzekła, poczem zwróciła się do Pawelka, który, rzecz dziwna! pomimo błęgiego wrażenia, jakiego doświadczył na widok panny Rozalii, stał z dala od niej, milczący, sztywny, zamysłony, z chmurą na czole.

— Wybacz, panie Pawle, że my z Rózią zajmujemy się ostatecznym wykończeniem naszego codziennego arcydzieła, to jest obiadu; a nawet, jeśli masz dość czasu, zjedz może razem z nami to arcydzieło. Nie-wyśmietnite będzie ono i niezbyt obszerne, ale jestem pewna, że, spożywając je ze swymi prawdziwymi przyjaciółmi, krzywić się na nie nie będziesz.

Zdawało się, że dla Pawelka nic nad te zaprosiny bardziej upragnionem być nie mogło, tak mu się wnet twarz schmurzona rozjaśniła, z taką żywością poskoczył ku pani Adeli, w rękę ją pocałował i zapytał wesoło:

— Może się też i ja paniom na cośkolwiek tu przydam?

— A i owszem — również wesoło odrzekła pani Adela — wypróżnij pan zaraz ten kosz, który z miasta przyniosłam. Rózia niech zdejmie rękawiczki... coś ty się tak zamysliła, moje dziecko, i dlaczego do-



tąd kapelusza nie zdjął?... Rozbierz się zaraz i pobieraj kartofle, pan Paweł je pokraja, a ja tymczasem lepiej ogień rozpalę, bo już prawie zagaś!..

Szczególny, bardzo szczególny był to widok, tych białych, podłużnych, najczystsiej arystokratycznych rączek panny Rozalii, uwijających się z wielkim kuchennym nożem około brzydkich, szarych, chropowatych kartofli! To też Pawełek, na rączki te zapatrzony, krajał kartofle, które z kolei składały one na stolnicy, w prawo i w lewo, w drobnouchne kawałeczki, i w olbrzymie kawały, a w oczach jego na-pół spuszczonech mgliły się takie rzewne, takie smutne i litościwe jakieś, chwilami nawet tak namiętne uczucia, że, patrząc nań w owej chwili, ani-by się domyślić można, że był to ten sam młody człowiek, który przed godziną tak swobodnie i dystyngowanie, z takim zda się lekkomyślném niedbanie o nic, obracał się śród towarzystwa, zgromadzonego w pysznym salonie hrabiego Światosława.

Ani razu jednak nie podniósł wzroku na twarz młodéj panny, z obawy jakby, aby nie powiedziéć po raz drugi tego, co przy powitaniu, mimo woli i przymocą, wydarło mu się na zewnątrz. Milczał więc i pilnie niby spełniał zadaną sobie robotę. Rózia, spełniając téż swoją gorliwie, rzucała od czasu do czasu na tak dziwnie oniemiałego towarzysza swego zdziwione nieco i zaniepokojone spójrzzenia.

— O czém pan dziś tak zamyśla się głęboko, pa-



nie Pawle? nigdy jeszcze nie widziałam pana tak zamysłonym i milczącym? — ozwała się nakoniec z uśmiechem, w którym jednak krył się niepokój.

— Al pan! — odrzekł Pawełek, siląc się téż na uśmiech i nie podnosząc oczu, w samém Piśmie Świętém, w księdze Deutoronomium czy Przysłowiów, nie pamiętam już dobrze, wyraźnie stoi wypisane, że bywa czas na wszystko: czas radowania się i czas smucenia, czas tańczenia i czas zamysłania się...

— Biegły jesteś w nauce Pisma Świętego, Pawełku — ozwał się z za parawana pan Wandalin.

— Ślęczałem nad niém, szanowny panie, wraz z hrabiami kuzynami mymi i pod przewodnictwem labego Lamkowskiego, dobry kawał mego życia.

— Bylibyśmy bardzo zmartwieni, gdyby dla pana, kochany panie Pawle, nadszedł zaprawdę czas smucenia się — rzekła pani Adela, nie odwracając twarzy od kuchennego ogniska.

— Ach pan! — żartobliwie westchnął Pawełek — gdybym posiadał był choć trochę oleju w głowie, smucił-bym się już był z pewnością od pierwszego dnia urodzenia mego. Nie dziw zresztą! wszak wielcy nawet i potężni tego świata doświadczają nieraz ciężkich trosk i zgryzot, cóż dopiero biedny robak, jak ja...

Głos mu zadrzał, zdawać-by się mogło, że łąza stłumioną. Szybko jednak podniósł głowę i, patrząc na panią Adelę, która, przysiadłszy na ziemi, z zaru-

mienioną od wysilenia twarzą, kształtnemi, jakkolwiek zgrubiałemi już nieco, rękoma, przykładała coraz wilgotnych drewek do leniwie rozpalającego się ognia, roztworzył ramiona z komiczną amfazą i zawołał:

— Cóż-by naprzykład powiedzieli hrabiowie krewni moi, Światosław, August i Mścisław Czólno Don-Don Pompalińscy, jakiém było-by zmartwienie ich i zawstydzenie, gdyby w téj chwili znajdowali się na mojem miejscu i widzieli, jak pani Adela Wandalinowa, z domu Pompalińska, własnymi rękoma...! w piecu pali!

Wykrzykowi temu, niby stłumione echo, odpowiedziało z za parawana ciężkie westchnienie pana Wandalina, ale pani Wandalinowa zaśmiała się głośno i wesoło.

— O! ręczę ci, kochany panie Pawle, że dostojni krewni twoi, hrabiowie Czólno, i jak tam jeszcze, Pompalińscy, tyle dbają o mnie i o wszystko; co ze mną dziać się może, jak o śnieg, który w przeszłym roku padał. Jakkolwiek jestem krewną ich, niezbyt daleką nawet, katastrofa majątkowa, której uległam wraz z rodziną moją, zatarła raz na zawsze wszelkie, łączyć nas mogące, genealogiczne wywody!

Tak; nie żartujcie sobie czytelnicy ani ze mnie, ani z państwa Wandalinowstwa, i nie posądzajcie mię o to, abym ośmieliła się wprowadzić was w progi byle tam kogo... Pan Wandalin był ex-obywatelem wiejskim, pani Wandalinowa była Pompalińską z domu,



i to Pompalińską, pochodzącą z gałęzi wspaniałego drzewa tego, nie głównój co prawda, ale téż i nie najpośledniejszój. Pan Wandalin był nawet niegdyś wcale majątnym obywatelem, posiadał bowiem we władaniu swém za ś. p. pańszczyzny sto chat, czyli mniej więć około sześćset dusz męzkich, żeńskich nie licząc. Pani Wandalinowa wniosła téż mężowi w posagu sumkę okrągłą, sto tysięcy złotych polskich, oprócz zasobnej wyprawy, składającój się ze sreber, axamitów, web i t. p. Żyli sobie tedy państwo Wandalinowstwo przez cały ubiegły żywot swój dostatnio, potrochu nawet zbyt kownie. Starczyło im na to. Nie odłużali się, nie marnotrawili. Wandalin, jakkolwiek Ciastusiem był, na gospodarstwie znał się i powoli sobie, nie spiesząc, nie fatygując się zbyt, zajmował się niém o tyle, że bezrzędu i strat znacznych w pięknym Kwiecinie jego nie bywało. Co do pani Adeli, o téj niéma co i mówić. Czynniejszój, energiczniejszój gospodyni nie było nad nią, jak nie było w całym sąsiedztwie weselszój, do zabaw skłonniejszój i szykowniej a smakowniej ubierającój się kobiety. Zachodziły tam nawet podówczas niejakiestunki z lekka pokrewieńskie pomiędzy domem państwa Wandalinowstwa, a główną gałęzią rodu Pompalińskich. Hrabia August, ilekroć przyjeżdżał w rodzinne swe strony, polował z panem Wandalinem w jego lasach i w swoich, a hrabina Jarosławowa, wydając raz, za życia jeszcze męża swego,



wielki bal w Warszawie, na który zjechać się miała cała arystokracja litewska, zaprosiła na niego i panią Wandalinową, liścikiem pachnącym i zaczynającym się od słów: *chère cousine!* Takie-to niegdyś bywały świetne czasy dla dzisiejszych mieszkańców czwartego piętra, starój ciemnej kamienicy! Ale fortuna zmienna jest. Na ośm lat mniej więcej przed opisywaną tu epoką, kiedy jedyna córka państwa Wandalinowstwa, Różia, miała nie więcej, jak lat dziesięć czy jedenaście, państwo Wandalinowstwo, przez długi rodziców, stracili majątek. Ta sama wielka burza, po której przejściu, Tutunfowicze, Kobylkowscy, Kniksy i t. d. zdobyli sobie tak rozmaite i pięknie brzmiące przydomki, uniosła na fałach swych dom państwa Wandalinowstwa, a uniosła go dla nich bezpowrotnie. Z domu tego, w którym gościć od czasu do czasu nie wstydził się sam hrabia August Pompaliński, pani Adela uniosła tylko owe zbytckowne przedmioty, któreśmy przed chwilą widzieli: album pamiątkowe w cennej oprawie, parę fotografii w kosztownych ramkach i złoty naparstek. Z temi-to przedmiotami przybyła do Warszawy i one-to teraz, w ciasnych ubogich izbach czwartego piętra, leżąc na stole lub wisząc na ścianie, uśmiechały się do niej, palącój w piecu i własnemi rekoma gotującój strawę, rzewném wspomnieniem lepszej przeszłości. Nie roztkliwiała się przecież widokiem ich pani Adela i rąk nie opuszczała,

chyba późnym wieczorem lub wczesnym bardzo porankiem, gdy pan. Wandalin i Rózia już, lub jeszcze, spali, a ona, krzątając się po dwóch małych izdebkach i nad obiadem jutrzejszym mozolnie nieraz głowę łamiąc, przerywała sobie od czasu do czasu krzątanie gospodarską i prozaiczną myśl o kawałku codziennego chleba, aby usiąść na parę minut, ze złożonemi na kolanach dłońmi, zamyślić się głęboko, i ze łzą, kręcącą się w wiecznie roz pogodzoném, bystro spoglądającym oku, popatrzeć na bledziuchną, delikatną twarz córki, z której praca ciężka i niewygody różne spędzały coraz bardziej świeże barwy zdrowia i młodości. Zamyślenia te i rozrzewnienia pani Adeli nie trwały nigdy dłużej nad minut parę, podczas których jednak budziła się niekiedy, lub oczy otwierała, nieśpiąca już Rózia, a widząc matkę, w niezwykłej jej wcale postawie siedzącą i zamyśloną zrywała się z wąskiego łóżeczka swego na równe nogi, zarzucała na siebie wytarty szlafroczek i, w mgnieniu oka stając przed panią Adelą, zapytywała, co ma zaraz wykonać: czy bawialnią zamieść, czy samowar nastawić, czy szklanki do herbaty pomyć, lub ze składziku drewek do rozpalenia w piecu przynieść. Pani Adela wskazywała zawsze córce lżejsze do spełnienia roboty; nastawianie samowara, noszenie drzewa i kupionych na mieście wiktuałów pozostawiała sobie. Nie dlatego wcale, aby zbyt mocno rozpieszczała jedynaczkę i chroniła ją od



pracy, ale że silniejszą fizycznie czuła się od córki, i że w naturze jój leżało: sobie przysparzać, a ukochanym oszczędzać trudu. Niekiedy jednak, przed udaniem się do porannych swych zajęć, dwie kobiety patrzyły na siebie przez chwilę i trzymały się w objęciu, poczem, gdy Rózia, w przystępie nagłej, nerwowej nie-co czułości, rzucała się matce na szyję, wołając głośniej nieco:

— Najdroższa, najlepsza, biedna moja mamol!

Pani Adela odpowiadała jój długim pocałunkiem i ostrożnym szeptem:

— Cicho, Róziu! cicho! nie obudź ojca! niech śpi biedaczysko! nagryzie się i tak dosyć przez dzień cały.

I w téj chwili także, gdy z za wielkiego parawana rozchodziło się głośne pluskanie i sapanie żarliwie myjącego się pana Wandalina, pani Adela, wesółą i czynną jak zawsze, z pomocą Pawelka wysunęła stół na środek izby i zastawiać go poczęła na cztery osoby, błyszczącym od czystości naczyniem z grubego fajansu. Rózia wycierała talerze i podawała je matce. Pomagał jój w tém Pawełek, przyczém, po dość długim jeszcze milczeniu, wymówił:

— Prosił-bym kuzyneczkę o pokazanie mi *zielonego*.

Rózia uśmiechnęła się już wesółą, postawiła na stole przetarte talerze, a sięgnąwszy do malutkiej i, kto wie? umyślnie może ku przechowywaniu zielonego przyszytej do kaftanika kieszonki, z tryumfującym



spójrzeniem pokazała krewnemu owiniętą cienkim papierem, uschłą gałązkę heliotropu.

— A kuzynka *zielone*? — zagadnęła wzajemnie.

Pawełek ukazał z kolei wyjęty z portmonetki listek Róży miesięcznej! Uśmiechnęli się do siebie oboje i poczęli na stole ustawiać szklanki.

— O cóż to gracie ze sobą w *zielone*? — mieszając w garnku, zapytała pani Adela.

Na pytanie to, z rąk Róży o mało nie wymknęła się trzymana przez nią szklanka. Przedmiot zakładu nie był widocznie łatwym do wymówienia.

— O przyjaźń! kto z nas wygra w *zielone*, ten więcej drugiemu sprzyja! — wyręczając zmieszane dziewczę, odpowiedział Pawełek.

W tej chwili z za parawana wyszedł, w szaraczkowy, luźny bardzo i wygodny surdut ubrany, pan Wandalin, a zbliżając się do ogniska, przy którym żona jego kipiącą zupę na talerze już rozlewała, rzekł:

— Jak byłaś na mieście, Adelciu, dołożyłem do krupniczku trochę pietruszeczki... doda to zapachu... nie prawdaż?

— Byle-byś nie dołożył jój zanadto, to będzie dobrze — odpowiedziała pani Adela, a zwracając się do wszystkich obecnych, dodała z wesołą uroczystością:— Obiad podany!

Pan Wandalin znał się widać na kuchni, bo dołożona przez niego pietruszeczka nie zaszkodziła bynajmniej krupniczкови, który też zajadano dokoła

z apetytem wyśmienitym. Pawełek nawet, jakkolwiek wyhodowany na pysznej kuchni dostojnych hrabiów swych krewnych, znajdował widocznie obiad, ręką pani Adeli sporządzony, najlepszym, jaki jadł kiedykolwiek; sztywność i posępność, w jaką popadał był zwykle na chwilę po każdym żywszym a mimowoli okazanym objawie uczuć swych dla Rózi, minęły szybko, i wesoły zazwyczaj chłopak wesoło towarzystwu swemu opowiadał o wycieczce swój na Litwę, z której dopiero co wrócił, o zamierzaném małżeństwie hrabiego Cezarego z panną Ślepowron Trzaska-Kniksówną i ciężkiój zgryzocie, a cięższym jeszcze wstydzie, jakie wynikały z zamiaru tego dla najbliższej młodego hrabiego rodziny. Śmiała się ze zgryzoty téj pani Adela, uśmiechał się téż, słuchając o niéj, i pan Wandalin, a Rózia szeroko oczy roztwierała, nic a nic nie rozumiejąc, czego się to tak nieznani jój krewni martwić mogli z powodu, że dwoje młodych kochających się ludzi pobrać się ze sobą miało. Mówiono potém trochę o Kwiecinie, dawném, śliczném siedlisku państwa Wandalinowstwa, około którego Pawełek przejeżdżał niedawno i wysiadł był nawet, aby przypatrzeć się z bliska miejscu, pamiętnemu mu z wielu miłych, w dzieciństwie i piérwszej młodości przebytych tam, chwil i godzin. Rózia przypomniała sobie doskonale, jak, będąc jeszcze malutką, bawiła się z daleko starszym od siebie kuzynkiem Pawłem, w obszernym ogrodzie swych rodziców, gdzie było



kilka szerokich alei cienistych i mnóstwo krętych, wązkich drózek, labirynt prawdziwy stanowiących, a wiodących ku cichemu, wiecznie nieruchomemu stawowi, z błękitną głębią i mnóstwem srebrnych rybek na dnie; jak jój kuzynek pomagał kiedyś rybki łowić na wędkę, a raz czółnem długo woził ją po stawie... Tu pani Adela przerwała nić wspomnień Rózi i Pawełka, stawiając na stole półmisek ze smażonemi kartoflami i mówiąc do męża:

— Otóż i potrawa, którą dziś mieć chciałeś, Wandalinie. Jeżeli nie będzie bardzo dobrą, winien temu pan Paweł, który mi kartofle Bóg wie po jakiemu pokrajał...

— Dziękuję ci, kochanie — odpowiedział pan Wandalin — ja tego jeść nie będę...

— Cóż znowu? dlaczego? przecież sam zadysponowałeś...

— Tak, tak... — jękał, zmieszany nieco i załóżnym okiem na ulubioną potrawę swą spoglądający ex-obywatel — to prawda... kochanie... prosiłem cię, ale... ale na wieki zapomniałem, że... że kartofle podobno tuczają ludzi... nie prawdaż Pawełku?

— Nie mogę zaprzeczyć temu — uśmiechnął się zapytany.

— Otóż widzisz kochanie... ja przysiągłem sobie nie robić takiego, co by tę moją otyłość utrzymać albo i powiększać mogło... Dlatego, choć chciałem z rana... ale teraz, przypomniawszy sobie... karto-



felków jeść nie będę... i nigdy już nawet jeść ich nie będę...

Pani Adela nie wiedziała z razu, czy śmiać się, czy łać męza. Nalegała nań przez chwilę, aby nie odmawiał sobie potrawy, nieco, dla niego przynajmniej, smaczniejszej od tych, które jadali zwykle; ale pan Wandalin przycisnął ramiona do boków, odsunął się z krzesłem o parę cali od stołu i, rzucając jednak od czasu do czasu przelotne spójrzania na ponętny półmisek, powtarzał uparcie:

— Nie, nie kochanie! nie będę jadł, nie będę! dosyć już i tak tyje... aż nadto dosyć!

Widać było, że walczył ze sobą, ale z walki wyszedł zwycięzko, przełamał w sobie tym razem starego człowieka i, potrawy, którą lubił bardzo, nie dotknął. Pani Adela też śmiać się i gderać przestała; popatrzyła na męza uważnemi oczyma, poczem spuściła je i zamyśliła się smutno jakoś, choć niedługo. Wbrew wszystkim zwyczajom i obyczajom, przyjętym w domach mniej więcej przyzwoitych i do dynstynki pretensją jakąkolwiek rościć mogących, w domu państwa Wandalinowstwa po krupniku i kartoflach nie nastąpiły ani pieczyste, ani legumina żadna, ani wety. Nie podano tam także czarnej kawy i nie przepędzono jój żadnym zielonym, ani różowym likworem, noszącym nazwę *chasse-café*. Na kartoflach skończyło się tu wszystko, gminnie, prostacko, nieobyczajnie — ale skończyło się; poczem wstano od stołu i pani

Adela, z pomocą znowu Rózi, zajęła się własnoręcznie myciem talerzy, sprzątaniem izby i gaszeniem kuchennego ogniska. Szczególna to była, wyrodna jakaś, o gminnych uczuciach i płytkich pojęciach kobiet! Ot tak, proszę państwa, patrząc na nią, zwijającą się około maluchnego, nędznego gospodarstwa, myśleć-by można było doprawdy, że najzupełniej już zapomniała o tém, iż stała kiedyś na czele licznój włości i dostatnio a wytwornie urządzonego domu; że, co więcej, ani razu nie przyszło jój na pamięć owo tak zaszczytne jednak i chwały pełne wspomnienie o tém, że z domu była Pompalińska, a rodziła ją Wittowtówna, córka Kasztelana, syna Wojewodzicowego... Bywają na świecie czasem wypadki zapomnień takich... choć rzadko! Wkrótce bardzo po obiedzie, pani Adela włożyła kapelusz i sukienną okrywkę, a patrząc na córkę, która, z owym złotym naporstkiem na palcu, szła ojcu koszulę, rzekła:

— No, Róziu, chodź! odprowadzę cię do fabryki, a sama pójdę na lekcye!

— Czy już pora? — z żalem zapytał pan Wandalin.

— I wielka pora! Mam dziś jeszcze trzy godzinny lekcyi, a Rózi rekreacya za kwadrans się skończy...

Rózia w mgnieniu oka gotowa była do wyjścia. Pani Adela podała rękę na pożegnanie mężowi.

— Do widzenia! O siódmój przyjdę dać ci herbaty.. — Potém zwróciła się do Pawelka.



— Odwiedzisz nas znowu, kuzynie, jak będziesz kiedy w Warszawie, nie prawdaż?

Pawełek długi pocałunek złożył na jój ręce, ale zdobywając się na mężne postanowienie, z lekka tylko dotknął dłoni panny Rózalii. Czując ceremonialny jakiś i przymuszony chłód w pożegnaniu kuzyna, Rózalia spójrzała na niego trochę smutnie, trochę gniewnie, poczem, zwracając się ku drzwiom, rzekła od niechcenia niby:

— Wątpię, aby kuzynek, za każdą swą bytnością w Warszawie, chciał nas odwiedzać?

— Dlaczego pani wątpi o tém? — zapytał, przestraszony formalnie tym docinkiem dziewczęcia, kuzynek.

Na widok zasmuconej fizygnomii jego, gniew Rózali zniknął. Zmieszała się bardzo i cicho szepnęła.

— U nas tu nudno może trochę i... smutno!

Tym razem Pawełek nie ujął już, ale pochwycił rączkę kuzynki, ścisnął ją mocno w swój dłoni i już, już usta otworzył, aby wymówić gorące jakieś, z głębi wzruszonego serca płynące słowo; ale nagle, jakby przypomniał sobie o czémś, wyprostował się, drobną dłoń dziewczęcia z ręki wypuścił i, nic nie rzekłszy, złożył tylko przed obu odchodzącymi kobietami głęboki, milczący ukłon, poczem, chmurny i zamyślony, wziął kapelusz swój i widocznie zabierał się téż ku ku wyjściu. Zatrzymał go przecież pan Wandalin.

— Mam z tobą do pomówienia, Pawełku — za-



czał niepewnym głosem — siadaj-no tu na fotelu koło mnie, pogawędzimy jeszcze chwilę...

Pawełek usiadł i z zajęciem oczekiwać zdawał się na zapowiedziane zwierzenia pana Wandalina. Były to przecież zwierzenia niełatwe do wymówienia, pan Wandalin bowiem kręcił się dość długą chwilę na swój wązkiej, twardej kanapce, chrząkał, po stole pulchnemi palcami bębnił, ale nic nie mówił.

— No — zaczął nakoniec bardzo powoli i jakby namyślając się, od czego zacząć — powiedz mi, Pawełku, jak tam stoją teraz hrabiowie Pompalińscy?

Na pytanie to Pawełek zaśmiał się głośno.

— O! Szanowny Panie! — zawołał — mogę panu zaręczyć, że hrabiowie Pompalińscy stoją bardzo prosto i twardy grunt pod nogami swemi mają. Wory złota są tym gruntem, a jakkolwiek hrabia August trochę tam grzeszków ma na swój hypotecę, to jednak, przy pomocy starszego brata i widokach świętego ożenienia się syna, z pewnością do końca świata nie upadnie ni razu.

Pan Wandalin z wielką uwagą zdawał się słuchać tych słów Pawełka, potem rzekł dobrodusznie:

— No, to chwała Bogu, chwała Bogu, że oni tak mocno sobie stoją... myślałem, że przy terażniejszych ciężkich czasach, zachwieli się także trochę... ale kiedy nie, to i chwała Bogu... jedynać to nadzieja kraju na tych, którzy się jeszcze nie zachwieli... tylko, że ja nie o tém właściwie mówić z tobą chciałem,

Pawełku... Oto powiedz mi, jak ty tam stoisz u hrabiów? czém tam właściwie jesteś? jaką czynność u nich pełnisz?

Przelotny płomień rumieńca prześlizgnął się po czole Pawełka, ale usta jego ułożyły się do żartobliwego uśmiechu.

— Dość trudne zadałeś mi pan pytanie — rzekł, nie podnosząc oczu na pana Wandalina i czegoś niby upatrując na podłodze. — Jak stoję u hrabiów? ot, tak sobie, nijako. Ani mię lubią, ani nie lubią. Było tak zawsze i jest teraz. Czém jestem u nich? Ba! to cała litania. Na pozór zdaje się, że niczém, w gruncie zaś—wszystkiém, co pan chcesz: lektorem hrabiego Światosława, łowczym hrabiego Augusta, niańką hrabiego Cezarego, zabawką hrabiego Mścisława, pieskiem pokojowym hrabiny Wiktoryi, komiwojażerem i komisynerem całej publiczności.

Pan Wandalin słuchał litanii téj z uwagą z razu i pewném zdziwieniem, potem jednak spuścił oczy i zmieszał się widocznie.

— Hm, hm — odchrząknął — dlaczegoż nie? dlaczegoż nie? zdolnym jesteś chłopakiem, sprytnym, żwawym, hrabiowie więc wyręczają się tobą... nie wiem tylko, nie wiem, czy to dla ciebie... jak mam powiedzieć? korzystne... ale ja właściwie i nie o tém chciałem mówić z tobą... ot, przystąpię już prosto do rzeczy... wola Boża!

Tu pan Wandalin, widocznie zafrasowany wielce,



otarł dłonią spoczone czoło, poczém, jękając się trochę, zaczął:

— Widzisz, kochanku, chciałem cię prosić, czy nie mógł-byś czasem wyjednać dla mnie u hrabiów... jak ty tam z nimi zawsze jesteś... wyjednać dla mnie, zrozumiej mię tylko dobrze... miejsca jakiegoś... zajęcia... a? co? czy nie mógł-byś?

Pawełek milczał chwilę.

— A! — rzekł — czemuż-by nie? hrabiowie tak obszerne mają dobra, tak dwornie żyją, że miejsc i zatrudnień do rozdania jest u nich zwykle niemało. Rzecz w tém, jakiego-byś pan życzył sobie zajęcia?

Pan Wandalin ramiona przed Pawełkiem z wielkiej radości roztworzył.

— A niechże cię Bóg wynagrodzi za twe poczciwe słowo i tę nadzieję, którą mi uczyniłeś! Jakiego-bym chciał zajęcia? Już to najlepiej-by na wsi... najlepiej, kochany Pawełku, jeżeli można; żonisko tęskni za wsią, Różalka tu więdnie i usycha w oczach... ja się znów na gospodarstwie znam nieźle... ot, ekonomem był-bym z ochotą gdziekolwiek tam u nich: w Pompalinie, czy w Malewsczyźnie, czy w Konarach, czy choćby w którym mniejszym, najmniejszym folwarku... Ale jeżeli już tego najlepszego nie można, to cokolwiek, gdziekolwiek... niech mię rządca którego z domów swoich zrobią, których mają tu kilka, albo odźwiernym jednego z dwóch pałaców...



po prostu szwajcarem... galony na siebie włożę...  
laszkę z gałką do ręki wezmę i, w szklanéj budzie  
siedząc, gościom ich drzwi otwierać będę, byle żyć  
z żoną i córką... byle dopomagać im cokolwiek... byle  
pracować!

— Tak — powtórzył, prostując się i walcząc ze  
wzruszeniem, które go ogarniało — byle pracować  
i nie patrzeć dłużej, jak dwie te kobiety zameczają  
się pracą, aby cielsko moje wyżywić i przyodziać!...  
Ach! Pawełku kochany, ty nie masz wyobrażenia, ile  
ja cierpię, siedząc tu beczynnie, jak jaki leniwiec,  
wtedy, gdy one biedaczki...

Tu umilkł nagle, bo niepowstrzymane już łkanie  
głos mu zatamowało, a dwie łzy, jak groch duże, sto-  
czyły się po rumianych policzkach.

— Żona nieboraczka bakalarzy tam z cudzemi  
dzieciakami, a Rózia... Rózia i tego robić nie może...  
Bogiem a prawdą, dziewczynina nic porządnie nie  
umie, bo i jakąż edukacją dać jéj mogliśmy, tułając  
się po świecie i ciężką biedę klepiąc... Uczyła ją tam  
matka, jak mogła, ale co to z tego? Przyszło teraz  
dziecku po całych dniach w fabryce siedzieć i tytu-  
niem się krztusić... Codzién bledsza, kaszlać zaczy-  
na... O, Boże mój, Boże! a ja... ja siedzę tu z zało-  
żonemi rękoma i patrzę na to biedne, jedyne dziecko  
moje, jak zmęczona i napół-żywa z fabryki powraca  
i przez pół nocy kaszlem się dusi... w poduszki głowę  
chowając, aby mnie nie obudzić...

Załamiał ręce biedny ex-obywatel, a po policzkach jego, za dwiema pierwszemi łzami, spłynęło kilka innych.

— A któż mi uwierzy, że cierpię nad tém wszystkim, że gryzę się, że, jak rosy niebieskiej, pracy jakiej żądam? któż uwierzy w to wszystko, na tę moję przekłętą tuszę patrząc? To téż wstydę się samego siebie i w lustro nigdy nie spojrzę, bo jakbym na siebie teraz popatrzył, to pękł-bym ze złości, albo skończył ze wstydu... Dobrze to jeszcze teraz, ale co za przyszłość? broń Boże żona lub dziecko zachoruje... o wtedy... a? zdychać wszystkim z głodu... bez łyżki wody... bez kropli lekarstwa... a? Oj, Pawełku! Pawełku! daj Boże, abyś nigdy nie doświadczał tego, czego ja teraz doświadczam!

Zakrył twarz obu dłońmi i głośno już a rzewnie zapłakał.

Pawełek zwierzeń tych strapionego ojca rodziny słuchał z głębokim wzruszeniem i współczuciem. Sprobował jednak rozweselić go żartem:

— Daj pan pokój — rzekł — nie rozpaczaj, nie upadaj na duchu! Czyliż nie jest napisaném, że ptaszki niebieskie ani sieją, ani orzą, a jednak żyją!

Pan Wandalin podniósł twarz łzami zalaną.

— A, daj mi pokój z temi ptaszkami! — zawołał — już ja teraz sprobowałem, co to jest nie siać i nie orać, to i nie życzę sobie wcale być takim ptaszkiem...

— Ależ, poszukawszy dobrze — seryo zaczął Pawełek — z pewnością znalazło-by się zajęcie jakieś...

— Otóż to, że ja szukać nie umiem. I zresztą, spójrz tylko na mnie... spójrz...

Roztworzył ramiona w celu niby ukazania Pawełkowi grubiej swój, okrągłej figury w całej jej okazałości.

— Czy kto, spójrzawszy na to cielsko przekłete, takie rozrosłe, uwierzy, że do czegokolwiek zdolny?... jak tu z taką tuszą pójść do kogo i powiedzieć: głodny jestem! Każdy w oczy zaśmieje się i powie: to i owszem! schudniesz trochę przynajmniej! Otóż to, że szukać nie umiem i starego człowieka nie dość jeszcze zabiłem w sobie, aby mózgi pańskie obijać, przedpokoje sobą wycierać i karku uginać... No, nie mogę... dlatego też i udałem się do ciebie, Pawełku! Zlituj się, ratuj i pomów tam o mnie z hrabia-mi! Znajomi byliśmy kiedyś ze sobą... żona moja jakąś im tam krewną jest... niech łaskę uczynią i miejsce mi jakie dadzą... inną nie chcę, ale tę niech uczynią... bo inaczej, żona mi się zamęczy, dziecko suchot dostanie, a ja chyba sobie gardło z desperacyi i wstyd-podu poderzę...

Pawełek powstał z krzesła i z wylaniem dłoń panna Wandalina, drżącą jeszcze ze wzruszenia, uściśnął.

— Wszystko, co w mocy mojej będzie, uczynię —



rzekł — postaram się... jeżeli zresztą nie u hrabiów, to gdzieindziej może... pojmuje pana... rozumiem doskonale... wszak i ja także...

Nie dokończył. Głęboki rumieniec okrył mu twarz całą aż po gęste pierścienie czarnych włosów. Wpatrzył się w ziemię i zamyślił długo jakoś, smutnie. Po chwili jednak zerwał się szybko z miejsca, jak człowiek, którego pierś ściętniona gwałtem świeżego powietrza zapotrzebowała i, śpiesznie pożegnawszy pana Wandalina, zmierzał do drzwi.

U progu pochwycił go raz jeszcze za ramię pan Wandalin.

— Zlituj się! — szepnął — jeżeli-byś tam gdzie na szerokim świecie, od doktorów naprzykład, albo od doświadczonych ludzi posłyszał o jakimś lekarstwie... o jakimś środku od zbytecznej otyłości... zapamiętaj go sobie i powiedz mi, albo lepiej napisz... zbawcą moim będziesz! wstydu mię okropnego przynajmniej pozbawisz!

O ile Pawełek śpiesznie opuścił mieszkanie państwa Wandalinowstwa, o tyle powoli schodził z czteropiętrowych wschodów kamienicy. Przy końcu drugiego piętra stanął nawet, wsparł się łokciami o poręcz wschodów i, zakrywając twarz obu dłońmi, zawołał do siebie:

— Że ja też tym dobrym, zacnym, biednym ludziom dopomóc nie mogę! że ja też nie mogę jój wyrwać z téj przeklętej tytuniowej fabryki!... I nie

móźdz nawet nic jój okazać, ust swoich pilnować, aby przy niój niepotrzebnego słowa nie wymówić! nie śmićć nawet spójrzćć na nią inaczój, jak z chłodną przyjaźnią, aby jój bardzój jeszcze nie przywiązywać do siebie, aby grzechu jój cierpićć na sumienie nie wziąćć! Patrzćć na nędzój jój rodziców i nic nie móźdz, aby jój zaradzćć! Móźdz posiadaćć jój serce i wyrzekaćć się go! O! czyż byćć może, aby tak było zawszćć! aby takim los mój musiał byćć już koniecznićć!

— Nie — dokończył Pawełek monolog swój, czyniąc już piććwsze kroki na ulicy — nie; tak byćć nie może i nie powinno! Bodaj czy ta stara wiedzma Generałowa nie miała słuszności! bodaj czy mi za radą jój pójśćć nie należćć!

Chmurny i zamysłony, Pawełek wrócił do pałacu hrabiego Światosława, gdzie na wschodach już powiedziano mu, że hrabina bardzo pilnie go potrzebuje i poleciła służbie natychmiast go do siebie, gdy wróci z miasta, przywołaćć.

---

## ROZ DZIAŁ IV.

---

W czasie, gdy Pawełek odwiedzał krewnych swych, przy wężkiej i ciemnej uliczce mieszkających, hrabina Wiktorya przyjmowała wizytę, niezmiernie dla niej przyjemną i ważną, a mianowicie: wizytę księżnej B. i córki jęj, księżniczki Stefanii B.

„Jako płomień chwyta się z płomieniem, jak dwóch lutni zlewają się głoski, harmonijném ożenionem brzmieniem”, tak księżna i hrabina *de domo* Księżniczka, spotkały się ze sobą na środku bawialnego salonu i zlały się obie w jednym wykrzykniku zachwycenia, wzajemnie na widok swój doświadczonego.

— *Princessel!*

— *Comtesse!*

Usiadły na kanapie i rozmawiały chwilę o wielkim balu, wydawanym przed dwoma dniami przez baronową K., na którym hrabina Wiktorya nie była, z powodu zupełnego i dość już dawnego usunięcia się od gwarów i blasków ziemskich, a na którym księżna



była, nie dla siebie wcale, o! nie dla siebie, ale dla sprawienia przyjemności i rozrywki księżniczce Stefanii, *pour une jeune personne* bowiem *la vie un peu mondaine* jest, niestety! niezbędną koniecznością!

*La jeune personne*, o której mowa była, nie wyglądała bynajmniej na tę istotę, która-by życie światowe szczególniej ukochała i w której-by to życie wzajemnie kochać się mogło. Przeciwnie, z pozoru przynajmniej sądząc, niepodobnym było, aby istniały na świecie dwa sprzeczniejsze i bardziej wyłączone się wzajem zjawiska, jak sukcesu światowe i powierzchnowość młodej księżniczki.

A naprzód, trzeba się było bardzo pilnie po salonie rozejrzeć, aby móżdż dostrzedz siedzącą na fotelu księżniczkę Stefanią, wzrost jój bowiem, naprzekór wszelkim tradycjom, opiewającym wysokość i wspaniałość książęcych postaci obu płci, nie prznosił wysokością swą wzrostu źle wyrosłego, można nawet powiedzieć karłowatego, dwunastoletniego dziecięcia. Następnie, księżniczka pierś miała mocno wklęsłą, a plecy mocno wypukłe.

Podobny kształt pleców, gdyby wydarzył się wśród gminu, został-by gminnie téż nazwany *garbem*, tu jednak, proszę wierzyć, nie był on niczém inném, jak lekką wypukłością pleców, kunsztownie zresztą okrywaną kamzutami i pelerynkami wszech rodzajów, bujnie koronkami oszywanemi. Z-za kamzutów przebież i koronek wyglądał zawsze bułkowato jakoś

i nieco śpiczasto zuchwały ów wyskok buntowniczej natury, a w wielkiej, zbyt wielkiej nad nim bliskości, unosiła się podłużna głowa księżniczki z twarzą długą, kościstą, o czole niskim, nosie długim i grubym, ustach szerokich, policzkach wydatnych i cerze koloru *paille*.

Nadmierna długość i niepospolita kościstość rąk młodej księżniczki opierały się skutecznie wszelkim zmniejszyć je i wyrównać usiłującym przyrzędom, jako to: sutym koronkowym mankietom i niesłychanie ciasnym, paryzkim rękawiczkom. Były one zawsze i pomimo wszystko długie i kościste, te biedne, książęce rączęta, tak długie i kościste, że gdyby nie były książęcemi, można-by wziąć je śmiało za ręce, któremi odznaczają się zazwyczaj ludzie ułomni i garbaci; że jednak były one książęcemi, wyrażano się zwykle o nich: trochę za dużej! tak jak i o całej postaci księżniczki, z powodu wzrostu jej, daleko więcej, niż niskiego, mówiono: drobniuchna!

Zadziwiająca to była rzecz doprawdy, jakim sposobem, wśród książęcego rodu powstać mogła istota z powierzchownością tak *nieawantażowną*? zadziwiająca tém bardziej, ile że księżna matka była dotąd jeszcze damą bardzo wspaniałą i kształtną.

Takimi-to przecież bywają niekiedy niezgłębione tajemnice i niepojęte błędy kapryśnej natury! Co pewna jednak, to, że na książęcych drogach znajdując się, sama natura nawet czuje się widać onieśmieloną,



niepewną siebie, i jeżeli zbłądzi, błąd swój copędzėj wynagrodzić z całej mocy swėj usiłuje. Tak i tu było. Dając księżniczce wzrost *drobniuchny*, lekko wypukłe plecy, *nos rzymski*, usta *chińskie* i ręce *trochę za duże*, natura przełękła się wnet własnego błędu, i, aby naprawić go o ile możności, okryła głowę księżniczki najpiękniejszemi, płowemi włosami, jakie kiedykolwiek zdobić mogły jakakolwiek najpiękniejszą głowę kobiecą, a pomiędzy policzki wystające i pod niskie jėj czoło włożyła oczy duże, w migdał oprawne, o czystej, błękitnej, jak turkus, anielsko łagodnej, tajemniczo głębokiej źrenicy.

Księżniczka miała w istocie i zupełnie na seryo prześliczne włosy i oczy cudowne, które jednak, niby dyamenty wśród stosu nagromadzonych krzemieni, ukrywały się wśród licznych brzydkości jėj postaci, i niby dyamenty téż, błyskając od czasu do czasu, budziły w sercach tych rzadkich ludzi, którzy umieli dojrzyć je i pojąć, w miejsce wstępu—miękką sympatyą, w miejsce szyderstwa—ciepłe, litościwe współczucie.

Nie umiał snadź oczu tych dojrzyć i pojąć hrabia Mścisław, skoro, w rozmowie swėj ze stryjem, porównać mógł księżniczkę do czarownicy. Nie; nie wyglądała ona bynajmniej na złowrogie jestestwo, miano to noszące; przeciwnie, miała z powodu oczu swych pozór łagodnej, tkliwej, nieśmiałej duszyczki, zgnębionej chropowatością okrywającej ją ziemskiej



powłoki, ale która, gdyby wskazanym jój był tylko lot jaki wysoki, leciała-by i lecieć zdołała pod błękity; która, jeśli-by nie mieszkała w księżęcóm ciele i nie była obarzoną nierozłącznemi ze stanem tym potrzebami i przyzwyczajeniami, obarczyć-by się może chciała i zdołała dobrymi jakimi, słodkimi a wzniosłemi obowiązkami i cnotami!

Tymczasem jednak, ponieważ księżęcą była, duszyczka księżniczki Stefanii obojętną wydawała się na wszystko, co ją otaczało, tak obojętną, że, patrząc na nią, jak siedziała na fotelu, pochłonięta całkiem i ukryta przed światem wysokością jego poręczy, ze złożonemi nieruchomo na błękitnej jedwabnej sukni rękoma, z pochyloną głową i spuszczoneym ku ziemi wzrokiem, można-by rzec... można-by rzec doprawdy, że... o bluźnierstwo!... że księżniczka, jakkolwiek zrodzona i wzrosła w atmosferze pałaców, czuła się śród niej nie na swoim jakoś miejscu; że gryzła ją nuda jakaś olbrzymia i przejmowała nawskroś pustka szkaradnie chłodna; że była ona po prostu, pomimo niezaprzeczonego wyłączenia się wzajemnego dwu następujących tu wyrazów: nieszczęśliwą księżniczką.

Rozmowa księżnej matki z hrabiną Wiktoryą nie zdawała się jój zajmować w najmniejszej mierze. Nie ożywiła się ona ani trochę w chwili, gdy dwie damy mówiły o wielkim, prześwietnym balu baronowej K., ani gdy następnie przeniosły się duchem

pomiędzy wysokie ściany katedralnej świątyni i opowiadały sobie wzajem o piorunującym wrażeniu, jakie wywarła na nie obie słodka i miódopłynna wymowa l'abbé'go Lamkowskiego, ani gdy wspomnienie l'abbé'go wyгнаło z ich rozmowy wszystkie inne przedmioty, tak, że dostojne damy, których obu l'abbé zarówno był powiernikiem, przewodnikiem i pocieszycielem duchowym, rozplynęły się całe i na długie pięć minut w sławieniu mądrości i świątobliwości jego, ani wtedy nawet, gdy księżna, urywając rozmowę o l'abbé i nagle, jakby przypominając sobie o czémś, zawołała:

— *Et le comte Mścisław? comment va-t-il?* czy wrócił nam z Rzymu? czy prędko ujrzymy go znowu?

Nastąpiła tu długa rozmowa o Rzymie, prezentowanie przez hrabinę Wiktoryą różańca, ztamtąd przywiezionego, odpowiednie okoliczności téj, dworskie ukłony i pełne pobożnego skupienia ducha całowanie agatowych paciorek, poczem wszystkiém, księżna podała hrabinie rękę i wyrzekła te pełne znaczenia słowa:

— Doprawdy, *chère comtesse*, powinszować ci można takiego, jak hrabia Mścisław, syna. *Un jeune homme si accompli... d'un esprit tellement noble, tellement chevaleresque!...* W naszych zepsutych, prozaicznych czasach, to fenomen, to istny cud łaski Bożej, okazały ci, *chère comtesse!*...

— Wierzaj mi, *chère comtesse* — dodała księżna



po lekkiej pauzie, wzruszeniem widocznie spowodowanej — wierzaj mi, iż każda z nas... każda z nas matek... niczego-by nie pragnęła bardziej, jak posiadać takiego syna...

Tu oczy księżnej przeniosły się z wolna na twarz córki i utonęły w niej na chwilę z rzewną, mimowolną jakby zadumą. Twarz hrabiny Wiktoryi jaśniała głębokim i nieukrywanym wcale zadowoleniem.

— *Princesse!* — odrzekła drżącym nieco głosem — jeżeli mój Mścisław zdobyć sobie potrafił względy twe, *princesse*, ja z méj strony, jeżeli-bym się osmieliła wyrzucać coś Opatrzności, to wyrzucała-bym Jój to tylko, że nie dała mi córki, do księżnej Stefanii podobnej!

Spojrzały na siebie. Zrozumiały się. Ręce ich wyciągnęły się ku sobie jednym niepowstrzymanym, zda się, gwałtownym poruszeniem, i nadzwyczaj serdecznie zetknęły się ze sobą — końcami palców.

Księżniczka Stefania pozostała nieruchomą i obojętną, jak wprzód, i tylko turkusowe źrenice jój mglily się pod spuszczoną powieką smętną jakąś, tęsknoty pełną, a na wszystko, co otaczało ją, obojętną zadumą.

Księżna podniosła się z kanapy; konwersacya, czyli bigos, w którym tak szczególnie zmieszały się ze sobą: bale, toalety, nieszpory, kazania, l'abbé,



Rzym i sprawy matrymonialne, wyczerpanym snadź już został. Po nowém i również serdeczném, jak powyżej opisany, uściśnieniu sobie białych dłoni, po kilku jeszcze czułych oświadczeniach się wzajemnych i dwóch pocałunkach, udzielonych w powietrzu, dwie damy rozłączyły się u drzwi bawialnego salonu.

Hrabina weszła do budoaru swego, zamyślona głęboko.

— Muszę natychmiast pomówić z Mścisławem — rzekła do siebie — sposobność to jedyna... wyborna... powinien spieszenie ją pochwycić!...

-- Czy hrabia, mój syn, jest u siebie? — zapytała przywołanego dzwonkiem kamerdynera.

Odpowiedź była twierdzącą.

— Oznajm mnie hrabiemu, synowi memu!

W parę minut po wydaniu rozkazu tego, hrabina owinęła się, podaną sobie przez pannę służącą, wielką aksamitną mantylą, i poważna, zamyślona, zstąpiła do położonych na dole pałacu pokojów syna.

Kamerdyner hrabiny znalazł hrabiego Mścisława w przyciemnionym spuszczonej roletami pokoju; leżał on na szezłagu, a francuzka czy angielska gazeta, którą widocznie zabawiał się był przez chwilę, leżała przy nim na ziemi. Nie spał, lecz na-pół tylko czuwał. W podobnie leżącej postawie i w takim stanie połowicznego zamierania władz czucia i myślenia, hrabia Mścisław od lat już kilku znajdował się za

wsze, ilekroć nie wrywały go z niego przemocą najkonieczniejsze już i nieodparte obowiązki towarzyskie, lub pilne a ważne sprawy, honor i wielkość domu jego na celu mające.

Cóż dziwnego? spoczywał on po trudach młodości swój, która acz krótką była, bo, wedle własnych słów jego, minęła już od wieków, zawarła w sobie tyle wzruszeń, tyle wysiłków, tyle, słowem, akcyi różnego rodzaju, i na różnych scenach świata tego rozwijanych, że wyczerpać musiała, a przynajmniej znakomicie znużyć wszechstronne siły żywotne dwudziestopięcioletniego hrabiego. Usłyszawszy o oznajmioném mu wizycie, hrabia Mściśław otworzył oczy, poleżał jeszcze chwilę, potem z wolna bardzo i z lekkim stęknieniem powstał z szezłaga. Jakkolwiek znużonym czuł się i głęboko zniechęconym do wszystkiego, co istniało i działo się pod słońcem, jakkolwiek po całych dniach i miesiącach niekiedy czuł przenikający go nawskróś ów *spleen* angielski, pod którego wpływem przychodziło mu na myśl wleć sobie palnąc, lub jakimkolwiek innym sposobem koniec położyć obrzydliwie nudnemu, żadnych ponęt już dla niego niemającemu życiu temu; nigdy przecież ani na chwilę nie zapomniał on o powinnościach, jakie wkładało na niego wysokie urodzenie i położenie jego, nigdy ani na chwilę nie rozminął się z tém, co było przyzwoite, wytworne, rycerskie nieco, a więc z urodzeniem tém i położeniem nierozłącznie związane.



I teraz także, jakkolwiek niespodziane odwiedziny matki fatygowały go ogromnie, spotkał wchodzącą u drzwi apartamentu swego, pochylił się przed nią ukłonem pełnym uszanowania i zarazem rycerskiej galanteryi, poczem, wysuwając na przód jeden z najwygodniejszych foteli wytwornej swój bawialni, wymówił cicho i przez zęby nieco, zawsze jednak niezmiernie grzecznie:

— *Veillez-vous asseoir, chère maman!*

Hrabina usiadła, malowniczo mantylą swą owinięta, i po krótkiej chwili namysłu, zaczęła w te słowa:

— Mam z tobą do pomówienia, Mścisławie, o rzeczy bardzo ważnej dla ciebie... dla mnie... i dla całego domu naszego...

— *Je vous écoute, chère maman.*

— Przed chwilą była u mnie księżna...

Po twarzy Mścisława, dotąd tak nieruchomej, że aż prawie martwój, przebiegł wyraz lekkiego niesmaku.

— Była u mnie księżna z córką swą, księżniczką Stefanią... *Cette bonne, cette excellente princesse... savez-vous .. elle m'a fait des ouvertures, co do twego ożenienia się z księżniczką, mais des ouvertures tellement claires, tellement même pressantes, iż jestem pewna, że jeden krok, uczyniony z twój strony, zdecydował-by o wszystkiém.*

Mówiąc to, z wyraźnym niepokojem patrzała na



syna, który, w pochylonój nieco i jakby zgnębionój postawie, na szezłagu siedząc, patrzył w ziemię...

— *Madame la princesse est trop bonne* — zaczął po chwili z wolna i tłumiąc ziewnięcie — *le malheur est*, że ja tego kroku, który-by zdecydował o wszystkim, nie uczynię nigdy...

— *Pourquoi? mais pourquoi donc?* — zawołała hrabina.

— Zdaje mi się, że miałem już nieraz zaszczyt mówić ci, *chère maman*, że księżniczka Stefania jest dla mnie straszylłem odrażającym...

— Bo patrzysz na nią uprzedzoném okiem, *mon enfant*; nie jest wcale tak brzydka... ma bardzo piękne włosy i oczy, a gdy mówi, staje się niezmiernie przyjemną.

— Szkoda tylko, że zdarza się to tak rzadko! księżniczka milczy zwykle, jak ryba, i mam silne podejrzenie, *qu'elle est affreusement bête!*

— Cóż znowu, Mścisławiel ubliżasz księżniczce. Mówi ona mało, to prawda, ale jest z pewnością rozumną, bardzo rozumną młodą osobą... Zresztą, ożywisz ją... rozweselisz...

— *La belle affaire!* ja potrzebuję sam, aby mnie kto ożywiał i rozweselał! Nie jestem już dość młodym, *chère maman*, abym mógł brać na siebie funkcją przywoływania do życia wszystkich garbatych Galatei świata tego...

Tym razem z kolei hrabina skrzywiła się z niesmakiem.

— Wyrażasz się bardzo niewłaściwie, Mścisławie, ale uważałam, że przytrafia ci się to zawsze, ilekroć mówię z tobą o księżniczce...

— *Parce-que cela me donne des nausées, rien qu'à y penser!*

Hrabina milczała chwilę niezadowolona.

— *Parlons franchement* — rzekła z nagłą jakby decyzją — *est-ce que je Vous parle, mon cher, d'un mariage d'amour?* nie jesteś-myż, ja i ty, dość doświadczonymi, dość moralnie wykształconymi, abyśmy nie wiedzieli o tém, iż żądania, lub wstręty serc naszych, pokornie a chętnie składać powinniśmy na ołtarzu ważniejszych, świętszych interesów i wyższych, wznioślejszych obowiązków... Otóż ja w małżeństwie tém widzę dla ciebie i dla całego domu naszego taki wysoki, święty interes i taki ważny, wzniosły obowiązek... Księżniczka pochodzi z jednego z pierwszych domów w Polsce; przez matkę jest ona spokrewnioną z kilku znakomitemi bardzo rodzinami w Europie... przytém księstwo dadzą jój posag ogromny, dwie bowiem starsze ich córki są już zameżne i wyposażone, a księżniczka Stefania weźmie, jak myślę, dwa razy więcej od sióstr... *par manière de compensation je crois...* co zresztą zupełnie znajduję sprawiedliwém... Otóż... *parlons franchement...* czy sądzisz, że dom Pompalińskich stoi dość wysoko, aby mu połączenie się z ksią-



żętami B. i kilka milionów złotych więcej majątku nie były bardzo... bardzo użytecznemi...

Lekka ironia dźwięczała w głosie hrabiny, gdy wymawiała ona ostatnie wyrazy. Dosłyszał jój hrabia Mścisław i twarz jego ożywiła się znacznie.

— Wiem dobrze, *chère maman* — wyrzekł również z lekkim odcieniem szyderstwa — że uczuwałaś zawsze i uczuwasz pewien rodzaj... lekceważenia.. dla rodu, do którego przez małżeństwo z ojcem moim we szłaś...

— Lekceważenia?... nie... — odparła z wolna hrabina, bawiąc się frendzlą swój mantyli — należąc tylko do starszych członków rodu tego, znam go lepiej i cenię go wedle... wedle istotnej wartości... *Parlons franchement... les Pompalińscy sont des parvenus...*

— *Chère maman* — głośniej już znacznie i powstając z szezłaga, wymówił Mścisław.

— *Des parvenus* — flegmatycznie kończyła hrabina — a ja, wychodząc za ojca twego, popełniłam mezalians... nie wyrzekam na to, bo oddawna już zmusiłam serce moje do zgadzania się z najcięższymi choćby wyrokami Opatrzności... ale... cóż dziwnego, jeśli pragnę, aby syn mój stanął w świecie wyżej... chlubniej, niż stać w nim daném było ojcu jego i... mnie...

— Oh! *chère maman!* jakkolwiek małżeństwo z ojcem moim poniżyło cię w oczach świata, własnemi



cnotami swemi podnieść się zdołałaś na najwyższy szczebel jego szacunku.

— Urodzenie moje dopomogło mi do tego... — podnosząc głowę i nie zdając się zwracać uwagi na brzmiającą w głosie syna, urazy pełną, gorycz, wyrzekła hrabina — Śmiało powiedzieć mogę, że tylko ożenienie hrabiego Jarosława ze mną, a także wysoki takt towarzyski i doskonale *savoir-vivre* hrabiego Światosława, otworzyły rodzinie Pompalińskich koło najpiękniejszego towarzystwa, i postawiły ją... mnieją więcej... na równi ze starożytnymi rodzinami kraju... koło to bardzo ścieśnione i w sobie zamknięte, *mon cher! n'y entre pas, qui veut.*

— *Mais puisque*, z łaski twojej, *chère maman, nous y sommes entrées déjà*, z jakiegoż powodu miał-bym składać się *en holocauste* na ołtarzu najbrzydszej, najwstrętniejszej kobiety, jaka istnieje pod słońcem?...

— Z tego powodu, *mon cher*, że po śmierci mojej i hrabiego Światosława, Pompalińscy zejdą znówu tam, z kąd ja tylko i hrabia Światosław wydzwignąć ich zdołaliśmy... to jest... pomiędzy *de riches parvenus*, u których pożyczają się pieniądze, ale którym się drzwi salonów nie otwiera i córek w małżeństwo nie oddaje... Czy sądzisz, że hrabia August, albo syn jego Wilhelm, albo brat twój Cezary, potrafią kontynuować dzieło, przeze mnie i przez hrabiego Światosława dotąd dokonywane... *Non, mon cher*, hra-

bia August jest przedmiotem cichego wprawdzie, ale powszechnego pośmiewiska dostojnych naszych znajomych; hrabia Wilhelm, *c'est un joli garçon* i nic więcej... zresztą... *il se ruinera...* co do Cezarego, wiesz dobrze, jakiem zmartwieniem, jaką gryzącą troską był on zawsze dla mnie i dla nas wszystkich... *Entre nous*, upośledzenie umysłowe twego brata, tę niezgrabność manieri, które zawsze go odznaczały, przypisuję niczemu innemu, jak fatalnemu jakiemuś odziedziczeniu... nie po mnie naturalnie, ale po przodkach z linii meżkiój. Tak więc w całej rodzinie naszej *il n'y a que toi, mon cher*. Ty jeden spełnić jesteś zdolny święte i wzniosłe obowiązki twego stanu, na tobie jednym ciąży odpowiedzialność za upadek, lub wywyższenie się imienia, które zresztą sam cenisz tak bardzo...

Po chwilowém milczeniu hrabina mówiła dalej:

— Przebacz mi, żem ci powiedziała gorzkie słowa prawdy. Nie przyszło mi to z łatwością, ale serce matki nie zna przeszkód i z każdą walki potrafi wyjść zwycięzko. *Oui*, drogi Mścisławie, ożenienie się z księżniczką jest dla ciebie konieczną, bardzo konieczną potrzebą. *C'est une occasion*, którój możesz nigdy już więcej nie spotkać. Czy sądzisz, że księżna była-by tak chętną względem małżeństwa tego... tak, powiem nawet, nalegającą, gdyby ta biedna, kochana księżniczka była bardziej podobną do anioła pię-



knością... Bądź pewnym, że nie. Znalazł-by się wtedy jaki książę lub hrabia *de vieille roche*, a o Pompańskim nikt-by nie pomyślał. Widzę, że gniewa cię to przypuszczenie! czy sądzisz, że nie upokarza, nie boli ono i mnie także! O! jeden Bóg tylko jest świadkiem nocy bezsennych, które spędzałam w mém życiu, myśląc o tém wszystkiém, łez, które wylałam! Teraz jednak zrezygnowana już jestem, spokojna i bardzo pokorną... nie idzie zatem, abym rzeczy jasno widzieć nie miała i nie pragnęła dla ciebie lepszego... świetniejszego losu, niż był mój..

Rzekłszy to, hrabina powstała z powagą i godnością matki, która spełnika ciężki do spełnienia obowiązków i, wyciągając do syna rękę, rzekła słodkim już, ujmującym głosem.

— Jakże, Mścisławie? czy przekonałam cię? czy gotów jesteś złożyć ofiarę z nieusprawiedliwionych zresztą wstrętów swego serca, dla rzeczy tak ważnych, tak koniecznych? dla twego własnego szczęścia zresztą?

Na twarzy hrabiego Mścisława znać było, że od dawna już walczyły w nim gniew i zniecierpliwienie z tém poszanowaniem, jakie każdy dystyngowany syn, w każdej okoliczności, okazywać powinien swój matce. Ostatnie uczucie zwyciężyło. Dotknął lekko ustami wyciągniętej ku niemu białej dłoni matczynój, i trochę niedbale, trochę jeszcze niecierpliwie odpowiedział:



— *Chère maman*, przestałem już oddawna wierzyć w miłość, w szczęście i w tym podobne *absurdités*, w które nie wiem nawet, czy kiedykolwiek naprawdę wierzyłem. Kobiety zresztą, wszystkie bez wyjątku, stały mi się oddawna także obojętnymi. Nie widzę jednak potrzeby i nie czuję się w obowiązku dobrowolnego przenoszenia najsroższych katuszy, taką zaś katuszą było-by, *chère maman*, przebywanie w jednym choć-by domu z księżniczką Stefanią. *C'est une aversion enfin, une aversion, qui est plus forte que moi...* której zwyciężyć mi nie sposób...

Hrabina słuchała z brwią zsuniętą, z błyskawicą gniewu w tak łagodnym zwykle oku. Znała jednak syna. Wiedziała dobrze, iż, gdy szło o upodobania lub chęci jego, gniew zarówno, jak łagodność odbijały się o tę prawdziwie stalową, niesłychanie zahartowaną naturę, bez wpływu, ni skutku. Pozostało więc tylko rzecz zostawić czasowi i powolnym, choć trochę tajemnym, staraniom. Tkliwa i o dobro ukochanego dziecięcia troskliwa matka, pohamowała więc ogarniające ją zniecierpliwienie, i zakończyła rozmowę łagodnymi słowy:

— Mam nadzieję, że namyślisz się, że Bóg w nieukończonj dobroci swój oświeci przed tobą drogę twoję, i natchnie cię lepszym poczuciem i pojęciem ciężących na tobie obowiązków... tymczasem *à revoir, cher enfant*. Niech samotność i skupienie ducha twe-

go dokończą dzieła, które ja w rozmowie téj z tobą rozpoczęłam...

W parę minut potém, hrabina przechadzała się już po swym salonie krokiem szybkim, z czołem zmarszczoném, głęboko namyślając się nad czémś i coś w głowie swój kombinując. Kwadrans upłynął jeszcze, a przywołany jój rozkazem stanął przed nią Pawełek.

— *Paul!* — rzekła hrabina, nie przerywając przechadzki swój i wstępów żadnych nie czyniąc — *Paul*, proszę cię bardzo, aby hrabia Mściśław był dziś z tobą w Wielkim Teatrze...

Szczególny rozkaz ten nie zadziwił jednak Pawełka, tylko na twarz jego, smutną nieco przedtém, sprowadził wesoły uśmiech.

— Pozwoli pani hrabina, abym zwrócił uwagę jój na to, że hrabia Mściśław jest zbyt słusznego wzrostu, a ja znów zbyt niskiego, abym zdołał przemocą zanieść go do teatru...

— *Quel mauvais ton prenez-vous depuis quelque temps, Paul!* któż tu mówi o niesieniu hrabiego Mściśława? namów go, skłoń, aby...

— Z hrabią Cezarym przyszło-by mi to z łatwością, ale...

— Z trudnością czy z łatwością, ja *chcę*; abyś to uczynił, *Paul* — przerwała hrabina, stojąc na środku salonu i patrząc na Pawełka oczyma, które, z powodu zmroku zapewne, wyglądały dziwnie na gniewne, nie-



cierpliwe, sprzeciwieństwa żadnego zność niemogące, oczy despotki.— Mścisław *musi* dziś być w teatrze. *On donne Moïse...* księżna z księżniczką tam będzie... *Naturellement*, będziecie w łoży we dwóch i zrobisz tak, *Paul*, aby hrabia Mścisław prezentował się w łoży księżnej w pierwszym zaraz antrakcie... Wiele mi na tém zależy, aby nie zaniedbywał księżniczki i aby go przy niej publicznie widywano... *On en parlera*, a i to już dobre...

— Pani hrabino! — spróbował jeszcze ozwać się Pawełek — hrabia Mścisław dziś, wróciwszy z tak dalekiej podróży, zmęczonym czuć się musi.

— Ale *quelle idée!* *pour un jeune homme*, cóż znaczy podróż taka! Zatrzymał się zresztą w Wiedniu, potem zbaczał do Krakowa, i tam przebywał czas jakiś... dwanaście godzin drogi, cóż to znaczy!

Pawełek ukłonił się i miał odejść, ale przywołała go jeszcze hrabina.

— Ufam ci, *Paul*, i spuszczam się zupełnie na ciebie w tak ważnej sprawie... należysz do familii! powinny obchodzić cię jej interesa; któż zresztą więcej od ciebie obowiązany być może dopomagać planom, które ja, lub synowie moi, układają. Wzrosłeś w domu naszym, otrzymałeś edukacją równą tej, którą otrzymali młodzi hrabiowie, sądzę więc, iż możemy w każdym wypadku liczyć na ciebie.

Pawełek powtórnie skłonił się w milczeniu, i niezatrzymywany już przez hrabinę, odszedł. W chwilę



potém wchodził do bawialni hrabiego Mścisława, który, wśród zupełnej już prawie ciemności, wedle zalecenia matki, skupiał ducha swego, leżąc na szezłagu, i od chwili do chwili tylko dając oznaki życia powolnym podnoszeniem do ust cygara. Ujrawszy Pawełka, wymówił głosem człowieka, któremu bardzo nie chce się mówić:

— Dobrze, żeś przyszedł, *Paul!* zadzwoń na *Żorża*, aby podał światło. Ten ślamazarnik zaniedbuje swych obowiązków, a dzwonek tak daleko, że gdybyś był nie przyszedł, leżał-bym tu w ciemności do skończenia świata.

Taśma od dzwonka zawieszoną była w istocie w znacznym od hrabiego oddaleniu, bo aż u przeciwległej ściany. Pawełek pociągnął za nią raz i drugi, ale bez żadnego skutku. *Żorż*, ani nikt inny, nie pojawił się.

— Czy on oszalał, ten *Żorż!* — rozgniewany już nieco wymówił Mścisław — no, może zlituje się kiedy nade mną i przyjdzie, a tymczasem, *Paul*, siadaj i opowiedz mi szczegółowiej nieco tę śmieszna historią mego brata z tą... tą *mademoiselle* Trzaska. Chciał-bym ją usłyszeć choćby dlatego, że zrobiło-by to mi może jakąś emocyą.

— Dobrze — odparł Pawełek, siadając — opowiem ci, hrabio-kuzynie, tę historią ze wszystkimi szczegółami, ale, jak wrócim z teatru.

— Z teatru? *quelle idée!* czy masz dziś ochotę przypatrywać się jakim spektaklom?

— Mam nadzieję, że będziemy im przypatrywali się obaj.

— *Diantre!* dał-bym wiele temu, kto-by mnie, tu szczególnie, w Warszawie, na spektakl jaki namówił.

— Ja też hrabiego nie namawiam wcale... sam tylko mam wielką ochotę pójść do teatru i, jeżeli nie pójdę z tobą, hrabio, do łoży abonowanej przez hrabinę, kupię sobie bilet na paradyz, a w teatrze dziś będę.

Hrabia Mścisław podniósł się nieco na szezłagu.

— Na paradyz? ty na paradyz! Kuzyn nasz i wychowawiec mojej matki? co za myśl!

— Cóż robić? nie mogę przecież pozbawiać się przyjemności dlatego, aby nie ubliżyć honorowi nazwiska, o które przed przyjściem na świat nikogo nie prosiłem. Na inne zaś miejsce, jak paradyzowe, pieniądze mi nie staje.

— Możesz siedzieć sam jeden w łoży mojej matki.

— Nigdy-bym nie śmiał uczynić tego. Pani hrabina zresztą surowo mi zabroniła samotnego ukazywania się w jej łoży. Mało osób zna mnie tu w Warszawie, pomyślano-by więc, że jestem Bóg wie kto, a Bóg wie kto nie powinien przecież znajdować się w łoży pani hrabiny.

— Wyjm tam z biurka mój pugilares i weź sobie pieniędzy na krzesło.

— Dziękuję hrabiemu. Krzesła wszystkie są już rozkupione i zresztą postanowiłem sobie nie brać od hrabiego pieniędzy na żadne zbytki.

Ostatnie słowa Pawełek wymówił całkiem seryo; hrabia Mścisław, żywo już niezadowolony z kuzyna, wzruszył ramionami.

— Zkąd-że to tak nagłe postanowienie?

— I owszem, nie jest ono tak bardzo nagłym. Jeżeli uważałeś, hrabio, teorią tę moję od dwóch już lat zacząłem stopniowo w czyn wprowadzać.

— A prawda, że niewiele wydajesz pieniędzy, wcale niewiele! Ale mniejsza o to! *ça m'embête* te pieniądze, i nietylko mówić o nich, ale sprzykrzyło mi się nawet i patrzeć na nie! Dlaczego *Żorz* światła nie przynosi? zadzwoń-no raz jeszcze, *mon cher*!

Pawełek zadzwonił, poczem usiadł znowu i zaczął:

— Do teatru więc idziemy, czy tam jedziemy, jak zechcesz, hrabio, ale...

— *Mais, mon cher* — spróbował sprzeciwić się Mścisław.

Pawełek przerwać sobie nie dał.

— Ale ja mam do ciebie, hrabio, pewną prośbę, a raczej nawet nie mam prośby, tylko chcę uczynić ci, hrabio, pewną łaskę...



— Łaskę! mnie łaskę! *tu déviens amusant, mon cher!*

— Chcę podać hrabiemu sposobność spełnienia pewnego dobrego uczynku, wykonania pewnego obowiązku ludzkości...

— *Mais...* dobre uczynki, obowiązki ludzkości *et tous ce qui s'en suit* należą do departamentu hrabiny mojej matki i hrabiego mego stryja Światosława; udaj się z niemi do nich.

— Nie; tym razem postanowiłem udać się do ciebie, hrabio!

— To szczególnie! czy postanowiłeś mię dziś zamęczyć, *Paul?* No, mów-że już sobie, tylko prędko! *Mais où est George?* dlaczego nie przynosi światła?

— Przrzekam być związłym. Mieszkają tu teraz w Warszawie państwo Wandalinowstwo, *vous savez, comte*, ci sami, którzy mieli kiedyś Kwiecin, w którym znowu hrabia August lubił często polować...

— *Eh bien! eh bien! mais où est George?* Ciemno tu, jak w otchłani!

— Otóż, krótko a węzłowato, państwo Wandalinowstwo są w wielkiej biedzie... można powiedzieć w nędzy...

— *Mon cher*, cały świat jest teraz w nędzy.

— Są w nędzy... — kończył Pawełek, a głos jego, na przekór żartobliwemu tonowi, który był przybrał w rozmowie z hrabią, drżał nadaremnie hamo-

waném wzruszeniem — przypominając więc sobie dawne stosunki z domem hrabiów, postanowili za mo-jém pośrednictwem prosić...

— Jałmużny! — wzgardliwie nieco rzucił hrabia Mścisław.

— Pracy — poprawił Pawełek.

— A więc niech sobie pracują; czyliż my przeszkadzamy komu pracować? I owszem, domy i rody takie, jak nasz, prócz wielu innych, i to jeszcze dobrodziejstwo rozlewają dokoła siebie, że żywią wielką ilość rozmaitych biedaków.

— Otóż właśnie chciałem ci, hrabio, podać sposobność przelania tego dobrodziejstwa i na nieszczęśliwą, a ze wszechmiar godną współczucia rodzinę...

— *Dieu!* co tu wyrazów! nieszczęśliwą... współczucia! Któż jest dziś szczęśliwym? *mais où est George? vous m'embêtez, mon cher,* z tą jakąś twoją czułą historią. Cóż mogę uczynić dla tych nieszczęśliwych?

— Możesz im, hrabio, dać miejsce w którym z majątków swych...

— Wszystkie zajęte, *mon cher,* wszystkie zajęte, ale dość już tego, *parceque cela m'em...*

— Więc może rządcy domu hrabiego Światosława, tego, co to przy ulicy X. Obecny rządcą oddala się za miesiąc.

— Hrabiego mego stryja — zaczął Mścisław —

a więc dobrze. *Ce n'est pas impossible.* Ale dlaczegoż mówisz o tém ze mną, nie z moim stryjem?

— Chciał-bym przyjemność rozmawiania z hrabią Światosławem odstąpić tobie, hrabio.

— *Tu es diablement fin, Paul.* Wiem, że towarzystwo hrabiego nie czyni ci wielkiej przyjemności, *il est parfois bien morose, le pauvre vieux comte.* Koniec końców, czego chcesz ode mnie? bo zacznasz mię już niecierpliwic nie na żarty! *Où est George? mais où est George?* Zadzwoń raz jeszcze, *Paul.*

Pawełek nie ruszył się tym razem z miejsca.

— Chcę prosić cię, hrabio kuzynie, abyś wyjeżdżał u hrabiego stryja swego dla pana Wandalina miejsce rządcy domu przy ulicy X.

— *C'est parfait!* za cóż spada na mnie zaszczyt stawania się protektorem cierpiącej ludzkości? Dlaczego nie zadzwoniłeś, *Paul?*

— A więc, hrabio, będziesz mówił z hrabią swym stryjem?

— *Mon cher,* stajesz się coraz bardziej podobnym do pijawki; jak się uczepisz kogoś... *mais...* przypominam sobie, ta pani Wandalinowa... Pompalińska z domu podobno...

— Nie inaczej. Témbardziej więc...

— Ale jakie témbardziej! co za témbardziej! Czyż myślisz, że zgodzili-byśmy się na to, aby *une* Pompalińska była żoną *d'un* rządcy domu! Śmieszne



miewasz myśli, *mon cher*, i jeżeli rozmowa ta dłużej jeszcze potrwa, rozgniewasz mię zupełnie!

Mówiąc to, hrabia Mściśław, w dowód jakby, że i tak już dostatecznie był rozgniewanym, wyprostował się na szeszlągu.

— A więc sądzisz, hrabio, że zaszczytniej będzie, a przynajmniej nie tyle zawstydzająco, jeżeli *une* Pompalińska wraz z rodziną swą umrze sobie powoli z głodu?

— *Diable!* tak być nie powinno także! zawsze to krewna! *mais qu-y puis-je faire?* pieniędzy nie wezmą, mówisz? nie, nie wezmą? a więc jakaż rada? Widzisz, *mon cher*, jaka to jest trudna, absorbująca pozycja, jakie to są zgryzoły i kłopoty członka takiej rodziny, jak nasza! rozrodzi się to tak strasznie, że rób, co chcesz, staraj się, jak możesz, a od wstydu, z jakiegokolwiek strony pochodzącego, uratować się nie zdołasz! Ale dlaczego nie dzwonisz na *Żorża*, *Paul*. Ten niedołęga postanowił widać sobie...

— W istocie, jest tu ciemno bardzo — z flegmą i nie ruszając się z miejsca, potwierdził Pawełek, a po chwili milczenia, mówił dalej: — Jeżeli więc, hrabio, postanawiasz nie uczynić dla biednych ludzi tych tego, o co cię proszę, muszę już chyba ja sam o ratunku dla nich pomyśleć.

— *Toi, Paul!* ciekawym, jakim sposobem?

— A cóż? — westchnął Pawełek — przyznam się hrabiemu, że i tak już oddawna chodzi mi po gło-

wie, aby jakimkolwiek sposobem dojść do własnych pieniędzy...

— Winszuję! winszuję! śliczny projekt, nie wiem tylko, jakim sposobem uskutecznić go potrafisz... chyba, że... *et ce n'est pas impossible*, będąc Pompalińskim, bogato ożenisz się.

— Nie — z jednostajną zawsze obojętnością w głosie zaprzeczył Pawełek — dlatego właśnie, ażeby módz z pewną biedną dziewczyną ożenić się kiedykolwiek, prawdopodobnie zostaną szwecem...

Hrabia Mścisław stanął na równe nogi.

— Kim? — zawołał.

— Szwecem — powtórzył Pawełek.

Hrabia Mścisław stał przez chwilę, jak skamieniały.

— *Tu es fou avec ton szewc!* Szewc! szewc! żarty twoje, *mon cher*, zaczynają przybierać od pewnego czasu formę wcale nieprzyjemną!

— Nie są to żadne żarty, hrabio-kuzynie, i daję ci słowo człowieka, o tyle przynajmniej uczciwego, iż nikogo nigdy nie okradł i nie zabił, że gdybym tylko posiadał środki, do terminowania w rzemiośle potrzebne, został-bym krawcem, szwecem, kowalem, kimkolwiek, byle-by tylko módz...

Tu zatrzymał się, coś mu w piersi jętko i głos urwało.

— Byle-by co? *eh bien! finis donc!* byle-by co?

— Byle-by — spokojnie już i bardzo stanowczo



dokończył Pawełek — byle-by mieć kiedykolwiek kęs chleba własny, własną choćby jedną godzinę czasu i cokolwiek, cokolwiek do podzielenia się z tymi, którzy cierpią niewinnie...

Pomimo głębokiego zmroku, zalegającego pokój, widać było, jak oczy Pawełka błysnęły przy ostatnich wyrazach gorącym, bolesnym uczuciem, a usta jego zacięły się, niby pod wpływem gorzkiej a natarczywej myśli jakiejś. Hrabia Mścisław przypatrywał mu się z bliska.

— *Diantre!* — wyrzekł — wyglądasz tak, jak-byś nie żartował wcale...

— Ręczę téż hrabiemu, że nie żartuję, ale postanawiam solennie zaprowadzić w życiu mém stanowczą jakąś zmianę, co tém prędzej i tém bezwzględniej wszystko uczynię, jeżeli ludzie, którym sprzyjam gorąco, żadnej od hrabiów nie otrzymają pomocy.

— *Mais, dis moi, toi, Paul,* z kąd wzięłeś te wszystkie piękne pomysły?

Głos hrabiego Mścisława drżał już i tłumił się blizkim wybuchnięciem, straszliwym gniewem.

— A! — odparł Pawełek — różne rzeczy dzieją się teraz na Bożym świecie, różne po nim krążą baśnie, czy może prawdy... Tak, naprzykład, słyszałem niedawno, czy tam czytałem gdzieś, że Pompalińscy naprzykład równi są zupełnie nietylko już Kniksom lub Kobyłkowskim, ale nawet rozmaitym Wasylom, Maćkom, Iwasiom, Bartkom, co mówię! Lejzorkom.



i Ickom; że następnie, Bartek lub Icek, uczciwie na chleb swój pracujący, przysparzający jakiegokolwiek dobra ogółowi i wyżywiający pracą swą kółko swe rodzinne, daleko więcej posiada istotnej wartości od takiego na przykład, jak ja, Pompalińskiego, który od kolebki prawie do lat blisko trzydziestu jadł cudzy chleb, odziewał się w nieswoje piórka...

— *Paul!*

— Ja sam długo, bardzo długo gawędom podobnym ucha nie dawałem, ot nie chciało się jakoś.. przywykło się do stanu pokojowego, dobrze tuczonego pieska... aż nareszcie, wysłuchawszy wszystkiego, przekonałem się... uwierzyłem... cóż chcesz, hrabio? są to idee wiekul

— *Mais tu me fais tout à fait furieux, Paul,* i gdyby nie pamięć o tém, że nosisz to samo, co ja, nazwisko, kazał-bym cię wyrzucić za drzwi! — krzyknął hrabia Mścisław, a chcąc zwyczajem swoim, z wielkiego gniewu puścić się po pokoju na gwałtowną, burzliwą przechadzkę, przy piérwszym zaraz kroku, z powodu ciemności, potknął się o krzesło.

— Dlaczego, *Paul,* nie dzwonisz na *Żorża?* — zawołał.

— Zadzwoń sam, hrabio-kuzynie. Ja dzwoniłem już dwa razy, teraz na ciebie kolój, hrabio!

— *Diable incarné!*

Wymawiając dwa te wyrazy, hrabia pociągnął za taśmę dzwonka tak silnie, że mu połowa jój w rękę

została. Jednocześnie w przeciwnych drzwiach ukazał się Żorż, z kandelabrem zapalonym na tacy.

— Gdzie byłeś, Żorż? czemu światła nie podawałeś? co robiłeś? — przypadł do służki z zapytaniem cały zarumieniony gniewem hrabia.

Żorż postawił na stole kandelabr i jak najobojętniej odparł:

— *Monsieur le comte!* grałem w karty z Bartolomeem, kamerdynerem Jaśnie Wielmożnego pana hrabiego stryja.

— A któż ci to pozwolił?

— *Monsieur le comte!* — przerwał Żorż — zdaje mi się, że każdy człowiek ma prawo do chwili przyjemności w życiu, zarówno pan hrabia, jak ja!

— Ten także nasłuchać się musiał idei wieku! Precz mi z oczu!

— Pozwoli pan hrabia — brzmiała odpowiedź Żorża — że, w ten sposób odprawiony, nie odejdę. Jakkolwiek jestem służką pana hrabiego, posiadam także *mon point d'honneur!*

— *Va t-en aux diables avec ton point d'honneur, sans-cullote que tu es! Va t'en! va t'en! va t'en!* albo każę cię kijami obłożyć!

— Niech pan hrabia spróbuje — mówił niewzruszony Żorż — dziś czasy takie, że sprawiedliwość istnieje dla wszystkich!

Tu przebrała-by się już miara wszelkiej ludzkiej cierpliwości. To téż i hrabia Mścisław, drżący cały,



z błyszczącemi, jak żuźle, oczyma, rzucił się na zuchwałego kamerdynera swego i, zapominając tak o godności swój hrabiowskiej, jak o dystynkcyi obowiązującej układu, i wszelkich innych względach, pochwycił go za kołnierz i własnoręcznie, nieopierając się zresztą wcale, za drzwi wypchnął raczył.

Teraz, przy świetle sześciu świec, w kandelabrze zapalonych, biegać już począł po obszernym pokoju swobodnie całkiem a gwałtownie, szalenie, zapamiętałe.

— Idee wieku! — wołał — idee wieku! Czy dziś wszyscy poszaleli z temi ideami wieku! Ten gryzie, nudzi, nęka, gnębi mię już od godziny, a tamten znowu występuje także ze swoim *point d'honneur* i ze swoją sprawiedliwością dla wszystkich! *Le beau mot!* dla wszystkich! Któż są ci wszyscy?

— O, hrabio-kuzynie — przerwał monolog ten Pawełek — jakże w téj chwili jesteś szczęśliwym! gniewasz się, a więc czujesz, że żyjesz!

Hrabia Mściśław, pomimo uniesienia, usłyszał te wyrazy i stanął jak wryty na środku pokoju. Przez chwilę stał tak nieruchomy, w groźnej postawie, potem jednak na wykrzywionych gniewem jego ustach zaigrał—uśmiech.

— *C'est vrai* — rzekł — rozgniewaliście mię, *Żorż* i ty, wściekle.

— Ja bo zawsze umiałem wywoływać podobne efekta, ale *Żorż*, jak widzę, kształci się..



— A kształci się, *il se dresse à mon usage...* sprytniejszym jest, widzę, niż sądziłem. Dyabelnie jestem zły...

— No, teraz już nie tyle zły jesteś, kuzynie-hrabio, ile zadowolony...

— A to z czego?

— Krew ci się rozgrzała...

— *Eh bien! c'est vrai...*

— Teraz więc mogę cię już pożegnać, hrabio... czas wielki, ósma godzina...

— Dokąd-że idziesz?

— Do teatru, na paradyz — upewnił Pawełek, z kapeluszem w rękę zmierzając ku drzwiom.

— *Eh bien!* czekaj-że, czekaj, niech ubiorę się! wprowadzę cię już do łoży hrabiny.

Zadzwoił na Żorża, który tym razem natychmiast był posłusznym.

— *Mon frac et ma voiture!* — zadysponował, po chwili zaś dodał: — i weź tam sobie moje palto wiedeńskie...

— A ja nie nie otrzymam? — zagadnął Pawełek.

— *Eh bien!* pomówię, pomówię z hrabią-stryjem o tym tam panu Wu... Wi... Wa... mniejsza o to, z Pompalińską żonaty... trzeba coś zrobić.

W kwadrans potém, hrabia Mściśław z Pawełkiem wchodzili do łoży pierwszego piętra, w Wielkim Teatrze. Na scenie rozlegał się już drugi akt wielkiego

areydzieła Meyerbera; w loży, położonej naprzeciw téj, którą abonowała hrabina, widać było długą, kościstą, z rzymskim nosem, twarz księżniczki, okoloną bujnemi pierścieniami przesłicznych włosów płowych i tak wpatrzoną w scenę, tak zasluchaną w śpiewie artystów, że zdawało się, iż w śpiewie tym, w rozgrywającej się tam akcji, utonęła cała jéj dusza. Obok księżna matka siedziała w całym majestacie wspañiałej swéj postaci i okrywających ją gronostajów; ujrawszy wchodzącego do loży hrabiego Mścisława, uśmiechnęła się nieznacznie i, wnet od loży téj wzrok odwracając, uważniej, niż wprzódy, przypatrywała się scenie.

— Brrrr! — szepnął hrabia Mścisław, wchodząc do loży—*j'ai du guignon aujourd'hui!* cudowne *vis à vis!* Bah! rozumiem teraz twoję chęć znajdowania się dziś w teatrze! *j'y reconnais la blanche main de ma mère!*

Rzekłszy to, usiadł zwrócony bokiem do publiczności, a plecami do sceny, przechylił się nieco na tylną poręcz krzesła, przymknął lekko oczy, i tak już w zmartwiałej postawie i z również zmartwiałą twarzą pozostał.

Daremnie, w szeroki płaszcz czarny ubrany, Mojżesz przechadzał się po scenie szerokimi krokami, bardzo pięknym barytonem wzywając lud swój do opuszczenia ziemi egipskiej i domu niewoli; daremnie nadobna izraelitka i młody syn faraonowy, dźwięcz-



nym sopranem i przeczystym tenorem zamieniali pomiędzy sobą najczulsze pieśni i, walcząc pomiędzy miłością serca a obowiązkiem dla ludów swych, żadnym sposobem zdecydować się nie mogli na wyrzeczenie się jednego lub drugiego; daremnie jęczały skargi i huczały groźby zbuntowanych niewolników, a odpowiadały im tryumfujące, zuchwałe chóry dumnych władców Egiptu; ani rycerskie wezwania dowódców, ani żalosne jęki uciśnionych, ani rozpaczliwe trele rozłączających się kochanków, nie zdołały zachwiać stoickiego nastroju ducha hrabiego Mścisława i wyrwać go z téj wyniosłej obojętności na wszystko, w którą się był pogrążył.

Światło kinkietów, padające na pięknie zręszta i prawidłowie zarysowaną twarz jego, okazywało w całej pełni woskową niemal bladość jój cery, przeglądało się w na-pół tylko widzialnych źrenicach, niby w odłamach zimnego kryształu, uwydatniało wysokość czoła jego, powiększoną znacznie widoczném bardzo przerzedzeniem krótko ostrzyżonych włosów. I wtedy dopięro, gdy, po zapadnięciu kurtyny, publiczność wybuchła jednozgodnym, brzmiącym oklaskiem, usta hrabiego Mścisława poruszyły się zaledwie dostrzegalnie i wyszeptały:

— *Dieu! comme ils sont bêtes!* i czego tu tak wrzeszczyć, *tremusować się, wakarmować!*

W téj saméj chwili księżna pochyliła się ku córce i z-za wachlarza szepnęła z uśmiechem:



— *Régarde ton vis-à-vis, Stephanie!*

Księżniczka, jakby zbudzona ze snu, oczy, oszkłone łąz wzruszenia i rozmarzenia, zwróciła w kierunku, przez matkę wskazanym, spójrzała na hrabiego Mściśława, drgnęła całym swém niekształtném ciałem i stłumionym szeptem odpowiedziała matce:

— *Oh maman! c'est un cadavre!*

— *Non, ma chère, c'est ton futur!* — odparła księżna, usta jéj zacisnęły się w sposób oznaczający bardzo silną wolę, a oczy spoczęły na pobludléj twarzy córki, w sposób nakazujący i nieznoszący sprzeciwieństwa żadnego.

W połowie antraktu hrabia Mściśław nagle, niespodzianie, niby sprężyną ruszony, podniósł się z krzesła.

— Było-by to *de la dernière inconvenance*, gdybym nie oddał wizyty księżnéj. Pójdę i nie wrócę tu więcéj! ty, *Paul*, jeżeli chcesz, możesz pozostać do końca téj wrzaskliwéj tragedyi!

Opuścił lożę, a zamykając drzwi jéj za sobą, szepnął jeszcze:

— *C'est à en devenir fou!*

Po chwili widziano go, sztywnie, z szapoklakiem pod ręką, stojącego za krzesłem księżnéj. Długie, kościste ręce księżniczki drżały pod przysłaniającemi je koronkami, ale księżna nie zdawała się spostrzegać przykrego wzruszenia córki i z uśmiechem, wyniosłéj łaskawości pełnym, przemawiała do sztywnego gościa.

o piękności przedstawianej dziś opery i o różnej wartości, biorących w nią udział, głosów. Publiczność lornetowała ze stron wszystkich arystokratyczną łożę, a imię księżniczki Stefanii przebiegało z ust do ust, w połączeniu z imieniem hrabiego Mścislawa. Cel hrabiny Wiktoryi został osiągniętym. Młody hrabia uchodził w oczach powszechności za konkurenta do ręki księżniczki, i teraz już, jeżeli ręki téj posiąć nie zechce, narazić się będzie musiał niechybnie na famę odprawionego z harbuzem hrabiego.

— *Je sais bien*, że nie będzie on mógł znieść podobnego zarzutu — mówiła hrabina, siedząc tego samego wieczoru w budoarze swoim i własną swą białą rączką podając filiżankę z herbatą l'abbému, który sam jeden dziś, stroskanój i niespokojnej o obu synów swych matce, towarzystwa dotrzymywał.

Pawełek przesiedział w łoży hrabiny do końca przedstawienia, a ile razy zabrzmiał na scenie dźwięk jakiś, przenikający do głębi serc słuchaczy, ile razy wybuchnęło tam potężne jakie uczucie, lub ukazał się ponętny obraz jaki, tyle razy Pawełek pomyślał o Rózi i pożałował gorąco, serdecznie, że jój tu przy nim nie było, że ona tych wszystkich cudów myśli i sztuki widzieć i słyszeć nie mogła. Wzrok jego, z piérwzopiętrowej łoży tęsknie i smutnie unosił się w górę, ku wysokiemu, dusznemu, szaremu paradyzowi, a w myśli zjawiał się wykrzyk: gdyby tam być,



tam, na ostatniem miejscu, na szarym końcu świata, ale z nią razem! byle-by z nią!

Nazajutrz, dużo przed południem, Pawelek jechał przez miasto dorożką, zmierzając ku banhofowi drogi Warszawsko-Petersburgskiej. W połowie Krakowskiego Przedmieścia wyprostował się nagle w dorożce i zawołał na powożącego: — stój! Uczynił to całkiem machinalnie, instynktownie, z pierwszego popędu, doświadczonego na widok, idącej spiesznie chodnikiem, młodej panny, w ciemnej, wełnianej sukni i szarym, bardzo skromnym kapelusiku. W kilka sekund, po zatrzymaniu się dorożki zrównał się już z przechodzącą.

— Dzień dobry, kuzynko!

Błada twarzyczka Rózi stanęła cała w płomieniu rumieńca.

— O! — szepnęła zmieszana, wzruszona dziewczyna — nie myślałam o tém, abym cię dziś mogła zobaczyć, kuzynku!

— I ja także nie spodziewałem się... czy to, kuzynko, do téj okropnej fabryki idziesz?

— Tak, kuzynie!

Szli obok siebie czas jakiś, milcząc. Rózia pobladła znowu, a po zamyślonym jéj wzroku widać było, że zbierała się na wielkie postanowienie jakieś.

— Panie Pawle — zaczęła.

— Dlaczego, kuzynko, nazywasz mię panem Pawłem?

— Kuzynku — poprawiła się dziewczyna, chcia-



ła-bym się o coś zapytać. Mama i ojciec niespokojni są o ciebie, znajdują, że jesteś nie tak wesołym, jak dawniej bywałeś zawsze, że często zamyślasz się, tak dziwnie jakoś, a mnie... mnie, wydało się jeszcze...

Przerwała. Pawełek patrzył w twarz jój, mieniającą się tkliwém jakiśm a nieśmiałym uczuciem, oczyma płonącemi od miłości i bólu.

— Cóż ci się wydało, kuzynko? — zapytał drżącym trochę głosem.

— Że jesteś, kuzynie, obojętniejszym dla nas, niż dawniej.— Usta jój zadrżały, z nieśmiałości, czy z żalu może? Pawełek pobladł.

— Tak ci się wydało, kuzynko? doprawdy? — szepnął.

Staął nagle i ujął drobną rękę jój, czarną rękawiczką okrytą.

— O! — zawołał — na miłość Boga, kuzynko, nie myśl tak, nie posądzaj mię! ja, widzisz... nie mogę mówić... nie mogę... bywają w życiu położenia, które zamykają usta... powinna-byś je zrozumieć... jeżeli w mojem życiu nic się nie zmieni, być może, iż nawet przestanę całkiem bywać u was... nie będę mógł.. nie będę śmiał zrobić inaczéj... ale ty, kuzynko, nie myśl źle o mnie, chociaż miała-byś poniekąd słusność, tak myśląc... ale nie myśl, bo-by to mię tak bolało, że...

Podniósł rękę do czoła. Widoczném było, że walczył ze sobą strasznie. Różia patrzyła na niego łez pełnemi oczyma. Nie rozumiała go może w zu-

pełności, nie śmiała mu może powiedzieć tego, co przechodziło jój przez myśl; ale ciężko jój było na sercu, tak ciężko, że biedne to dziecię nieszczęścia, ruiny, tułaczki, pochyliło głowę pod tym ciężarem, jak kwiat wędniejący. Spostrzegł to Pawełek i podniósł czoło w nagłym jakby przystępie uczutój siły i energii męzkiój.

— Proszę cię, kuzynko! — rzekł z uśmiechem wpół smutnym, wpół wesołym — zanim wrócę i was znowu odwiedzę, strzeż swego zdrowia, proszę cię... strzeż go, nie męcz się bardzo w téj obrzydłej fabryce i bądź pewną, bądź zupełnie pewną, że...

Tu urwał znowu.

— Niel — wyrzekł — nie mogę, nie mam prawa mówić więcej... bądź zdrowa...

Ścisnął drobną rączkę w dłoni swój silnie i długo i rzucił się ku swój dorożce.

Zamyślony bardzo, przyjechał na dworzec kolei, ze szczególném roztargnieniem załatwił zwykle przedodjazdowe sprawy, i z pochyloną twarzą, ze wzrokiem utkwionym w ziemię, wsiadł do wagonu drugieój klasy, gdy nagle odezwało się tuż przy nim gniewne, przeciągłe syknięcie. Wyszło ono z ust niemłodego już, bardzo porządnie wyglądającego jegomości, któremu, wsiadając do wagonu i w zamyśleniu swém nic i niko-go nie widząc, Pawełek był na nogę nastąpił. Jegomość, z pulchnemi policzkami i zawiesistym wąsem, posiadać musiał honor, zarówno jak kończyny ciała,



drażliwy na potrącenie wszelkie; rozgniewany bowiem do najwyższego stopnia, potrząsając zgniecioną nogą i zważając przedewszystkiém na to, że, po zgnieceniu bardzo bolesném, nie nastąpiło ze strony gniotącego przeproszenie żadne, zwrócił się do Pawełka i, z miną taką, jakby żądać miał od niego honorowój satysfakcyi, zapytał:

— Za pozwoleniem, jak godność pańska?

Pawełek, który ani osoby pokrzywdzonego, ani zadanój przez się krzywdy nie był dotąd w najmniejszej mierze zauważył, zdziwiony spójrzyał na pytającego. Groźna przecież i srodze rozgniewana mina jegomości z sumiastemi wąsami, tak zaciekawiła go i rozśmieszyła, że, chcąc dowiedzieć się o dalszym ciągu awantury, z grzecznym uśmiechem, odpowiedział:

— Do usług pańskich, nazywam się Paweł Pompański.

Niby dotknięcie różdżki czarnoksiężkiój, brzmienie wymówionego nazwiska przeobraziło do gruntu całą powierzchowność, jak zapewne cały chwilowy nastrój moralny niemłodego jegomości. Zmarszczone czoło jego rozpogodziło się, oczy zajaśniały błogiém jakiémś, miękkim światłem, nastroszone wąsy opadły w dół, pod wpływem bardzo przyjemnego uśmiechu, który rozszerzył mu wargi, groźnie wyprostowana postać schyliła się w nadzwyczaj uprzejmym, nadzwyczaj pospiesznie oddanym ukłonie.

— A! — zaczął — bardzo przepraszam... nie



wiedziałem, doprawdy nie wiedziałem... bardzo mi miło... bardzo mi przyjemnie...

— A to dopiero pocieszny facet jakiś! — szepnął do siebie Pawełek, nic a nic nierozumiejący treści wydarzenia. Po chwili, wsunąwszy się w kąt wagonu, zatonął znowu całkiem w swych myślach, w przypatrywaniu się delikatnej, dziewiczo słodkiej i czystej twarzyczce Rózi, która, jak wdzięczne zjawisko, przesunęła się dziś niespodzianie przed jego oczyma, i niby wdzięczny, pociągający obrazek, przesuwała mu się i teraz wciąż, nieustannie przed wzrokiem wyobraźni. — Tak — rzekł do siebie Pawełek, w zakończeniu jakby długiego jakiegoś wewnętrznego monologu, — stara generałowa miała słusność! Dba ona wprawdzie o mnie tyle, co o swój stary gorset, na śmietnisko wyrzucony, a chce tylko za mojem pośrednictwem raz jeszcze dokuczyć staremu hrabiemu; niemniej jednak ma słusność i trzeba mi będzie prędzêj czy późniêj pójść za jêj radą.

Pociąg tymczasem ruszył i Pawełek, zatopiony w myślach swych, nie zwrócił uwagi na szczególne zajmowanie się jego osobą trzech siedzących z nim w wagonie towarzyszy podróży. Przed pięciu minutami, jegomość o sumiastych wąsach, wyglądający na obywatela wiejskiego średniej wagi, wskazał był na Pawełka oczyma dwom innym jegomościom, z których jeden wyglądał na urzędnika średniej wielkości, a drugi na miejskiego dandysa średniego tonu, i wy-

mówił przed nimi po cichu jego nazwisko. Dandys i urzędnik jednocześnie wzrok swój na twarz Pawełka przenieśli i długo, bardzo długo, na niego patrzyli.

— Drugą klasą podróżuje! — zauważył z cicha urzędnik — jak to teraz panowie nasi umieją być oszczędnymi!

— Cóż ważnego! podróżowanie drugą klasą należy teraz do najlepszego tonu—odparł dandys, dając przez to do zrozumienia, że jeżeli on drugą klasą podróżuje, to widać, że już taka moda nastąpiła.

— Ciężkie czasy, panie dobrodzieju! — zakończył obywatel z westchnieniem, i po krótkiej rozmowie tej, wszyscy trzej znowu, odwróciwszy głowy, na Pawełka patrzyli.

Od tej już chwili, śmiało rzec można, że Pawełek podróżował niby księżę udzielny, otoczony dworskim swym orszakiem.

— Pan hrabia dokąd udawać się raczy? — zagał rozmowę obywatel.

— Wysiadam na stacyi Z.

— A to i ja także.

— I ja.

— I ja.

— Jakże to miło będzie podróżować tak razem aż do końca!

Pawełek nie podzielał snadź tego zdania, a przynajmniej głośno go nie potwierdził. Milczał.



— Panu hrabiemu strasznie niewygodnie być musi na téj twardej kanapce.

— Już to przyznać trzeba, że zarząd kolei żelaznej nie udarował nas wcale wygodnemi wagonami...

— Po moich szczególniej mebelkach, które świeżo kupiłem sobie do gabinetu, ławy te... i t. d.

Przy wysiadaniu na pierwszym dłuższym przestanku, dandys wyskoczył z wagonu ze szczególnym pośpiechem i podał rękę wysiadającemu po nim Pawłkowi.

— Niech pan hrabia będzie łaskaw wesprzeć się... tu nie tak łatwo wysiadać jak z karety...

U stołu trzej podróżni pilnowali się święcie, aby zasiąść dokoła Pawłka.

— Co za fatalna kuchnia! — narzekał obywatel.

— A już to pewno nie taka, do jakiej pan hrabia przywykłeś — zwrócony zawsze do Pawłka uśmiechał się urzędnik.

— Co do mnie, formalnie jeść tego nie mogę... — zawołał dandys i, z obrzydzeniem odrzucając od siebie nóż i widelec, zgłodniałemi oczyma pożerał stojące na stole półmiski.

Gdy wrócono do wagonu, urzędnik i dandy jednocześnie tonem uprzejmiej prośby wymówili do obywatela:

— Pan znajomy z hrabią... chciój pan nas zaprezentować...



— Pan Pierzyński, pan Kamionkiewicz — prezentował obywatel z wielką powagą.

Zamieniono wzajemne ukłony. Pawełek rozumieć zaczął, co i dlaczego się święciło. Urywanemi słowami odpowiadał na liczne, spadające na niego zapytania, obojętnie dziękował za wyrządzane sobie grzeczności, a od chwili do chwili, ukrywając dolną część twarzy w futrzany kołnierz, dusił się śmiechem.

Trwało to dzień cały. Wieczorem nakoniec, gdy czterej podróżni znaleźli się już u kresu swój podróży, Pawełek, u samego wejścia na stacyą, znalazł się w formalném obleżeniu trzech swych towarzyszy.

— Bardzo mi było miło i przyjemnie zrobić tak miłą, tak zaszczytną znajomość — pokręcając wąsa, prawil obywatel.

— Upadam do nóżek i polecam się łaskawej pamięci pana hrabiego — kłaniał się urzędnik.

Co do dandysa, ten wyjął z kieszeni wizytowy swój bilet i, nie wiedzieć w jakim celu, chyba dla pokazania panu hrabiemu, że używał wizytowych biletów, wręczając go Pawełkowi, rzekł z bardzo eleganckim ukłonem.

— Pan hrabia pozwoli, że za powrotem moim do Warszawy ośmielę się przypomnieć jego znajomości...

— I owszem i owszem! bardzo mi miło, bardzo rad jestem — kłaniając się na wszystkie strony mó-

wił Pawełek;—tylko—dodał—zawdzięczając tak wiele grzeczności i uprzejmości panów, poczuwam się do obowiązku wyprowadzić ich z błędu... zaszła tu bowiem wielka, znakomita omyłka!

— Jaka omyłka! — zawołali chórem zdumieni podróżni.

— Omyłka co do tożsamości osoby mojej. Panowie bierzecie mię za kogo innego, niż jestem...

— O, panie hrabio!

— Ależ panie hrabio!

— Cóż znowu, panie hrabio!

— Niezawodnie, panowie uczyniliście mi zaszczyt, biorąc mię za prawdziwego Pompalińskiego, ale ja, mając wstręt do wszelkich fałszerstw, widzę się w konieczności oświadczyć, że jestem Pompalińskim nieprawdziwym...

— Cha! cha! cha! co za wesołość humoru!...

— Pan hrabia żartuje!

— Wolne żarty panu hrabiemu.

— Niéma w tém cienia żartu, moi panowie. Prawdziwi bowiem Pompalińscy, są hrabiami i milionerami, a ja pochodzę z tych Pompalińskich co to ani tytułów, ani milionów nie posiadają. Nazywam się dla całego żyjącego ogółu mości panem i goły jestem, jak święty turecki. Żegnam panów!

Wraz z ostatnim wyrazem Pawełek ręką i kapeluszem oddał trzem towarzyszom swym niezmiernie

elegancki, uprzejmy ukłon i, szybkim bardzo krokiem oddaliwszy się od nich, upadł prosto w roztwarte przed nim objęcia hrabiego Cezarego, który telegramem zawiadomiony o jego przybyciu, nie ograniczył się przysłaniem po niego koni i powozu, ale i sam, aby spotkać go i powitać, co prędkiej na stacyą przyjechał.

---



## ROZDZIAŁ V.

---

Zanim przedstawię czytelnikowi owego najmłodszego członka głównej gałęzi rodu Pompalińskich, który, wśród najbliższej rodziny swój, nosił najogólniejszą nazwę: „*ce pauvre César*” albo „*ce malheureux enfant*” a wśród szerokiej publiczności: „ten pocieszny hrabia Cezary” albo „ten poczciwy hrabia Cezary”, zaprowadzić go widzę się zmuszoną do starego obszernego dworu wiejskiego, zagubionego kędyś w dalekich głębokościach Litwy, a zamieszkiwanego od lat kilkudziesięciu przez starą generałową Orczyńską.

Rzecz warta trudu, zaręczyć za to mogę. Dwór jak dwór, piękny wprawdzie, ze starym długim domem, o śpiczastym, wysokim dachu i wielkiej ilości podłużnych, niby kryształ błyszczących okien, z ogrodem cienistym, starożytnym, z borem gęstym, szumiącym z cicha, ze wspaniałą ścianą lip i modrzewi i t. d.

Wszystko to jednak znaleźć się jeszcze może tu i owdzie, na Litwie szczególnie, gdzie stare wielkie dwory, niezastąpione cackowatemi pałaczkami i modnemi lecz nagiemi parkami, rozkładają się dość gęsto jeszcze w pobliżach dróg samotnych, trawą zarosłych, i rzadkim wędrowcom o przeszłości minionej różne bajki gadają, różne dumy śpiewają.

Dwór więc jak dwór, ale pani jego — to zjawisko niepospolite, to coś, co do najwyższego stopnia zwrócić może uwagę najwybredniejszego nawet ogółu, coś, na przypatrzenie się czemu nie żał stracić najdłuższej choć-by chwili czasu; to jedna z tych istot żyjących, najbogatszych w kraju całym, to właścicielka dóbr, wartujących kilka milionów złotych, i kapitału, wynoszącego milion, wyraźnie 1,000,000 rubli srebrnych, powtarzam srebrnych, nie asygnacyjnych bynajmniej i nie imaginacyjnych, ale srebrnych.

Bajeczne to bogactwo na te ciężkie czasy, a jednak nie bajką było wcale, lecz najprawdziwszą prawdą.

Pani generałowa miała kilka milionów złotych w ziemi i milion rubli w kapitale, a nie miała dzieci. Była od dawna wdową, a nie była niczyją rodzoną ciotką ani stryjenką, ani siostrą, nie była słowem dla nikogo na świecie niczém rodzoném.

Nie należy ztąd wnosić, aby nie posiadała sukcesorów. I owszem, familią miała liczną, nadzwyczaj liczną, a składali ją na kilkadziesiąt, ba! na sto może



mil wokoło wszyscy ci, którzy pomiędzy herbem swym i nazwiskiem i herbem a nazwiskiem Orczyńskich lub Pompalińskich wyszukać mogli najślabszą chociażby niteczkę łączącą, najcieniżej choć-by, najnapowietrzniej zakreślone—*trait d'union*.

Pani generałowa bowiem była — Pompalińską z domu.

Wiele, bardzo wiele osób nosi już w opowieści téj to nazwisko. Cóż robić, skoro świętą to jest prawdą, co o znakomitym rodzie tym wyrzekł był hrabia Mściśław, że rozrodziło się to w sposób niepomierny, i z téj, lub owéj strony, zawsze głównym i najdosłowniejszym członkom rodu wstydem, lub jakimibądź innymi cierpieniami groziło. Z powodu przecież pani generałowej obawa podobna była-by najzupełniej płonną i nieuzasadnioną; tytułowała się generałową, posiadała miliony rubli, zkądże-by więc wstyd miał tu powstać? i owszem, były to same tylko zaszczyty.

Co innego wcale było wtedy, kiedy pani generałowa nie tytułowała się jeszcze generałową i nie posiadała nietylko milionów, ale i własnej, choćby cokolwiek podrzędniejszej sukienki; kiedy, słowem, była ona po prostu Cecylią Pompalińską, bardzo skromniuchną, bardzo ubogą dziewczynką, sierotą po jakimś *podupałym* Pompalińskim, (ludzie mówili, że nie miał z czego spadać, bo słomiana strzecha, pod którą urodził się i żył, była zawsze wielce niską), sierotą bez dachu,



chleba ni opieki, za cały skarb, za całą nadzieję lepszej przyszłości, posiadającą kibić, zwinną, jak łanie puszcz tych, na które, rosnąc, patrzyła, kształtną, jak gdyby wykuł ją z najszlachetniejszego marmuru grecki mistrz snycerstwa, a oprócz téj kibici jeszcze twarzyczkę, ściągłą, bladawą i smętną, grubym, kruczym warkoczem ukoronowaną, i oświeconą dwojgiem podłużnych, błękitnych oczu, nieśmiałych i pokornych zwykle, namiętnych, gwałtownych, srogich prawie w chwilach zapomnienia się lub samotności. Al! przepraszam! oprócz kibici uroczej i twarzyczki niepospolicie pięknej, Cecylia Pompalińska miała bogatego krewnego, owego, co się wtedy właśnie wynurzał z pomroki niezasłużonego, acz powszechnego zapomnienia, rybaka słynnej pamięci, a ojca późniejszych trzech hrabiów: Światosława, Augusta i Jarosława.

Ten-to właśnie, najszcześliwiej fortuną udarowany członek wielkiego, a co pewna, że bardzo już podówczas rozgałęzionego rodu, ze współdziałaniem małżonki swój, bardzo téż ambitnej i niepomierne energicznej damy, wziął sierotę Cecylią do domu swego i, jako była Pompalińską, zobowiązał się dać jój bardzo staranne wychowanie, i przyszłość, mniej więcej godną jój imienia, zapewnić.

Szlachetne te intencye wspaniałomyślnego męża zostały-by bezwątpienia spełnionemi, gdyby nie ta okoliczność, iż, zajęty zewnętrznymi sprawami swego

nowo-powstającego państwa i wznoszeniem odpowiedniej mu wspaniałością rezydencyi, wewnętrzne sprawy domowe pozostawić on musiał w rękach małżonki swój, bardzo, jak wyżej wspomniałem, ambitnej, a bardziej jeszcze energicznej niewiasty. Ambicya niewiasty téj srodze cierpiała nad ciągłą obecnością w domu jój ubożuchnej krewniej, nieustanném więc jakoby świadectwem i przypomnieniem tego faktu, nieprawdopodobnego niemal, iż, obok Pompalińskich mieszkających już pod wyniosłemi dachami pałaców, istnieli Pompalińscy i tacy także, których głowy (kto wie nawet, czy uczesane dostatecznie?), kryły się jeszcze pod skromnemi osłonami strzech słomianych.

Cierpienia, zadawane ambicyi, wzmagaly do niepomiernego stopnia wrodzoną już charakterowi niewiasty owój energią, a energia wzmożona, tak jak i cierpiąca ambicya, zaciężyły podwójném brzemieniem na drobniuchnej, zwinniej kibici i kształtniej, małej główce sieroty Cecylii. Zaciężyły one nad nią do tak wysokiego stopnia, iż, po kilku lecich przebywania w rezydencyi bogatych swych krewnych, zwinna i wdzięczna pod słomianą strzechą kibic jój, stała się nieśmiałą i poruszającą się dziwnie powoli jakoś i niby chwiejnie; hardo wprzód i zalotnie nieco podnoszona główka pochyliła się nisko; błyszczące dziecięcą wesołością oczy przyłgnęły jakby do ziemi, a gdy podnosiły się, pokorne były i zalęknione wobec



ludzi, gorzkiém rozżaleniem i ostrą urazą płonące, gdy ludzi nie było.

Wtedy-to widywano Cecylią, w świeżo nabytym pałacu świeżo powstałych wielkich państwa, przesu- wającą się po obszernych komnatach, w wązkiej czarnej sukience i z gładko uczesanemi włosami, ni- by cień chwiejny, trwożliwy, i pokornie miejsca te za dokuczliwą obecność tu własną przepraszający; wi- dziano ją także, jak przyspieszonym krokiem, z dro- bną twarzyczką swą, okrytą wyrazem pośpiechu i za- kłopotania, z oczyma spuszczone i pękiem kluczy w dłoni, zaledwie je podźwignąć mogącój, przebiega- ła liczne wschody i kurytarze pałacu, dążąc ku licznym spiżarniom, piwnicom, składom, wyręczając słowem panią domu tak gorliwie, iż wyręczaniu temu ani najwcześniejszy poranek, ani najpóźniejszy wie- czór końca położyć nie mógł. Widziano ją jeszcze, przychodzącą do stołu, wspaniale kryształami i sre- brem zastawionego, w téj samój, co zwykle, czarnej sukience, z temi samemi prześlicznymi włosami, na rozkaz opiekunki jak najstaranniej i jak najbrzydziój przylepianemi do bladego czoła, zasiadającą u szare- go końca i w wiekuistém milczeniu oczekującą, za- nim lokaje w błyszczącej liberyi (w liberyi bardzo jeszcze pierwotnego, niewykształconego smaku) przy- niosą jój na srebrnych półmiskach ostatki potraw, któ- rych nikt już nie chciał, więc które przypadały w udziale jój i Filutce, prześlicznój psince domowój.



Ale Filutka śmiałą była, figlarną swawolnicą, skoro tedy uczuła niedostateczność udzielonego sobie pożywienia, biegła ku pani domu, wskakiwała jój na kolana, kudłatemi łapkami rozdzierała koronki, strojące (z pierwotnym téż nieco smakiem) drogocenne jój szaty, dopominała się, słowem, dobijała praw swoich; Cecylia zaś nie czyniła nigdy nic podobnego: wstawiała od stołu cicha i, jak zwykle, w sobie zamknięta; nakształt cienia, szelestu żadnego nieczyniącego, przesuwiała się przez komnat kilka, i daleko, daleko od bawialnego salonu, w którym gwarzyli głośno i wesoło bawili się goście, zasiadała przed oknem, za krośnami, aby haftować, haftować, haftować, aż do skończenia dnia, aż do chwili, w której u progu zjawiała się ochmistrzyni, lub stawał kucharz, a jój wypadało powstać od krosien, wziąć ciężkie klucze do ręki i pójść z niemi na długą wędrówkę po pałacowych wschodach, kurytarzach i podwórzach.

Było to, mówiąc prawdę, życie dość ciężkie, jak na wątłe siły fizyczne i moralne młodej dziewczyny, tak starannie i troskliwie przez opiekunów swych wychowanęj, że umiejętności jój nie sięgały dalej, jak ku wcale nieszczególnemu czytaniu i pisaniu — jeszcze nie szczególniejszemu. Rachować za to, trudniąc się nieustannie gospodarstwem, w domu krewnych jój na wielką i szeroką skalę zaprowadzoném, Cecylia nauczyła się wyśmienicie.

Umiała téż ze sztuką, której-by pozazdrościła nie-

jedna artystka sceniczna, zapierać w głębi piersi łyzy, gorzką falą podnoszące się ku oczom; poskramiać wybuchy głosu i zamieniać je w cichy szept nieśmiały; ostre, nienawistne prawie spójrzzenia, ukrywać pod spuszczoną powieką, i uśmiechy, przebiegające po blado-różowych ustach, czynić zupełnie niewidzialnymi.

Wśród doli téj jednak, wykwitnął był raz kwiat z gorącą barwą i cudowną wonią.

Stało się to wtedy, gdy najstarszy syn świeżo kreowanych wielkich państwa, Światosław, odbywszy obowiązującą kilkoletnią podróż zagraniczną, wrócił pod dach rodzicielski dorosłym, pięknym młodzianem.

Młody hrabia (tak bowiem wtedy już motłoch nazywać go zaczynał), znał się na rzeczach pięknych i umiał wygrzebywać złoto, choćby z popiołu. Przez kilka dni przypatrywał się był Cecylii z uwagą wielką, aż na twarzy jego, przy spójrzeniu na nią, zjawiać się począł wyraz jakiś miękki, łagodny, burzliwe namiętności ukrywający, jakby pod osłoną głębokich tkliwości, ów wyraz, który, według najwiarogodniejszych świadectw ówczesnych, czynił go wśród kobiecego świata niezwykłym zwycięzcą.

Potém młody hrabia wymykał się coraz częściej z bawialnych salonów, przechodził szybko dalsze pokoje pałacu, mimochodem jakby stawał nad krośnami Cecylii i, wśród urywanych naprzód i trudnych



potém coraz żywszych, coraz cichszych rozmów z dziewczyną, zapominał się godzinami całemi...

Potém twarz Cecylii, zmartwiała już, i prawie ponura, ożywiać się poczęła, jak dawniej, szczególném jakiémś, z najgłębszego wnętrza tryskającym, trwożnym i kryjącym się, lecz dziwnie promienném, słodkiem światłem. Powieki jój podnosiły się częściej, niż wprzódy, i ukazywały dwie wielkie, szafirowe źrenice, błyszczące jak gwiazdy; po bladém jój czole przemykały płomyki różanych rumieńców, a piękne krucze włosy, wbrew rozkazom wszelkim, przestały martwo lgnąć do skroni, ale dumnie jakby podniosły się w górę i owinęły kształtną, małą głowę, wielką, jedwabistą koroną warkocza.

Młody hrabia przeciwnie, posepniał jakoś w tym samym czasie, zapadał w długie, głębokie zamyślenia, przestawał bawić się myśliwstwem i na cześć swoje wydawanemi w sąsiedztwie wieczorami, a oddawał się samotnym przechadzkom. Być może, iż dwie spreczne siły jakieś rozpoczęły we wnętrzu jego bój zażarty i dręczący.

Potém, ci i owi z licznych mieszkańców wielkiego dworu widywali o późnej wieczornej porze, gdy śród niskich zarośli świeżo zasadzonego parku księżyc rozlewał srebrne swe promienie, dwie postacie, przechadzające się po drogach i ścieżkach, zwolna, długo...

I nawet w jasne dnie słoneczne, w tych mianowi-



cie porach, gdy w pałacu gości nie było, a pani pałacu w sypialnej komnacie swój, bardzo prozaicznie i po mieszczańsku, oddawała się poobiedniemu snowi, widywano tych samych dwoje ludzi, wychodzących ze dworu daleko, na łąki kwitnące, w głębie gajów zielonych...

W tym samym czasie, na palcu Cecylii zjawił się niewielki pierścionek złoty, jednym tylko brylantem, niby bujną łąką, przystrojony, z wrytą pod spodem cyfrą: S. P. Byłże-by to pierścień zaręczynowy, czy ślubny? To tylko pewna, że Cecylia w dniu, w którym go po raz pierwszy na palec włożyła, wyglądała dziwnie jakoś poważnie, wspaniale niemal, tak, jak gdyby w głębokościach ducha swego życie swe całe zaślubowała jednemu wyłącznie człowiekowi, jednemu ogromnemu, potężnemu uczuciu...

Dostojny rodzic młodego hrabiego, jak téż i ambitna a energiczna jego rodzicielka, wiedzieli dobrze, co się święciło tuż przed ich okiem, nieukrywane zresztą, nietajone zbyt przez żadne z dwojga młodych ludzi. Nie brali tego przecież bardzo do serca. Uważali to ze strony syna swego za przyjemne *passetemps*, nic więcej, za sposób zabijania nudów większych, słowem, za mniej lub więcej godziwe, lecz wcale nieszkodliwe, żarty. Wiedzieli przecież dobrze, w jakich niezłomnych zasadach wychowali syna swego, ufali bez granic jego charakterowi, jego dumie

szlachetnej, jego rycerskiej dbałości o honor swój i rodu swego.

W mniemaniu tém utwierdzili się znacznie, gdy młody hrabia, spędziwszy kilka miesięcy letnich w rodzicielskim domu, najzupełniej własnowolnie i samodzielnie wyjechał znowu za granicę, i bawił tam przez rok cały. Nieobecność ta uczyniła Cecylią smutniejszą trochę, bynajmniej jednak nie zgnębioną, ani rozpaczoną. Widać było, że ufała głęboko, wierzyła bez granic, mężnie znosząc tęsknotę, czekała cierpliwie... Domowi śmieli się z głupiej zarozumiałości biednej dziewczyny, z jej płonnego marzycielstwa, i mieli ją odtąd w większej jeszcze, niż wprzódy, pogardzie.

A jednak zarozumiała dziewczyna, w owej chwili przynajmniej, miała słuszność, wierząc i czekając ufnie... hrabia Światosław wrócił po roku, niezmienny wcale, trochę jakby zmęczony już światem szerokim i wszystkimi świetnościami jego, nieukrywający się już bynajmniej z uczuciem swém dla głupiej, zarozumiałej dziewczyny z pod słomianej strzechy...

Ufność rodziców hrabiego w niezachwiane zasady syna nadwerżona nieco została. Zadrżeli w duszy; niebawem jednak spostrzegli, że obawa ich była płonna; młody hrabia bowiem, po kilkotygodniowym zaledwie pobycie w domu, odjechał znowu, do stolicy



tym razem, i nie wrócił aż po długich kilku miesiącach.

Odjeżdżanie to i powracanie, to ustawiczne napężanie strun ducha młodej kobiety, głęboko i namiętanie kochającej, trwało lat—sześć. Lat sześć Cecylia wierzyła ślepo, kochała bez granic, czekała z mężstwem niezłomném. Szydźili z niej ludzie, najlepsi patrzali na nią z litością; w nieobecności młodego hrabiego poniewierano ją, niby gadziną zjadliwą, na dobroczynném łonie zhodowaną i łono to kąsać gotową; ona nie słyszała, nie widziała, nie czuła nic: całą istotą swą zatoneła w jednym uwielbionym obrazie, i, niby lunatyczka, obracała się pomiędzy ludźmi, z oczyma w obraz ten utkwionemi, z uchem wsłuchaném w echa ukochanego głosu, z sercem w płomieniach.

Minęło sześć lat, kawał ogromny czasu, cała prawie piérwsza, najpiękniejsza młodość kobiety. Hrabia Światosław walczył wciąż pomiędzy miłością dla sieroty, a wpojonemi mu przez dostojnych rodziców zasadami, aż... zwyciężyły zasady. Do onego zwycięztwa zasad dopomagały dzielnie długie, poufne rozmowy z ojcem, i ostatnia już w téj fazie życia jego podróż za granicę, z której przywiózł dwie głębokie bruzdy na młodém jeszcze czole, przywiedle policzki i wygasłą źrenicę.

Tak; wyniosłe czoło jego zbrzdziło się, orle oko przygasło, piękną twarz przyoblokł z lekka cień go-



ryczy i szyderstwa; ale téż w zamian zahartowała się ostatecznie dusza jego przeciw sielankowym marzeniom i uczuciom, wytkniętym mu został cel życia, wspaniały zaprawdę, wielki cel: zostania naczelnikiem i głową wielkiego rodu, prawdziwym założycielem jego świetności.

Zasady tedy tryumfowały na grobie jedynych miłości i nadziei Cecylii. Tryumfowali wszyscy, którzy na tę sześćdziesięcioletnią idyllę z blizka lub z daleka, z szyderstwem lub z trwogą, patrzali; ale ona nie chciała jeszcze nic widzieć, usiłowała jeszcze wierzyć — milczała i czekała...

W tym samym czasie, w dom słynnego rybaka, otwarty na oścież dla wszystkich, jak-bądź i czém-bądź słynnych ludzi, zawitał generał Orczyński.

Waleczny mąż ten, z licznych wojennych wypraw, które odbył przez ciąg długiego żywota, wyniósł mnóstwo blizn, ran, szram i godeł odznaczenia, któremi téż swą pierś wszerek i wzdłuż okrywał. Mówiąc, jękał się, chodząc, sunął po ziemi nogi, w czém zresztą nic dziwnego nie było, ponieważ był starcem. Miał lat siedmdziesiąt i takąż liczbę dziwactw różnego rodzaju, z których jednak przeważnym i całą istotę jego pochłaniającym, był nieprzezwyćiężony wstręt, do naturalnych sukcesorów swych uczuwany. Sióstr i braci stryjecznych, ciotecznych i t. d. (rodzonych nie miał), jako téż ich dzieci nienawidził,

a myśl, iż odziedziczą oni po nim wielki jego majątek, dręczyła go dniem i nocą, poła mu życie całe goryczą i trwogą. Ożenić się—był to najlepszy, najprostszy, do celu wiodący środek wydziedziczenia nienawistnych *spychaczy*,—tak bowiem członków rodziny swój zwykle nazywał. Środek ten przecież nie był zbyt łatwym do osiągnięcia.

Wielki miłośnik płci niewieściej, generał, wśród życia obozowego, marszów i potyczek, przelatywał tylko jak motyl z kwiatka na kwiatek, przy żadnym jałkoś *na wielki* zatrzymać się nie mogąc. Lata przecież płynęły, śmierć groziła, wieczność w oczy zaglądała... trzeba było, pod groźbą uszczęśliwienia ciotecznych i stryjecznych siostrzeńców i synowców, przedsięwziąć coś stanowczego.

Aby ich nie uszczęśliwić, generał gotów-by był nawet unieszczęśliwić samego siebie; ale tu i ta smutna konieczność nie zachodziła bynajmniej: stary człowiek bowiem mieszkał wciąż w starém ciele i ku obrazowi nadobnej towarzyszki życia uśmiechał się bardzo słodko i tęsknie. O bogatych dziedziczkach nie myślał, dość mu już było troski a biedy z przyszłością własnego majątku. Trzeba mu było czegoś cichego a nadobnego, pokornego i miłuchnego; czegoś ubożuchnego, coby go z siedmdziesięciu latami, bliznami, siwizną i łysiną radośnie przyjęło, a potem majątek przezeń sobie zapisany, na



przekór owym ciotecznym i stryjecznym, z wdzięcznością odziedziczyło.

Cecylia wydała mu się istotą taką właśnie, za jaką się po świecie nieśmiało a tęsknie oglądał: cichą a nadobną, pokorną a wdzięczną, ubożuchną, zgnębianą, więc do zmiany losu aż nadto skłonna. Popatrzył na nią z uwagą raz i drugi, na dolatujące do niego plotki o jakiejś wielkiej miłości, którą w sercu od lat wielu nosiła, lekceważąco ramionami ruszył, i opiekunom jój o rękę się oświadczył.

Było to w kilka miesięcy po owój wielkiej zmianie w usposobieniu i obejściu się hrabiego Światosława względem Cecylii.

Nazajutrz po oświadczeniach generała, a w godzinę po dłuższej z opiekunką rozmowie, Cecylia wybiegła do parku, drżąca cała, blada śmiertelnie, z ponurym ogniem w oczach. Nie szła, lecz biegła. Przebiegła mnóstwo dróg i drożyn, pałającymi oczyma rozglądając się wokoło, wyraźnie szukając kogoś; aż stanęła nagle, jak przykuta do miejsca, o parę kroków od ogrodowej ławki, na której, czytając książkę, w pół leżał hrabia Światosław. Ujrawszy nadchodzącą, podniósł się lekko, opuścił w dół książkę, i zdał się czekać na to, co mu powie.

Dziewczyna przestała drżeć, skrzyżowała ramiona na piersi i, wlepiając wzrok w kochankę, wyrzekła prędko i głosem stłumionym:



— Światosławie! Generał Orczyński oświadczył się dziś o rękę moję. Ojciec twój i twoja matka, żądają ode mnie, jako dowodu wdzięczności dla nich, abym została jego żoną. Jakie jest o tém twoje zdanie, Światosławie?

Zaczynała mówić gwałtownie, gniewnie, tak, jakby zapytanie to nie miało w ustach jój być niczém inném, jak gorzkiém, namiętném, nienawistném niemal szyderstwem; ale, przy ostatnich słowach, głos jój zmiaękł i łzami wezbrał, oczy jój, usta drżące, ramiona, które rozwarły się giestem, o ratunek jakby błagającym, wołały: przypomnij sobie! o! przypomnij sobie tylko wszystko! wróć do mnie! ratuj mnie!

Hrabia Światosław, blady i z głęboką zmarszczką na czole, siedział chwilę nieruchomy. W oczach mignęły mu błyskawice bólu; dumne, przywiedłe nieco wargi drgnęły żalem stłumionym. Trwało to przecież krótko. Zasady niezblągane, a głęboko przez mądrych, troskliwych rodziców w niego wpojone zasady przysły mu w pomoc, i w ostatniéj chwili wewnętrznego boju wsparły chwiejącą się jego wolę. Powoli, głosem pewnym i zimnym, wymówił:

— A więc, Cecylio, idź za generała! Los to dla ciebie świetny. O tém, co było, zapomnieć powinnaś i zapomnisz z pewnością...

Cecylia stała przez chwilę, jak martwa. Oczy jęj tylko rozszerzały się, a źrenice stawały podobnemi do ciemnych, przepaścistych otchłani. Potęm na zbielałych ustach jęj zadrgał, niby echo ostatniego słowa kochanka, wyraz: zapomnę!

— Zapomnę? — wymówiła dwa razy bardzo cicho. — O, nie! — dodała jeszcze ciszej — nie zapomnę nigdy!

Roztworzyła ramiona, jakby szukała dla siebie punktu oparcia jakiegoś i, zemdlona, osunęła się na miękką murawę.

Na widok upadającęj, porwał się z miejsca swego młody hrabia, i zdawać-by się mogło, że pochwyci ją w swe objęcia, przywoła do życia pieczęotę i słowem miłości. Pochylił się bowiem nad nią, drżący cały, do głębi wzburzony. Ale zasady w nim silne były, o! silne! Ostrożnie tylko, cicho, jakby lękał się obudzić śpiącą i zdradzić się przed nią z uczuciami swemi, ujął osunięty z czoła i wijący się po trawie długi, czarny warkocz dziewczyny, przycisnął go do ust, wyprostował się, odetchnął pełną pierścią i, krokiem śpiesznym wprawdzie, lecz równym i pewnym, odszedł ku pałacowi. Tu do pięrszęj spotkanęj osoby rzekł obojętnym zupełnie, znudzonym prawie głosem:

— Panna Cecylia zemdlala tam w parku... niech kto pospieszy do nięj z pomocą.



Nazajutrz Cecylia, z gorączkowemi rumieńcami na policzkach, z ostro błyszczącym okiem i zaciętymi usty, ale ze spokojną, sztywną niemal postacią, składała rękę swą na pomarszczonęj dłoni generała, a w chwilę potém przyjmowała od rozradowanego siedmdziesięcio - letniego Adonisa przebogatę podarki w złocie, perłach i brylantach....

Światosława nie było już w pałacu. Śród nocy opuścił on dach rodzicielski, wyjechał do Francyi, do Paryża, z kąd nie wrócił aż po trzech leciech, z kąd też dochodziły o nim do kraju wieści szczególne: że bywa na królewskich pokojach, że szalone zakłady stawia na wyścigach, i bajeczne sumy płaci modnym metresom, że kocha się w pannie Mars, słynnęj artystce, że w nim kochają się różne wielkie damy, że, słowem, godnie podtrzymuje on sławę nowonarodzonego imienia swego i umiejętnie nad wywyższeniem jego pracuje.

Pomimo wielkich szaleństw, których się dopuszczał, nie nadweryzył fortuny swęj, owszem, powiększyć ją zdołał. Powściągały go snadź i rachować uczyły owe, tak możny wpływ na niego mające, zasady. Pomimo mnóstwa romantycznych awantur, któremi się wslawił, nie ożenił się nigdy. Co odpychało go od ślubnego ołtarza?

Taka-to była historia pani generałowęj, zwa-



nój teraz starą sknerą, albo starą wiedźmą, albo jeszcze żyłą złotą, którą śmierć kiedyś kosą swoją dla przyszłych sukcesorów jej odgrzebie. Stara historia, lecz wiecznie nowa, jak śpiewa nieśmiertelny Heinel

---

## ROZDZIAŁ VI.

---

Na obszernym bardzo dziedzińcu Odrzenickiego dworu wznosiły się niegdyś stare klomby najwytworniejszych krzewów; dwie szerokie drogi żwirowane biegnęły kręto od sklepionej bramy wjazdowej pod długie, wysokie, na smukłej kolumnadzie wsparte ganek domu. Zaraz jednak po śmierci generała, która nastąpiła bardzo już dawno temu, nowa właścicielka Odrzenic wyciąć rozkazała ze szczerem drzewa i krzewy, a drogom, nieoczyszczanym nigdy, zarósł pozwoliła trawą i bujnym, wysokim zieleciem. To samo działo się z ogromnym ogrodem, po drugiej stronie domu leżącym. Drzewa owocowe zestarzały się tam i spróchniały, niepielegnowane i niezastępowane nowymi; szpalery, kunsztownie niegdyś wystrzygane, zdziczały i rozrosły się w gęszcz ciemny i splątany; drogi szerokie i liczne kręte ścieżki trawą zarosły;

wielki staw wysechł na-pół i okrył się zieloną pleśnią; a na całej przestrzeni nie tkwił już nigdy, od lat kilkudziesięciu, żaden, by najdrobniejszy, kwiatek, ręką ludzką zasadzony, panoszyły się tylko bujne żółte dziewanny, rozłożyste, różowato kwitnące osty i drobne fijołki, które, nie pytając się o pozwolenie niczyje, co wiosna wychylały nieliczne zresztą główki po-nad zaniechaną powierzchnią dawnych trawników...

Pani generałowa nie lubiła przebywać wśród barwnego i wesołego państwa roślinności, nie lubiła nawet patrzeć na nie. To téż ogołocony przez nią wielki dziedziniec Odrzyniecki, w zimie szczególnie, pod przysłoną grubiej warstwy śniegu, wyglądał dziwnie smutno i ponuro, tak zresztą, jak smutno i ponuro wyglądała, waląca się w gruzy, wielka brama wjazdowa, i naga, z ożywiającej ją niegdyś kolumnady odarta, a długim tylko rzędem zimnych, jak kryształ, okien błyszcząca, frontowa ściana domu. Ganku nie było już tam żadnego, znieść go bowiem kazała pani generałowa.

Przybywający podjeżdżali prosto pod drzwi, wysokie, z gładko wyheblowaną, nagą powierzchnią, kilku tylko, marmur naśladowującymi, stopniami, nad poziom wzniesione, i przez sień wielką, zimną, za jedyny sprzęt mającą długie politurowane wieszadła, wchodzili prosto do ogromnego bawialnego salonu, w którym od lat już niepamiętnych pani generałowa



wa przesiadywała zwykle i odwiedzające ją osoby przyjmowała.

Był to salon bardzo obszerny, bardzo zimny i zupełnie prawie pusty, staroświeckie bowiem krzesła i taborety, które sztywnym szeregiem i w znacznych od siebie odstępach stały tam pod ścianami, były tak nieliczne, iż znikwały prawie w ogromie przestrzeni. Cztery podłużne, kryształowe, przezroczyste okna, nieosłonięte by najmniejszym cieniem firanki, a wychodzące na ogromny, pusty dziedziniec, zalewały komnatę tę zimnym, monotonnym, białym światłem. Wysoki sufit, nieodświeżany snadź od czasów niepamiętnych, zczerniałym był prawie od pyłu; na starém, jak świat, obiciu, okrywającym ściany, błyszczały gdzieś niedzie na-pół starte złocenia i ciemniały, jak wielkie plamy, różowe niegdyś, a teraz brudno popielate, bukiety.

W głębi salonu, pomiędzy oknami, stała szeroka i długa kanapa, starym żółtawym [adamaszkiem] obita. Przed nią umieszczonym był stół mahoniowy, z niezmiernie wysoką, bardzo kosztowną lampą, i stały dwa długie rzędy foteli, o wysokich rzeźbionych poręczach. Na tej-to kanapie siadywała zazwyczaj generałowa, tak ukryta za lampą i wysokimi poręczami foteli, tak maluchna wśród ogromu komnaty, że ktoś, z przeciwległych drzwi do salonu wchodzący, musiał dobrze wzrok wyteżać, zanim zdołał dojrzieć, niby drobny migocący punkcik, mieniającą się na ka-

napie fałę jedwabnej materyi, i wyglądający z poza lampy koniuszek błękitnego, lub amarantowego strusiego pióra.

Owóz, na parę tygodni przed dniem, w którym, wśród zgromadzonej rodziny hrabiów Pompalińskich, spadł piorun w postaci wieści o niefortunnych matrymonialnych zamiarach jednego z jej członków, więc także przed dniem, w którym téjże rodzinie przybył z Rzymu wraz z hrabią Mściśławem dyplom na prawy już i niezaprzeczalny tytuł hrabiowski, w salonie pani generałowej znajdowały się trzy osoby.

Na kanapie siedziała, jak zwykle, gospodyni domu, mała, chuda bardzo kobietka, z cienką kibicią, energicznie wciśniętą w jedwabną suknię, z jaskrawo mieniącą się liliowej materyi, po balowemu u góry wyciętą, w dole rozdętą na krynolinie rozmiarów niepomiernych. Odsloniętą jej szyję, pomarszczoną i żółtawą, okrywały trzy sznury wielkich, niezmiernie cennych pereł, tuż pod głęboką wklęsłością, znajdującą się tam, gdzie bywa zwykle podbródek, spięte klamrą ze szmaragdów i brylantów. Zupełnie prawie białe jej włosy, zwinięte w mnóstwo loków i loczków, piętrzyły się dokoła głowy jej bardzo wysoko, a nad niemi piętrzył się jeszcze mały toczek aksamitny, ze sterzczącem i, niby chorągiewką powiewającym piórem amarantowej barwy. Na odsłoniętych też aż po łokieć ramionach wily się liczne bransolety



ze złota i drogich kamieni, a wszystkie szczegóły tego, co najmniej dziwnego, stroju, były tam nagromadzone w tak wielkiej obfitości, w tak chaotycznym ze sobą pomieszaniu, że cała postać pani generałowej podobną była z daleka do wielkiej masy, na jeden stos niedbale rzuconych, jedwabiów, koronek, piór, złota i brylantów.

Trzeba było dopiero zbliżyć się do tego, nieforemnego, a jaskrawemi barwami mieniającego się i złotem błyskającego czegoś, aby dojrzyć twarz kobiecą, małą, chudą, kościstą, z ustami tak wązkiemi i zaciśniętymi, że prawie niewidzialnemi, z cerą żółtawą, z czołem zmietem w niezliczone, w różnych kierunkach krzyżujące się, zmarszczki.

Przy większem jeszcze zbliżeniu, dostrzedz się dawały i oczy pani generałowej, głęboko osadzone pod wystającemi brwiami, ze źrenicą spłowiałą, w pół-szarawą jakąś, w pół-zielonkowatą, która z pod pomarszczonej, żółtej, nerwowo drżącój powieki, błyskała niekiedy ostrém, zimném, przesywającym światłem.

Kobieta ta, na której widok chciało-by się albo parsknąć śmiechem, albo oczy zamknąć, byłaby tą dawną Cecylią Pompalińską, o kibici przypominającej młodą łanią, o szafirowém, głębokiém oku, o ściąglym, smętnie bladawym owalu twarzy?

Tak, była ona tą samą dawną Cecylią, wyszłą tylko, niby odwrotnie wzięta Wenus, z mętnych, ciężkich



fal kilkudziesięciu lat życia, z gorzkich, mętnych fal myśli, które przez czas ten głowę jój napełniały, uczuć, któremi się karmiła, oraz przyzwyczajęń, nałogów, kaprysów, w których się nurzała. Żaden mistrz pod słońcem porównać się nie może w sztuce snycerstwa — z życiem. Urabia ono i przerabia kształty ciał i duchów, z bogactwem pomysłów przerażającym. W zaraniu życia swego spotkałeś się był z aniołem; czekaj, aż zjawi się on nad grobem twym—ujrzysz szatana! Niekiedy bywa i odwrotnie; niekiedy też pod nieprawdopodobną niemal przemianą kształtów poszukaj tylko treści — znajdziesz tę samą!

Podobne ubieranie się na codzień w dekolowane, obcisłe i zarazem bombiaste suknie, w loczki z piórami i w wielką obfitość pereł, złota i brylantów, należało do znanych dobrze całej niemal Litwie, a nieprzeliczonych dziwactw pani generałowej.

Mniejszém już daleko, niemniej jednak spostrzeżoném przez ogół dziwactwem jój było to, że, obwieszając szyję swą perłami i ramiona okrywając bransoletami, pani generałowa nie nosiła nigdy na palcach żadnych pierścieni, żadnych, prócz jednego małego pierścionka z brylantem, wyglądającym śród czarnej emalii, jak wielka, przezysta łąza. Pierścionek ten, nie wyrównywający wartością jedną z trzyestu pereł, zdobiących jój szyję, jednemu z kilkudziesięciu kamieni, wprawionych w jój bransolety, stał

się przecież nierozłączną jakby częścią jój osoby. Nie zdejmowała go nigdy w żadnej okoliczności, i nie dawała mu nigdy towarzystwa. Ludzie szeptali, że „stara sknera” wierzy w talizmany i że pierścionek ów ze łą brylantową miał, wedle jój mniemania, czarodziejską własność strzeżenia od ognia, wody i złodziejstwa ogromnych jój bogactw.

W niewielkiem od pani generałowej oddaleniu, za krośnami pod oknem ustawionemi, siedziała Leokadya Pompalińska, siostra rodzona Pawelka, a od ośmiu lat nierozłączna dniem i nocą towarzyska pani generałowej. Białe, przykre światło, z okna padające, oświetlało pochyloną nad haftem wysmukłą i za chudą nieco postać téj, jak wiedziano powszechnie, hojnie przez panią generałową opłacanej panny do towarzystwa.

Niewielką kształtną jój głowę okrywały, z purytańską niemal surowością uczesane, włosy kruczój czarności, lecz tu i owdzie połyskujące srebrzystemi niemi siwizny, przedwczesnej widocznie, bo śniada i dziwnie nieruchoma twarz Leokadyi, prawidłowości zarysów i kolorytem cery, znamionowała najwyżej lat dwadzieścia ośm.

Trzecią nakoniec osobą, znajdującą się w salonie, był, tuż obok pani generałowej na fotelu siedzący, Pawełek.

Pani generałowa toczyła z Pawelkiem rozmowę, nader widać żywą, bo malutka jój osobka rzucała się



na szerokiej kanapie w nerwowych, nierównych ruchach i podskokach, a z piersi jój ulatywały urywane, piskliwe dźwięki, mające oznaczać śmiech, a w rzeczywistości ani do tego objawu wesołości ludzkiej, ani do niczego najzupełniej niepodobne.

— Tak, tak, kochany waćpanie! — mówiła, chichocząc niby i podwijając pod siebie nogi, aby je znów z wysokości kanapy zwiesić, o wiele niemi podłogi nie dotykając — tak, tak, posłuchaj mnie tylko waćpan, wyucz się rzemiosła jakiego: szewctwa, krawiectwa, czy czegoś podobnego, a obaczysz, że wyjdiesz na tém dobrze! wyśmienicie! Dodaję tu zresztą, dodaję, że jeżeli tak sobie postąpisz, będziesz w testamentie moim notowany! zobaczysz, jak będziesz...

— Przyznam się, pani generałowej — przerwał Pawełek, który uśmiechał się i rumienił naprzemian — że mi już podobne emancypowanie się samemu nie raz do głowy przychodziło.

— Emancypuj się, kochany waćpan! emancypuj! I tylko pamiętaj, abyś nad twoim szewckim, czy tam, jak sobie chcesz, kupieckim zakładem ogromny szyld zawiesił, a na szyldzie, żeby wielkimi, notuj to sobie waćpan, wielkimi literami wypisane stało: „Paweł Pompaliński!” Przyjadę sama do Warszawy, żeby to zobaczyć, i zanotuję cię dobrze w moim testamentie!

— Trudno-by mi to przyszło z powodu przykro-

ści, jaką-bym uczynił domowi, w którym, bądź co bądź, wzrosłem i jako tako przeżyłem dotąd...

— Jako tako! — podchwyciła generałowa — dobrze powiedziałeś, kochany waćpan! dobrze powiedziałeś: jako tako! — Chichotała znowu piskliwie, powtarzając w nieskończoność zda się wyraz przez Pawełka wymówiony.

— Szydł, o którym pani generałowa mówi, ukazał-by się szczególnie w porę w tym czasie, gdy domowi hrabiów przybędzie nowy splendor, pod postacią dyplomu hrabiów państwa rzymskiego...

Pani generałowa przestała nagle chichotać i ruszać się na kanapie. Oczy jęj przyłgnęły do twarzy Pawełka.

— Aha! — zawołała — słyszałam! słyszałam! któryś tam z nich pojechał do Rzymu...

— Hrabia Mścisław... — podjął Pawełek.

— Mścisław! Mścisław! słyszałam! słyszałam! faworyt podobno pana Światosława! prawe oko! prawa ręka! portret stryjaska! czy tak? prawda? mów, kochany waćpan!

— Nie zdaje mi się, aby hrabia Światosław żywił szczególne jakieś, wyjątkowe, tkliwe uczucia dla starszego ze swych synowców... Uczuć podobnych zresztą nie ma on, zdaje się, dla nikogo...

— Dla nikogo! nikogo! — zachichotała znowu generałowa. — To bardzo pięknie! to bardzo przyjemnie, to bardzo wesoło!



— Nie można jednak powiedzieć, aby los i powodzenie w świecie młodych hrabiów nie obchodziły wcale hrabiego Światosława. I owszem, ma on ich, jak się zdaje, za przybranych synów swoich, a nawet hrabiemu Cezaremu, wbrew wszystkim innym członkom rodziny, okazuje czasem, bardzo rzadko wprawdzie, wyjątkową życzliwość...

— Hrabiemu Cezaremu! doprawdy! Dlaczegoż to? słyszałam przecież, że ten wasz Cezary jest, kochany waćpanie, wielkim osłem...

— Wistocie, uważają go w rodzinie za bardzo, jeśli tak wyrazić się godzi, ograniczonego... — z pewnym jakby żalem potwierdził Pawełek.

— Ograniczonego! — zachichotała znowu generałowa — no, proszę! proszę! Pompaliński ograniczony! Jaki to czasem ten Pan Bóg bywa kapryśny! Żeby to stworzyć Pompalińskiego bez rozumu, chili chili!

Przestała nagle chichotać.

— No, ale mów-że, kochany waćpan, co o tym dyplomie hrabiowskim! Nie dostaną go pewnie! co? pewno nie dostaną? co?

Gdy wymawiała urywane pytania te, oczy jój niepokojnie biegały po twarzy Pawełka.

— Owszem — odparł Pawełek — hrabia Mściśław zawiadamił przed kilku dniami rodzinę swą, że *prawie* już jest pewny otrzymania dyplomu.

Pani generałowa żywym nadzwyczaj ruchem po-

niosła do ust batystową chustkę, którą trzymała w rękę, i rozek jój pomiędzy zdrowe jeszcze białe zęby włożyła, Takie kąsanie chustki było u niój zwykle niemylną oznaką uczuwanój irytacyi i głębokiego namysłu.

— Prawie pewny! — zapiszczała — no proszę! prawie pewny! I cóż? pan Światosław bardzo z tego kontent? bardzo? cóż? bardzo kontent?

— Wątpić nie można, że pan hrabia będzie zadowolonym z nowego splendoru, przybywającego rodzinie, którój jest głową, o tyle... o ile może być z czegokolwiek zadowolonym...

Generałowa nic z razu nie odpowiedziała. Odwróciła od twarzy Pawełka oczy, zielonkowate teraz a ostro połyskujące, i utkwiała je w przeciwległej ścianie. Zarazem róg chustki, trzymanój w ręce, zniknął coraz bardziej w jój ustach, a szczęki poruszały się żywo, gryząc i drąc haftowany batyst. Widać było, że myślała nad czémś pracowicie. Po dość długiej dopięro chwili i na-pół tylko z ust chustkę wyjmując, zawołała, a raczój zapiszczała nagle:

— Cóż, kochany waćpaniel sprzedajecie słyszałam, Malewsczyznę.

— Malewsczyzna przypadła w udziale hrabiemu Cezaremu, jak téż i pięć innych folwarków. Ale rodzina młodego hrabiego mniema, że korzystniej dla niój będzie daleko, cały ten fundusz, w ziemi posiadany, spieniężyć...



— I któż to? któż tak mniema? Pan Światosław pewno?

— Hrabia Światosław trzyma w swych ręku główny ster interesów rodzinnych...

— Naturalnie! naturalnie! bardzo pięknie! bardzo wspaniale! Sprzedajecie więc Malewsczyznę?...

— Jutro sporządzoną ma być przedwstępna umowa...

— Bardzo pięknie! bardzo zacnie! bardzo po obywatelsku! Sama bo téż pora teraz wyprzedawać tu majątki! niech tam już ja... mam także folwark do zbycia... ale mnie tam nic nie obchodzi... co mi tam do tego wszystkiego! ale pan Światosław, taki wielki pan... taki mądry człowiek!... i filantrop, słyszałam, i filozof, i co tam jeszcze więcej... ślicznie robi! zacnie robi, po obywatelsku robi, wyprzedając majątki swego synowca! ale on dba o niego widać, bardzo dba o tego głupiego Cezarka, kiedy tak zajmuje się jego interesami! a korzystna to sprzedaż?

— Bardzo, jak na te czasy...

— Bardzo! no proszę! to ten ulubiony Cezarek stryjaszka bardzo będzie bogaty. A ożenią go zaraz? co? powiedz, kochany waćpan! pewno już tam pan Światosław księżniczkę jaką, czy grafiankę, dla faworytka swego w pogotowiu trzyma? co?...

— O ile wiem, hrabia Cezary marzy o małżeństwie z miłości...

— Z miłości! bardzo pięknie! bardzo poetycznie!

romansowy Pompaliński! Pompaliński romansowy! na wystawę wieźć, za biletami pokazywać...

Nagle pani generałowa mówić przestała i, dobrą już połowę chustki w usta wsunawszy, a gryząc ją i przeżuwając energiczniej jeszcze niż wprzód, po padła w długie, głębokie zamyślenie. Ocknąwszy się z zamyślenia, żywo bardzo zwróciła głowę ku siedzącej u oka pannie do towarzystwa.

— Niech panna idzie i każe mi obiad przynieść do mego pokoju! Niech panna powie Ambrożemu, żeby posłał natychmiast konnego posłańca po Ickę Zelmowicza... żeby mi tu za godzinę był i w moim pokoju stawił się. Niech panna brata potraktuje zacierczką, którą gotują na obiad, i niech panna do mego pokoju nie wchodzi, dopóki nie zadzwonię...

Rzekłszy to wszystko, porwała się bardzo szybko i bardzo żwawo z kanapy, nie kiwnawszy nawet głowę Pawłkowi, drobnym kroczkiem przebiegła znaczną część wielkiego salonu i znikła za drzwiami przyległego pokoju. Gdy biegła, bombiasta liliowa jej suknia mieniła się, fruwała i szeleściła, perły dzwoniły na chudej szyi, a nad głową amarantowe piórko trzęsło się jak w febrze.

Wraz z ostatnim wyrazem wydawanych przez panią domu rozkazów, Leokadya podniosła się z za krosień w całej wysokości swjej smukłej postaci, i sztywna, wyprostowana, z marmurowo nieruchomą twarzą, przechodziła przez salon.



— Leosiu! — zawołał na nią z cicha Pawełek, powstając z fotelu.

Nie odwróciła głowy. Żadnym słowem ani spójrzeniem nie odpowiedziała na wołanie brata i wyszła z salonu.

Pawełek stanął nad opuszczonemi przez siostrę krośnami i szklany wzrok utopił w barwistym hafcie, na krośnach rozpiętym.

— Boże mój! — szepnął — przez ile to lat, przez ile to już dni, ta biedna Leosia haftuje tu, siedząc tak pod oknem i słuchając pisków téj staréj czarownicy! Biedna siostra!

Leokadya wróciła do salonu i szła znowu ku krośnom. Pawełek drogę jéj zastąpił i ujął ją za rękę, która, śniada, podłużna i delikatna, zimno i nieruchomie pozostała w jego dłoni.

— Obojętnie witasz mię, Leokadyo — zaczął z żalem Pawełek, — a przecież dziś widzimy się piérwszy raz po dwuletnim rozłączeniu.

— Cóż ztąd? — odparła Leokadya, łagodnym lecz zimnym głosem — był przecież czas, w którym nie widywaliśmy się z sobą po lat kilka. Przywykłam do tego.

— I powiedz także, iż straciłaś dla mnie wszelkie przywiązanie.

Leokadya po raz piérwszy w ciągu rozmowy podniosła na brata oczy, duże, czarne, z dziwnie zamgloném, zmartwiałym jakby spójrzaniem.

— A ty?—zapytała głosem obojętnym, a zarazem cień smutnego jakby uśmiechu przewinał się po jój kształtnych, bladawych ustach, aby wnet zniknąć i pozostawić na twarzy całej zwykły jój wyraz kamiennój prawie obojętności...

— Ja? — odparł żywo Pawełek — ja kocham cię zawsze, Leosiu! Chwile dzieciństwa, któreśmy razem spędzili w domu rodziców naszych, nie wyszły mi nigdy z pamięci.

— Doprawdy? — krótkim i obojętnym pytaniem odpowiedziała Leokadya. Zarazem usiadła przed krośnami i zaczęła rozwijać motek barwistój włóczki.

— Możesz-że wątpić o tém, Leosiu?

— O czém-że na świecie zwątpić nie można?

— Widać dobrze, żeś tyle lat przepędziła z panią generałową, która zdaje się, że w nic bozkiego nie wierzy. Nie powinnaś przecież wątpić o mojem sercu?

Leokadya podniosła znowu mętne swe, chłodne spójrzenie na brata i zapytała:

— Dlaczego?

— Dlaczego? — wybuchnął Pawełek — dlatego przecież, że powinnaś wiedzieć, iż mam sercel!

— Zkądże mam o tém wiedzieć?

— Mogła-byś uwierzyć mi, gdy ci to mówię! — na-pół gniewnie na-pół z bólem odparł Pawełek.

— Wszyscy mówią, że mają serce. Jest to pretensya najogólniejsza pomiędzy ludźmi i najmniej ze wszystkich uzasadniona.



— O mój Boże! co się też stało z tobą, Leosiu! Jesteś zimną, jak lód, a gorzką, jak piołun!

— Czy mniemasz, że, żyjąc tu od lat ośmiu, mogłam zachować czułość gołębią i słodycz miodową?

— Prawda! nie jesteś szczęśliwą... toć i ja przecież nie na różach spoczywam... chleb łaskawy jem... mężczyzną jestem i niczym jestem, a jednak...

— Żyjesz wśród szerokiego świata... a ja... tu!...

Odjęła rękę od krosien i suchym, acz szerokim giestem, wskazała na martwo za oknami leżący dzieziniec, ogromny nagi salon i drzwi, za którymi przed chwilą zniknęła pani generałowa.

— Tak; — smutnie rzekł Pawełek — a przecież i tu widywać musisz mnóstwo ludzi. Do pani generałowej zjeżdżają się, jak na odpust...

— Nie należę do towarzystwa tych ludzi... — rzuciła Leokadya.

— Czyż nikt z nich nie zwrócił uwagi na ciebie? nie spostrzegł twój piękności? nie ocenił twych zalet? czyż i ty sama wśród tylu osób nie znalazłaś takich, które-by ci rozgrzały serce i uprzyjemniły życie?

— Chciała-bym, abyś był tu kiedykolwiek, gdy te... osoby... będą tu wszystkie razem zebrane! Bardzo jestem ciekawą, czy uczuł-byś serce twe rozgrzaném i uprzyjemnioném życie?

Pawełek westchnął.

— Czy myślisz — rzekł, — że ja pomiędzy aniołami żyję?

— Tém gorzej—wymówiła Leokadya i pochyliła się nad wielką ponsową różą, której wyszywanie kończyła.

Pomiędzy rodzeństwem nastąpiło dość długie milczenie. Pawełek stał naprzeciw siostry, po drugiej stronie krosien, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Zmartwiony z razu i obrażony obojętném przyjęciem i całém zachowaniem się siostry, teraz czuł się widocznie zniecierpliwionym i zakłopotanym.

— Powiedz mi, Leosiu — ozwał się porywczo nieco — czy ci się bardzo już sprzykrzyło to wiekuiste wyszywanie na kanwie róż i niezapominajek?

— Cóż robić? — odparła obojętnie — skoro w nas, ani na około nas nie rozkwitają kwiaty żywe, dobrze jest mieć przed oczyma choć-by włóczkowe.

— Winszuję — całkiem już gniewnie rzucił Pawełek — co do mnie, boli mnie bardzo, gdy patrzę na rzeczy, które widywałem dawniej żywymi i pięknymi, a które ukazują mi się teraz w stanie skamieniałości!

Wziął za kapelusz i wyciągnął rękę ku siostrze.

— Bądź zdrowa, Leosiu! zobaczymy się zapewne znowu za jakie lat kilka!

Igła wypadła z cienkich, delikatnych palców Leokadyi.



— Gniewasz się na mnie, Pawełku? — zapytała, a zarazem w oczach jój, podniesionych na twarz brata, po raz piérwszy i na króciutko mignęła drobna iskierka uczucia.

— Już téż nie mam zdaje się powodu zachwycać się nad sposobem, w jaki się ze mną obchodzisz — odrzekł, ułagodzony już nieco, brat.

Żałując jakby chwilowego objawu bardziej miękkich uczuć, Leokadya wróciła do swój roboty.

— Nie miałam téż i nie mam najmniejszej pretensyi do zachwywania kogokolwiek towarzystwem mojem; — rzekła oschlej jeszcze, niż mówiła wprzódy.

— A jednak—zbliżając się ku niój, zaczął Pawełek — gdybyś tylko chciała,.. dwoje nas jest tylko na świecie... moglibyśmy powierzyć sobie wzajem to, co nam dolega...

Szybkim ruchem, przełęknioma jakby, podniosła głowę.

— Powierzać? — powtórzyła. — Na cóż-by się to zdało? Przywykłam milczyć.

— Ja-bo znowu całkiem innój, niż ty, jestem natury! — wybuchnął Pawełek.—Umiem jeszcze, dzięki Bogu, wierzyć i nie kocham się bynajmniej w dzikiém jakimś milczeniu!

— Winszuję! — krótko i nie podnosząc oczu z nad roboty, rzekła siostra.

Milczeli znowu chwilę. Pomiędzy rodzeństwem

tém, które jednak cały wiek dziecięcy spędziło razem i z którego jedno o rok jeden tylko starsze było od drugiego, długie rozłąki i anormalne jakieś warunki życia i rozwijania się wystawiły wysoką, silną przegrodę z lodu i gładów. Chciał i usiłował obalić ją Pawełek, nie chciała i nie usiłowała Leokadya.

Wnosząc z całej osoby jój, mniemać-by nawet można, że niczego pod słońcem nie chciała i o nic się nie starała.

— Czy często odwiedzasz ciotki nasze? — zapytał brat z kapeluszem w rękę, stojąc przy krośnach.

— Odwiedzam je dwa razy na rok, to jest za każdym razem, gdy otrzymuję moję zapłatę...

— Którą odwozisz ciotkom...

Milczała.

— Chciał-bym także odwiedzić ciotki nasze!

— Dobrze. Przyjedź tu jutro, pojedziemy razem. Jutro właśnie mój termin.

Pawełek, na-pół z gniewem, na-pół swawolnie, pochwycił rękę siostry, wyjął z jój palców igłę i pochylając się, aby zajrzeć w oczy, zawołał.

— Leosiu! kochana, biédna siostró moja! czyż tak już dziś rozstać się ze sobą mamy? czyż nie powiesz mi żadnego słowa, które-by ci z serca wypłynęło? nie dasz mi żadnej dobrój rady?

Leokadya zdawała się wahać przez chwilę po-



między oschlém milczeniem, które zrosło się było jakby z jój naturą, a cieplejszém, miększém uczuciem, które znowu bladą iskierką zaświeciło w jój oku. Nie wysunęła z dłoni brata ręki swój, jak to była uczyniła przy początku rozmowy, lecz, wyprostowana i sztywna jak zwykle, powstała z za krosien, i ze spuszczonei powiekami zwolna wyrzekła:

— Jakież ja ci słowo powiedzić mogę, które-by mi z głębi serca płynęło? Życie jest smutną rzeczą, mój Pawle. Jakięj-że ci dobrój rady udzielię? Nie wiem, nie znam szerokiego świata, wśród którego przebywasz; nieświadomą jestem jego potrzeb i stosunków... ale postąp może wedle rady generałowój... jeżeli możesz... jeżeli ci źle, postaraj się, aby było lepiej...

— Dziękuję ci i za to — wyrzekł Paweł, i z istotném wzruszeniem pocałował rękę siostry, która na żywy uścisk jego odpowiedziała lekkim bardzo zaledwie uściskiem.

Wychodząc z salonu, Pawełek spotkał się we drzwiach z Izraelitą, Ickiem Zelmanowiczem, słynnym podówczas w okolicy całej handlarzem majątków obywatelskich. Stręczył on właścicielom miejscowym nabywców, ze stron odległych przybywających, nabywcom właścicieli, chętnych do pozbycia się swój własności. Brał na siebie przedwstępne kroki, ułatwiał zawieranie umów, usuwał trudności. Zara-

zem był on faktorem w innych jeszcze pomniejszych dziedzinach handlu, odwiecznym i domowym prawie tutunfackim generałowój, z ciałem i duszą usługom jój oddanym.

W długim chałacie, z czapką wyszarzaną w rękę, Icko Zelmanowicz, głaszcząc długie rude pejsy, zwolna przeszedł przez salon, a zatrzymując się w pobliżu drzwi sypialni generałowój, zapytał:

— Czy pani generałowa tam?

— Tam — odpowiedziała Leokadya, głowy nie podnosząc.

— Czy mogę wejść?

— Możesz.

Izraelita bez najmniejszego szelestu drzwi otworzył i również cicho zamknął je za sobą.

Wśród ciszy zupełnej, która wielki salon zaległa, dochodził z sąsiedniego pokoju piskliwy głosik generałowój, wykrzykującej bardzo żywo i chichocącej tak, jak chichotała ona zwykle, na-pół spazmatycznie, na-pół zjadliwie. Od czasu do czasu basowym głosem odezwał się i Zelmanowicz, zapytując lub odpowiadając. Rozprawa ta trwała dobrą godzinę, poczem otworzyły się znowu drzwi cichutko i Zelmanowicz ukazał się w progu sypialni.

— Icek! — z głębi pokoju piskliwie a donośnie dźwięczał za odchodzącym głos generałowój — pamiętaj Icek! jeżeli mi ten interes urządzisz, będziesz notowany w moim testamencie!



Izraelita zgiął się w niskim ukłonie i odszedł. W sypialni ozwał się silnie poruszony dzwonek. Leokadya wstała od krosien i, niepośpiesznym bynajmniej, lecz powolnym i równym, jak zwykle, krokiem, zmierzyła ku sypialni.

Sypialnia pani generałowej była bardzo do salonu podobną, wielką, wysoką, rażąco światłą i posepnie pustą komnatą. W głębi jęj tylko istniał kącik bardziej nieco przytulny. Stała w nim kozetka wygodna, przed nią czworokątny duży stolik, obok kozetki staroświeckie, ozdobne, mnóstwem szuflad hermetycznie zamykanych opatrzone, biuro. Przedmiotami jednak, które w mieszkaniu tém, pustém, oschłém, zimném, najbardziej uderzać i nawet zadziwiać mogły, były obrazy i obrazki, okrywające naprzeciw kozetki część ściany, z której tu i owdzie opadał tynk, sinawą farbą powleczony. Były to obrazy różnych rozmiarów i różnej wartości: pastelami i olejnymi farbami malowane, sztychy, a nawet małe z ilustracyi jakichś powycinane drzewo—i staloryty. Cały ten zbiór różnorodny łączył się przecież w jedną harmonijną całość, myślą, która mu przewodniczyła. Akwarelle, sztychy i drzeworyty, przedstawiały tam bez wyjątku ciepłe jakieś, serdeczne sceny rodzinnego życia, rodzinnych miłości i radości, albo téż wizerunki wielkich, bohaterских czynów odwagi i poświęcenia. Tak na największym z pomiędzy wszystkich i najpiękniej wykonanym, widać było dwoje starych małżonków, w sta-

roświeckiej komnacie siedzących przy kominkowym ogniu, z błogiem zadowoleniem i z przedświtem jakby spokojnej, uśmiechnionej śmierci na twarzach! U nóg ich bawiło się dwoje rumianych, złotowłosych wnucząt; w pobliżu, dokoła stołu oświetlonego lampą, siedziało z książkami i robotami kilka osób średniego wieku, w głębi młode dziewczę grało na fortepianie, a przy domowej tej muzyce, dokoła stołu z lampą, płaśało w wesołych podskokach troje podlotków. Scena to była tłumna i gwarna, lecz zarazem dziwnym spokojem, szczególném ciepłem serdeczném, szczególną jakąś ciszą domową owiana. Para starych małżonków, wysunięta na plan pierwszy, stanowiła w niej punkt, około którego wszystko tam obracać się zdawało.

Obraz ten ujęty był w złote ramy bardzo kosztowne i wisiał po samym środku osobliwej tej galeryi. Nieco dalej, wyborny sztych angielski przedstawiał parę młodych oblubieńców, ręka w rękę idących do ślubnego ołtarza. Z twarzy ich biła świetlista łuna miłości i szczęścia. Tuż obok znowu młoda matka, własną piersią zasłaniała swe dziecię przed napaścią rozjuszonego tygrysa; owdzie młode dziewczę, świeże jak wiosna, zbierało kwiaty na łące; a tam znów osiwały przedwcześnie uczony siedział nad księgą, z czołem oblaném białóm światłem świtu. Zbiór ten obrazów, dokonany w najrozmaitszych widać porach i okolicznościach, bezwzględnie na arty-



styczną wartość swą, przedstawiał świat jakiś idealny, z wizerunków samych tylko wdzięków i świętości życia ludzkiego złożony. A rozwiesiła go pani generałowa, w ten sposób, że, czy to siedząc na kozetce, czy leżąc na staroświeckim twardo usłaném łożu swém, wygodnie patrzeć nań mogła i najdrobniejsze szczegóły wyraźnie dostrzegać przy świetle alabastrowej lampy, która, na srebrnych łańcuchach zwieszając się od sufitu, dzień i noc przed tym szczególnym ołtarzem płonęła smukłym, złotawym ognikiem.

W chwili jednak, gdy Leokadya wchodziła do sypialni, pani generałowa nie patrzyła na wiszące na przeciw niej obrazy i obrazki, ale, z batystową chustką włożoną w usta, z ruszającemi się szczękami, a oczyma nieruchomo utkwionemi w przestrzeni, siedziała na kozetce, w głębokiém zamyśleniu pogrążona. Na żółtém, pomiętém czole jój, zmarszczki poruszały się i falowały; od chwili do chwili przestawała żuć batyst, i tryumfująco jakby uśmiechała się do swych myśli. Nagle wyprostowała się, rzuciła na środek pokoju pogryzioną i podziurawioną chustkę, i zawołała: — Sprzątnij panna tę chustkę, a podaj mi inną!

Leokadya, która zatrzymała się była u drzwi, odsunęła szufladę komody i rozkaz spełniła. Generałowa, nie zwracając na nią wzroku, rzekła znowu:

— Podaj mi panna papier i kałamarz!

Po chwili pani generałowa, uśmiechając się wciąż do swych myśli, i z oczyma zielonkowato błyszczącymi, na kawałku prostego papieru, grubém, gęsim piórem pisała, co następuje:

„Proszę kochaną waćpanią, abys była tu *u mnie jutro jak nay Raniey*. Interes warzny.

*Cecylja Orczyńska*”.

Zmięła raczój, niż w formę listu złożyła, szmatkę papieru, lakoniczne słowa te zawierającą, i położywszy na niój adres: „Madam, Madam Juliette de Trzaska-Kniks”, rzuciła ją na stół przed Leokadyą.

— Niech panna powié Ambrożemu, aby odesłał to zaraz do Białowzgórz. Zaraz tylko! zaraz! zaraz!

A gdy Leokadya odeszła, generałowa wsunęła się z podkurczonemi nogami w głąb' kozetki i zachichotała ostro, przeciągle.

— Dyplom! — wołała — dyplom hrabiowski! dyplom! uciecha wielka! zaszczyty! tryumfy! Aha! posmaruję ja wam trochę octem i żółcią ten wasz dyplom! Głupcy!

Ostatniemu wyrazowi temu, rzuconemu w powietrze wraz z ostrym przeciągłym śmiechem, niby echo, odpowiedział u okna inny głos jakiś, suchy, chrypliwy, staruszkowaty :



— Głupcy! głupcy!—dwukrotnie rozległo się echo po wielkim, pustym prawie pokoju.

Była to wielka zielona papuga, która, siedząc w obszerniej, pozłacanej klatce, naśladowała głos swjej pani. Generałowa, z rodzajem zadowolonia, zwróciła twarz w stronę klatki.

— Dobrze mówisz, papuziu! — zawołała— ludzie są głupi! prawda?

— Głupi! głupi! — odpowiadała papuga.

— I podli! — głośniej jeszcze zawołała generałowa.

— Podli! podli! — chrypiał u okna ptak, rozwijając skrzydła i łopocąc niemi w powietrzu.

— Poeci kłamią! — krzyczała już prawie generałowa, którą ta rozmowa z papugą szczególnie i nerwowo zdawała się podniecać.

— Poeci kłamią! — powtórzył ptak.

— Malarze kłamią! — krzyknęła kobieta.

— Kłamią! kłamią! kłamią! — powtórzyło chrapliwe echo.

— Nędza na świecie! nędza! — ciszej już nieco wymówiła generałowa.

— Nędza! — basowym, ponurym głosem zakończyła papuga.

Kobieta i papuga umilkły. Cisza głęboka zaległa pokój. Zmrok wieczorny wpływał przez trzy wielkie okna, okrywając sufit i ściany pokoju długimi, szaremi smugami cieniów.

Leokadya, która, przy początku rozmowy generałowej z papugą, wróciła do sypialni, stała u drzwi w nieruchomej postawie. Pochylona twarz jej była bardzo bladą, ręce bezwładnie na czarnej sukni zwieszono.

---



## ROZDZIAŁ VII.

---

Tak to się zwykle na świecie zdarza, że gdy jeden jakiś człowiek, za pomocą sprytu swego i zręczności, koło fortuny swój, szybko i z powodzeniem, wtaacza na wysoką górę, czepia go się zaraz cały rój ludzi innych, aby, przymocowawszy się do pól jego szaty, lub do osi jego koła, wdrapać się tam, gdzie-by się nigdy o siłach własnych wdrapać nie zdołali. Tymi niezbędnymi towarzyszami wszelkich górskich wozów bywają najczęściej krewni zręcznego szczęśliwca. Jednym z towarzyszy takich, który, uczepiwszy się szaty ojca znanych nam już trzech hrabiówbraci, zdołał wdrapać się, jeśli nie zbyt wysoko, to zawsze dość wysoko, był dziad Pawła i Leokadyi. Gdy szczęśliwszy krewny jego zgromadzał wielkie bogactwa i kładł z nich podwaliny prawdziwie magnackiej fortuny, jako satelita, krążąc wkoło niego i przy-

mując w sobie drobniejsze tylko, że słońca jego wymykające się promyki, uciulał sobie przecież wcale niezły mająteczek, coś niby sześćdziesiąt czy osmdziesiąt chat, w których mieszkało trzysta czy czterysta kołtuniastych dusz poleskich. Majątek ten odziedziczył po nim syn jedynak, a Pawła i Leokadyi ojciec; że zaś wystąpił w świat, jako rządny gospodarz, a wcale nie utracysz żaden, śmiało tedy powiedziéć można, że żył sobie, jak u Pana Boga za piecem, łąki, maki, ryb i grzybów podostatkiem mając, a z bogatszej o wiele paranteli swój niepomierną dla siebie chlubę i pociechę czerpiąc. Ożenił się wcale pomyslnie, dwoje dzieci urodziło mu się szczęśliwie i wzrastało hożo; słowem, był to przez pewną część żywota człowiek bardzo porządny, doskonale szczęśliwy i bardzo spokojnego temperamentu.

I jedną tylko słabość miał ów pomniejszy Pompaliński: lubił pasyami konie i trzymał ich sporo, a wszystkie były bardzo piękne i cenne. Pysnił się niemi przynajmniej o tyle, co krewnymi swymi, Pompalińskimi z Pompalina.

Owóz spadł na niego pewnego razu piorun i, ugodziwszy w najslabszą stronę jego istoty, taką zrządził rewolucyą, że odtąd wszystko już w nim i dla niego miało być inaczej.

Działo się to w mieście Pińsku, w czasie dorocznych kontraktów, więc ogromnego zgromadzenia ludzi wszec tanów i stopni. Pomniejszy Pompaliński,



siedział sobie u otwartego okna oberży, w której przez czas kontraktów zwykł był zamieszkiwać, i z rozkoszą, a dumą niewypowiedzianą, przyglądał się karój szóstce swój, pod przewodnictwem stangreta i forysia, ku poblizkiej studni z wolna przez ulicę defilującój.

W téj samej chwili na ulicy, tuż pod oknem, przy którym siedział, zatrzymała się gromadka ludzi. Składali ją: dwaj sąsiedzi jego, zamożni i wielce porządni obywatele, trzeci mężczyzna jakiś nieznany mu, lecz również na wielce porządnego obywatela wyglądający, więc gość zapewne z innego powiatu, na sławne kontrakty Pińskie przybyły, i żydek faktor, gadatliwy, jak sroka, a zwinny, jak jaszczurka.

— Czyje to konie? — zapytał obywatel nieznany, wzrokiem prowadząc za dzielną, śliczną szóstką karzych.

— Leonarda Pompalińskiego — odparli jednogłośnie dwaj obywatele miejscowi.

— Dziwna rzecz! — zaczął gość — nie słyzałem nigdy, aby Pompalińscy mieli jakie dobra w Pińszczyźnie i bywali w Pińsku...

— Bo téż to nie z tych Pompalińskich...

— Ten pan Leonard, proszę Jasnych Panów — podchwycił żydek faktor — ten pan Leonard jest sobie z Pompalińskich podlejszych...

Obywatele rozśmieli się chórem, a gość z innego

powiatu odwrócił wzrok od ślicznej szóstki, skinął ręką, jak-by chciał powiedzieć: a więc patrzeć nie warto! — i odszedł wraz z towarzystwem swém w inną stronę.

Że pana Leonarda na miejscu, tuż zaraz, apoplexya nie zabiła, przypisywał to później tylko wyjątkowej jakiegś dla niego łasce Bożej, i wstawieniu się do Pana Zastępów téj Matki Bozkiej Ostrobramskiej, której wizerunek wisiał w sypialni nad łóżem jego. Chciał porwać się, wybiedz, współobywateli na pojedynki wyzwać, a żydka faktora za pejsy rude wytargać; ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Jęknął tylko, twarz szkarłatem okrytą w dłoniach ukrył i, ciężko sapiąc, oddał się cały ponurym rozmyślaniom. Po godzinie dopiero powstał, wąsa bujnego dumnie pokręcił i rzekł do siebie:

— No, pokażę ja im teraz, czy ja z tych samych Pompalińskich jestem, czy nie z tych samych! czy z podlejszych jestem, czy ze szlachetniejszych!

I pokazał. Poczciwy swój dom drewniany, obszerny, ciepły i zaciszny, zwałiwszy, wybudował natichmiastrubą i wysoką trąbę murowaną, u szczytu zaopatrzoną w krzywą wieżyczkę, a wewnątrz zawierającą ni mniej ni więcej, jak pięćset pięćdziesiąt wschoarów, bardzo krętych i nadzwyczaj wązkich. W téj to trąbie, nazwanój przez ogół sąsiarów pałacem, wydał kilkanaście z rzędu bardzo świetnych balów, taką liczbę niezmiernie sutych i tłumnych polowań,



przyjął dwa razy z nadzwyczajną pompą trzech hrabiów, jednego księcia i jednego gubernialnego marszałka, odłużył się na przód po szyję, potem po uszy, a potem, aż po włosy i, gdy mu już ani najmniejszy nawet czubek siwiejącej czupryny nie wyglądał z nadstosu powydawanych wexli, dokumentów i innych tym podobnych skryptów, dostał ze zgrzyoty ataku apoplektycznego, i od czego był powinien przed kilku laty w onój oberży, smutnej pamięci, zacząć, na tém wśród gruzów majątku i domowego szczęścia — skończył.

Wkrótce po nim umarła i żona jego, której wspaiałe serce, wszystkimi siłami dzieląc wzniosłą ambycją i chwały godne dążenia małżonka, ruiny ambicyi i dążeń tych przenieść nie mogło i, z żalu po minionéj, a tak krótko trwałéj wielkości, pękło.

A za cały ślad przejścia przez ten padół ziemski dwojga tych ludzi, za całą pamiątkę tragicznój ich doli i męczeńskiego końca — zostały: wielka trąba murowana, dumnie a poetycznie rysująca się na mglistém niebie Pińszczyzny i dwoje dzieci, bez chleba ni dachu.

Trudno zaiste odgadnąć, co-by się było stało z temi drobnemi sierotami, gdyby nieboszczyk Leonard — męczennik, nie miał, w odległym dość od Pińskiego powiecie, trzech sióstr rodzonych, które wszystkie w stanie panieństwa, pięćdziesiątek i sześćdziesiątek doczekawszy, żyły sobie cichuteńko i wygodniuteńko

w wioszczynie, kędyś pomiędzy wysokimi wzgórzami zarzuconej, a zbiorowy ich posag przedstawiającej.

Dziedziczki dziesięciu chat, w których żyło około czterdziestu poddanych dusz kmiących, trzy siostry owe: Brygida, Aniela i Marya, dowiedziawszy się o śmierci braterstwa i towarzyszących jej okolicznościach, posłały w głąb' Pińszczyzny stary koczobryk, parą koników zaprzężony i starego furmana Grzegorza, z poleceniem, aby ten wierny sługa, wyszukawszy dwoje sierot, do koczobryka je wsadził i jak najtroskliwiej do Bobrówki przywiózł.

Tak się i stało. Sieroty przybyły do Bobrówki, ale, jakkolwiek rade im z całego serca, trzy siostry popadły wnet w kłopot niemały. Dziewczyna, jak dziewczyna, łatwo z nią będzie. Wychowa się to jako tako, a potem za mąż wyjdzie, co więcej, gdy za mąż wyjdzie, Pompalińską nazywać się przestanie. Ale chłopiec zostanie on Pompalińskim na zawsze, nie sposób więc, aby tak sobie rósł w Bobrówce, na las i wzgórze patrząc. Trzeba-by go wychować świetnie! karierę mu jakąś zapewnić; ale jaką? z pomocą jakich środków? Nie; z chłopcem, który nazywa się i do śmierci nazywać się nie przestanie Pompalińskim, trzy takie niebogate i nieuczone kobiety, jak siostry: Brygida, Aniela i Marya, rady sobie dać nie będą mogły. Koszta to były nad możność, zadanie nad rozum, odpowiedzialność nad siły!



Po takich rozmyślaniach i odpowiednich im naradach, siostra Brygida, jako Minerwa domu, wystosowała do najbliżej z trzech hrabiów-braci mieszkającego, hrabiego Jarosława, list, w którym opisała mu godne litości położenie małego Pompalińskiego, i zapytywała: czy téż było-by to rzeczą możebną, aby ten mały Pompaliński wzrósł kiedyś na ekonomę, pisarza prowentowego, lub kogokolwiek podobnego, co niezawodnie musiało-by nastąpić, gdyby się przy swych niebogatyh i nieuczonych ciotkach wychował...

Hrabia Jarosław uznał, że było to rzeczą zupełnie niemożebną i, po małego Pompalińskiego kamerdynera przysławszy, zabrał go do siebie, listownie ciotki jego zapewniając, że da mu jak najstaranniejsze wychowanie i przyszłość *odpowiednią* zapewni.

Tak tedy Pawełek w dwunastym roku życia, wyemigrował do domu bogatych krewnych swych. O rok młodsza od niego, Leokadya, pozostała w Bobrówce. Jeżeli jakiegokolwiek przymioty górowały w charakterach i wykształcenie trzech siostr, ciotek Leokadyi, były niemi z pewnością: dobroć, miękkosć, tkliwosć serc i mistrzowska umiejętnosć wyrabiania niezrównanie doskonałych konfitur, konserw, pierników, wędlin i t. p. wiejskich przysmaków.

Kochały się pomiędzy sobą prawdziwie idyllicznie, pokochały téż serdecznie i biedną sierotę. Pochła-

niały same codziennie olbrzymią ilość, w rozmaite kombinacye ułożonych, cukru, maku, miodu i wieprzowiny, kombinacyami téż temi żywiły sierotę ze szczodrością, żadnym brakiem, ni skąpstwem, nigdy nieograniczoną. Zresztą, pozostawiały jój jak najzupełniejszą swobodę działania, to jest: biegania po ogródku, hasania po wzgórzach, a w dnie upalne spania, lub marzenia w zielonym, chłodnym cieniu pobliskich gajów. I tylko w słotne dnie jesienne, lub długie zimowe wieczory, ciotka Anielka uczyła ją haftować i na kanwie włóczkami wyszywać, ciotka Marynia przeróżne, wyżej wspomniane, kombinacye z cukru, maku, miodu i innych wiktuałów sporządzać, ciotka Brygisia zaś czytać, pisać i rachować.

Ta ciotka Brygisia była sobie dość niepospolitą osobą. Przez całe życie swe, wielki miała pociąg do literatury, umiała pisywać listy wcale ładnym stylem, nadzwyczajnie lubiła naturę i, niewiadomo już jakim sposobem, ot tak nieznacznie jakoś, pomaleńku uciulała sobie niewielką, lecz ładną biblioteczkę, złożoną z poezyi Mickiewicza, Odyńca i innych wieszczów rodzinnych, jako téż i kilkudziesięciu tomików powieści, tak oryginalnych polskich, jak tłómaczonych. Wyuczwszy tedy Leokadyą bardzo płynnego, wprawne-go czytania, ciotka Brygisia dopuściła ją do sanktuarium swojej biblioteczki, i dzieliła się z nią nietylko już temi pisanemi skarbami, ale i temi, które w kształ-



cie wspomnień, tęsknot i zachwyków przerozmaitych, przechowywała starannie w głębi tkliwego swego serca.

Wtedy-to widywać można było bardzo często młode, piętnasto- a potem szesnastoletnie dziewczę, z czarném, ognistém okiem i wysmukłą, giętką kibicią, wybiegające o wschodzie słońca z dworku, pomiędzy wzgórzami w dolinie rzuconego, i z książką w rękę, wdzierające się na najeżony szczyt wzgórza. Tam dziewczę to siadało pomiędzy niskimi krzakami jałowców, i szeroko otwartemi oczyma przypatrywało się różowemu wschodowi słońca. Potém, zaledwie słońce uszło mały kawałek dziennój swój drogi, dziewczę trzymało już oczy utkwione w roztwartój książce i chciwie czytało; dość często téż, opierając czarnowłosą główkę o miękką kępkę liliowego czombru, patrzyło w niebo, prosto w błękitne, wyiskrzzone niebo, i głośno, z przejęciem się nadzwyczajném, deklamowało na pamięć długi ustęp jakiś z Wallenroda, Dziadów, lub Dziewicy Jeziora.

Ale kiedy słońce zbliżało się ku południowój swój mecie, dziewczeczki nie było już na wzgórzu. Wtedy można ją było ujrzeć tam, gdzie po zielonój dolinie płynęła srebrzystym pasem rzeczka kręta i pienista, jak, zdjawszy z drobnych stóp obuwie i rozpuściwszy warkocz, wraz zgromadką wiejskich dziewcząt i chłopaków, brodziła po płytkich brzegach rzeczki, rzeźwiąc sobie chłodną falą twarz rumianą i ogorzałe

rażki, zbierając do fartuszka błyszczące kamyki, lub zgarniając z powierzchni wody białą pianę, aby pełnemi dłońmi bryzgać nią na twarze i suknie towarzyszy.

Po zielonój łączce rozlegały się wtedy śmiechy głośne, przeciągłe, chóralne, słyhać było plusk poruszanych fal wodnych, migotały w błękitném powietrzu żwawe postacie uganiającej się swawolnie wesołej gromadki, a wszystko to trwało póty, dopóki od dworku nie doleciał głos bardzo cienki i bardzo łagodny, wołający po kilkakroć:

— Leosiu! Leosiu! Leosiu!

Wtedy dziewczę ze dworka opuszczało gwarliwych swych towarzyszy, odrzucało na plecy długie swe, czarne, pianą wód rzecznych ubielone warkocze, i biegło przed siebie z rozpostartemi, jak skrzydła, ramiony, aż przemknąwszy przez mały, okrągły dziedzińczyk, na którym liczną, sformą gromadą kwakały kury i gęgały gęsi, rzucało się w otwarte zawsze przed niém ramiona, stojącej na ganku i wołującej je na obiad, cioci Anielki, lub Maryni.

Ciocia Brygisia nie wtrącała się nigdy do niczego, co tyczyło się obiadu lub wieczery. Pozostawiała to siostróm, trzymając w zamian w rękę swych ster, tak zwanój, mężkiej gospodarki. Jakkolwiek bowiem była w duszy poetką i, jak ją siostry z pobłażliwym uśmiechem nazywały, literatką, ciocia Brygisia była



téż kobietą bardzo praktyczną, była prawdziwą głową tego — Edenu.

Tak, Eden to był istotny ta mała Bobrówka, w głębi dolinki, wzgórzami przed światem ukryta. Nikt się tam nigdy z nikim nie kłócił, nikt krzywém okiem na nikogo nie spoglądał, nikt za niczém nie tęsknił i nikogo nie nienawidził. A wszystkiego tam było podostatkiem: wędlin wybornych, warzyw, owoców, pierników, konserw i makagig.

Ale Eden, jakkolwiek był Edenem, istniał przecież w téj strónie świata, która, na ogół biorąc, żadnego wcale z Edenem podobieństwa nie ma. Dola ogólna różową swą, lub czarną barwą, zaprawia zwykle dole pojedyncze, choćby najcichsze, choćby najskromniej kryjące się w dolinach między wzgórzami. Tak i tu było.

Gdy pod natarciem wielkiéj burzy zadrzał aż do podstaw grunt całego kraju, zatrzęsła się wraz z nim i mała Bobrówka, a wichry, które po szerokiém przestworzu przelatywały z szumem i gwałtownością huraganów, o mało nie rozwały drewnianych ścian staro dworku i mchem porośłego dachu jego nie rozniosły na wszystkie strony świata. Czterdzieści dusz poddanych wyemancypowało się, pracować nie chciało już inaczej, jak za gotowe i znaczne pieniądze; podatki zwiększyły się niezmiernie, a nie można było uiszczać ich inaczej, jak gotowemi pieniędzmi. Znaczna część pól, z braku robotnika przeleżała nie-

uprawna rok jeden i drugi, na opłacenie podatków wycięło się jeden i drugi morg małego borku, aż nakoniec w starym, tak spokojnym i tak wesołym niegdyś dworze, zaczęło być bardzo niespokojnie i bardzo smutno. Przestały tam naprzód wyrabiać się konfitury, jako najdroższe ze wszystkich przez siostry dokonywanych kombinacyi; potem znikły po kolei pierniki, konserwy i makagigi; potem z obiadowego stołu znikać poczęło mięso; białych bułeczek do kawy nie było, dla téj choćby przyczyny, że i kawy nie było; dokoła ogródka i dziedzińca płot gnił i upadał nienaprawiany; w jednéj z izdebek rozwalił się piecyk, ulubiony, wyborowy do pieczenia ciast, piecyk cici Anielki i Maryni, a ponieważ nie było czém opłacić mularza, tak już i pozostał rozwalonym, smutną kupą gruzów przypominając nieustannie trzem siostrom gruzy te, które wkrótce pozostać miały w zielonéj dolince po ukochanéj ich, a tak niedawno jeszcze kwitnącéj, Bobrówce.

Były to już, jak zdawać się mogło, czasy dla trzech sióstr—bardzo ciężkie. Nadeszły przecież niebawem jeszcze cięższe. W pewien piękny dzień wiosenny, w porze przednówkowej właśnie, ozwał się na dziedzińcu Bobrówki dzwonek, przed ganek dworku zajęchała bryczka, a z niéj wysiedli dwaj urzędnicy. Wysiedli z bryczki, weszli do dworku i, opisawszy urzędowo dworek z ruchomościami, oświadczyli, iż za pół roku Bobrówka, w skutek licz-



nych długów, na publiczną sprzedaż wystawioną będzie.

Mylił-by się ten, kto-by sądził, że, po odjeździe urzędników, w małym, starym dworku nastąpiły głośne płacze, lamenty i wyrzekania. Nie; zaległa tam przeciwnie cisza grobowa. Zdawało-by się, że pod ciosem, który w nie uderzył, trzy siostry zmartwiały. Milczące, jak grób, blade, jakby z ciężkiej powstały choroby, z siwemi włosami, okrywającemi pochylone ku ziemi czoła, trzy siostry chodziły tu i owdzie po dworku, spotykając się ze sobą i rozmijając nieustannie, a nic do siebie nie mówiąc, biorąc się z kolei do robót rozmaitych, a nic wcale nie robiąc. Na twarzach ich, które przez ubiegłe dwa lata postarzały się o lat dziesięć, malowała się trwoga, tak silna, że aż usta lodowém milczeniem ścinała.

W dwa, czy trzy tygodnie dopiéro potem, przy schyłku pewnego dnia majowego, gdy słońce różowo i złocisto zachodziło za wzgórza, a gromady gołębi białych, przez siostry hodowanych, z wesołym gruchaniem unosiły się w powietrzu, i pozłoczone od promieni słońca, rojami niby wielkich iskier złotych, spadały na stary, omszony dach dworku, siostra Marynia przemówiła pierwsza.

— Już nam chyba teraz położyć się trzeba do grobu — rzekła.

— Tak — potwierdziła siostra Anielka — lepszy-

by nam był grób, niżli ten świat szeroki, w który nas ztąd wygnają...

Siostra Brygisia nic nie powiedziała, tylko, w sąsiedniej izbie leżąc na łóżku, zakaszła chrapliwym, zanoszącym się kaszlem.

Nazajutrz o tój samej wieczornej porze, siostra Marynia ozwała się znowu:

— Już nam teraz chyba torbę żebraczą wziąć na plecy i iść żebrać pod kościołem.

A siostra Anielka odpowiedziała:

— Wprzódę uwiążę sobie kamień do szyi i w rękę się rzucę, niżli żebrać pójdę!

Siostra Brygisia i teraz jeszcze nic nie rzekła, tylko w sąsiedniej izbie, na łóżku leżąc, cicho załkała.

Łkaniu siostry Brygisi odpowiedziało, niby echo, łkanie innéj, do łoża, na którym leżała ona, przytulonej piersi.

Była-to dziewiętnasto-letnia już wtedy Leosia, która, przez całe dzieciństwo swe śniąc błogo na liliowych czombrach i marząc lub swawoląc przy wesołych pluskaniach swawolnej rzeczułki, lub przy łagodnych szumach zielonego gaju, teraz dopióro, wobec ruiny domu, który ją był utulił, wobec łez i rozpacznych kobiet, które ją wypieściły, budzić się zaczynała do życia cierpień, walk i poważnych myśli. Klęcząc przy łożu najstarszej swéj opiekunki, tój właśnie, która uczyła ją czytać poetów, zachwycać się naturą,



marzyć i tęsknić, łkała ona pełną, wzdętą bólem, piersią, a całując twarz i ręce najukochańszej z opiekunek swych, szeptała nieustannie:

— Co tu robić? ciociu Brygisiu! co tu robić? co tu począć?

Ciocią Brygisią płakała po cichu, a płacząc, rozmyślała nad tém, jakby dać odpowiedź gwałtownym zapytaniom dziewczęcia. Po godzinie rozmyślań i płaczu, szepnęła Leosi:

— Napisz do Pawełka!

— Napisz do Pawełka! — chórem potwierdziły dwie młodsze siostry, które szept starszej dosłyszały. Przecież on mężczyzną już jest, a bratem twoim i naszym synowcem, i nam to, nie komu innemu, zawdzięcza terażniejsze swe położenie! Napisz do niego, niech co obmyśli, niech coś uczyni, niech nas i ciebie ratuje!

Leosia całą noc następną spędziła na pisaniu listu do brata, który podówczas właśnie przebywał gdzieś daleko, w dobrach hrabiny Jarosławowej, kędyś za Warszawą położonych. Mało znała brata; od czasu rozłączenia się z nim w dzieciństwie jeszcze, widziała go parę razy za ledwie i to przelotnie. Tém bardziej więc, dla żywej, jak skra, marzącej i wyexaltowanej dziewczyny, nazwa „brat” posiadała w sobie coś dziwnie wzniosłego i słodkiego, coś przejmująco, wzruszającego, i z pojęciem odwagi, mocy męskiej, męskiego niemal bohaterstwa, ściśle się wiążącego.

Posłała mu list, w którym było ogromne mnóstwo czułych wyrazów, poetycznych porównań, prośb, zaklęć, wykrzykników, list kilkoarkuszowy, na który z oczu piszącej dziewczyny upadło łez kilka-naście i szare plamki pomiędzy wierszami wytworzyło.

Po wysłaniu listu, nastąpiło gorączkowe oczekiwanie, objawiające się gorączkowym ruszaniem się czterech kobiet po dworku i gorączkowym prawie ich wielomówstwem. Od świtu do późnej nocy gwarzyły nieustannie o jednym zawsze przedmiocie: o Pawełku, prawdopodobnych cnotach jego i zasobach, o tém, że go tuż-tuż ledwie nie widać, jak przyjeżdża do Bobrówki powozem, czterema końmi, z worem złota u stóp. Wygrzebano kędyś nawet, z dna zasobnej niegdyś szafy, garsteczkę mąki i odrobinę miodu, i utworzono z nich na przyjęcie oczekiwanego bohatera kombinacją, mającą kształt i smak wybornych pierniczków. Leosia codziennie na łące i w gaju zrywała ogromną ilość kwiatów, wiała wieńce i bukiety i zdobiła niemi ściany i okna dworku, aby na przybycie brata jój dworek wyglądał poetycznie.

Pawełek przecież nie przyjechał, tylko przysłał odpowiedź, pisaną wcale innym stylem, niż list Leokadyi, a zawierającą pomiędzy innemi następujące słowa:

„Nie posiadam *nic*, co-by do mnie wyłącznie na-



leżało — pisał — oprócz własnej méj duszy, która się wam, ukochane moje, na nic przydać nie może. Daremnie łamię sobie głowę, nic na ratunek wasz wymyślić ani wynaléźć nie mogę. Posyłał-bym wam, gdybym mógł, codziennie, połowę moich obiadów, ale nie uratowało-by wam to Bobrówki. Sprzedał-bym moje piękne ubrania i posyłał-bym wam otrzymane za nie pieniądze, ale rzeczy te nie należą téż do mnie, lecz do hrabiostwa, którzy mi je kupują. Mówił-bym o położeniu waszém hrabiemu i hrabinie, ale oni mają i bez tego znaczne wydatki, i zresztą, wzięwszy mię do siebie na wychowanie, sądzą, iż dosyć dla rodziny naszéj uczynili. Przyjechał-bym choćby do was, aby wspólnie z wami cierpieć, ale nie mam ani własnych koni, ani pieniędzy na podróż. Palnął-bym sobie nakoniec w łeb z rozpaczy, ale przyznaję się, że braknie mi potemu odwagi i zresztą, na cóż-by się wam śmierć moja przydała?”

Po przeczytaniu na głos ciotkom listu tego, Leosia zanosła się naprzód gwałtownym, nieutulonym płaczem, potém sposępniała strasznie, schudła i pobladła widocznie przez dni kilka. Ideał brata, który wytworzyła była sobie w swéj wyobraźni, spadł z piedestału swego; najwyższe uczucie, jakie żywiła w swém sercu, ścięło się lodem. Jaktło! on! on, mężczyzna dorosły już, brat jéj, nic uczynić nie mógł? więc nie był bohaterem, nie był rycerzem ani mędr-  
cem, za jakiego go miała!

Raz jednak, spłakawszy się ogromnie, porwała się nagle z miejsca, wyprostowała smukłą swą kibić, hardo podniosła głowę i rzekła:

— A więc ja będę mogła! ja muszę módz! ja muszę coś uczynić!

Pobiegła do ciotki Brygidy, przyklękła przed nią, objęła ją za szyję i gorącym szeptem pytała:

— Ciociu Brygisiu! co ja uczynić mogę? powiedz, pomyśl, co ja dla was uczynić mogę?

Ale ciotka Brygisia, całując ją i pieszcząc, mówiła:

— Cóż ty możesz, moje dziecko? ty nic nie możesz dla nas uczynić! Niech cię Bóg błogosławi za twe dobre chęci, ale nic nie możesz!

Pokazało się jednak, że mogła. Icko Zelmanowicz, wezwany przez trzy siostry na ratunek, przypatrzył się ze stron wszystkich ich położeniu, i choć żadnej nie dał im rady (Icko Zelmanowicz nie lubił wdawać się w żadne handle ni *geszefty* z takimi *małymi* ludźmi), gawędką o położeniu trzech sióstr zabawił dnia następnego przez godzin parę, główną pryncypalkę swą, panią generałową Orczyńską.

Niewiadomo z pewnością, czy Icko gawędkę tę rozpoczął ot tak sobie, dla zabawienia swój głównej pryncypalki, czy może litością tknięty choćby, żywił nadzieję, że ponieważ pani generałowa była sama Pompalińską z domu, zechce więc może przyjść z pomocą Pompalińskim, zagrożonym żebraczą torbą. To



pewna tylko, że opowiadanie Icka uczyniło na pani generałowej nadspodziewanie silne wrażenie. Z niezwykłą szczególniej uwagą słuchała tego, co żyd mówił jój o Leosi, piękności jój, miłości dla ciotek i chęci niezmiernój dopomożenia im w czémkolwiek. Gdy Icko odszedł, pani generałowa, zwinięta na swój kozetce w kłębuszek jedwabiu, natykanego perłami i brylantami, długo dumiała nad czémś z batystową chustką, włożoną do ust i z oczyma zielonkowato błyskającymi. Nagle wyprostowała się i zawołała ze zwykłym sobie śmiechem:

— Panna do towarzystwa!

Na ten okrzyk, załopotała skrzydłami papuga u okna i powtórzyła z chrapliwym śmiechem:

— Panna do towarzystwa!

— Pompalińska będzie panną do towarzystwa! — zwrócona do papugi swój, krzyknęła generałowa.

— Pompalińska... — zaczął odpowiadać ptak.

— Płatną! płatną! panną do towarzystwa!

— Płatną! płatną! — coraz głośniej wrzeszczała papuga.

— Płatną panną u biednej Cecylii-sieroty!

— U biednej Cecylii!

— Sługą jój! chi, chi, chi!

— Sługą, sługą, sługą jój, chi, chi, chi! — krzyczało u okna chrapliwe echo.

Generałowa milczała chwilę, aż ciszej i nie do papugi, lecz do siebie samój wyrzekła:

— Pan Światosław będzie kontent! bardzo kontent!

— Światosław będzie kontent, kontent, kontent! — przez długie kilka minut sekundował ptak.

W dwa dni potém, stary sługa generałowój, Ambroży, przywiózł do Bobrówki list, do trzech sióstr Pompalińskich zaadresowany, a zawierający treść następującą: „Kochane waćpanny! dowiedziałam się że jesteście w wielkiej *bidzie*. Ale macie przy sobie synowicę, a Ja nie mam panny do Towarzystwa. Niech wasza siostrzenica zostanie u mnie panną do Towarzystwa, a Ja jój dam 400 rubli pensyi *y* dwie *yedwabne* suknie na rok. Dwieście rubli posyłam *iako* półroczną pensyą waszój siostrzenicy. Jeżeli chcecie, to nią sobie długi swoje popłaćcie, *y* jeżeli nie wystarczy, to dam więcej z *gury*. A jeżeli nie chcecie to Mnie pieniądze proszę odesłać.

*Cecylja Orczyńska.*”

Leokadya, jako zwykła lektorka ciotek, przeczytawszy im głośno list ten, zbladła śmiertelnie. Widziała ona parę razy w swém życiu panią generałową i lękała się jój okropnie. Na myśl, iż ma przebywać nieustannie w domu téj chudój, żółtój kobietki, o bazyliżkowym wzroku, obwieszonój perlami, piórami i złotem, krew ścięła się w jój żyłach, a potém do oczu wielką falą popłynęły łzy. Była to przecież krótka bardzo chwila, po którój Leokadya, powiódłszy dłonią po czole i podnosząc głowę, rzekła pewnym głosem:



— Pojadę! będę służyć pani generałowój! niech ciocie biorą te pieniądze i płacą długi prędko! prędko! prędko!

Przy ostatnim wyrazie, runęła na ziemię u stóp trzech, przy sobie siedzących ciotek, a całując ich kolana i oblewając je łzami, urywanym głosem przypominała im wszystkie dobre, ciepłe chwile, które u boku ich spędziła, wszystkie dni promienne i swobodne, które pod dachem ich, lub wkoło ich ścian przeigrała, wszystkie pieśczoty słodkie i marzycielskie, które otrzymała od nich, wszystko, co im była winna i czém one były dla niej, i czém ona wzajemnie dla nich być powinna. Słuchając jój, trzy ciotki płakały i śmiały się naprzemian, włosy jój pomarszczonemi dłońmi głaszcząc i rozpalone jój czoło pocałunkami okrywając. Potém, uspokoiwszy się nieco, ciocia Anielka rzekła:

— Kto wié, zresztą, czy tego wszystkiego Pan Bóg dla naszego dobra nie obmyślił? Pani generałowa jest bogatą panią i daleką krewną naszą... będzie ci u niej i lepiéj może, niż u nas!

Ciocia Marynia ozwała się z kolei:

— Zapewne. Drogi Opatrzności niepojęte są dla nas. Być może, iż Leosia, w domu pani generałowój bawiąc, świetny los jaki zrobi.

Jedna tylko ciotka Brygida milczała. Będąc trochę *poetką* i trochę *literatką*, lepiéj od sióstr pojąc ona mogła, co dziać się musiało w téj chwili w sercu młodej dziewczyny, na ofiarę idącój, trafniéj, bystrzój

wnikała w posępne głębie gotującej się dla niej doli. Ale i ona także nie sprzeciwiła się odjazdowi Leokadyi. Jeżeli kochała bardzo wychowanicę swą, kochała niemniej siostry swe i... siebie, a ofiara Leosi (ciotka Brygisia wiedziała dobrze, że była to ofiara) stanowiąca jedyny ratunek od tułaczki, głodu i torby żebraczej dla sióstr jój i... dla niej!

Od owego czasu ośm lat upłynęło. Do Bobrówki wrócił spokój i dostatek, a mieszkanki jój, jak niegdyś, za dobrych, dawnych czasów, urządzały znowu wędliny, smażyły makagigi, piekły pierniki, a w zimie siadywały przy wesołym ogniu naprawionego już piecyka, w ciepłych tułubkach, z twarzami czerstwo wyglądającymi przy całkiem już białych włosach i okrywających je śnieżnych czepeczkach. Siostra Brygida pochyliła się tylko nieco i często zapadała na zdrowiu, a gdy młodsze siostry jój gwarzyły o Leokadyi, wychwalając jój cnoty i chwając Boga za to, że jój miejsce zdarzył w takim dostatnim, pańskim domu, gdzie ptasiego mléka chyba niedostawać jój tylko mogło, jedna siostra Brygida smętnie jakoś kiwała głową, a niekiedy nawet to i gruba łza stoczyła się po wędniejących i coraz gęstszymi zmarszczkami okrywających się jój policzkach. Żadnej jednak z trzech tych kobiet na myśl nawet nie przyszło, aby Leokadyą przywołać znowu ku domowemu ognisku, a przez to pozbawić się głównego teraz źródła swego dochodu. Po odjeździe jój było w Bobrówce tak, jak bywało



wtedy, gdy jój jeszcze tam nie było. Piękne czarnokie dziecię przesunęło się tylko, jak wiosenne błękitne widzenie przez żywot trzech starych panien, a na pamiątkę jakby zjawienia się swego, sypało teraz na nie dwa razy do roku złotą rosę... To téż, gdy w wiadomym już terminie Leokadya przybywała do Bobrówki, ciotki witały ją płaczem radości, milionami pieśczoł, i czyniły jój prawdziwą owacją, z konfitur, powideł, pierników i t. p. arcydzieł złożoną. A gdy odjeżdżała, żegnały ją również łzami, pieśczołami i spokojnie już potém, wygrzewając się na słońcu letniém, lub przy piecykowym ogniu gwarząc, oczekiwały przez pół roku drugiego jój przybycia i drugiej... *raty.*

---

## ROZDZIAŁ VIII.

---

I teraz także Leokadya miała do odwiezienia ciotkom swym półroczną swą pensją. O dość wczesnej przedpołudniowej godzinie, Pawełek przyjechał po nią i udali się razem do Bobrówki.

Pani generałowa zaś, ubrana prawie tak samo, jak wczoraj, siedziała sama jedna w wielkim swoim salonie, na zwykłym swoim miejscu, i oddawała się wcale osobliwemu zajęciu. Z mahoniowego stołu, przed kanapą stojącego, zdjętą została lampa, a natomiast pokrytym on był od brzegu do brzegu najróżniejszymi, a bardzo cennymi klejnotami. Pani generałowa wyjmowała klejnoty z wielkiej, srebrem okutej szkatuły, przy niej na taburecie umieszczonej, i układała je na stole, jeden przy drugim, coraz jednak zmieniając szyk i symetryczność układu. Z razu ułożyła była rzędami regularnemi wszystkie bransolety, na-



szyjniki, kolce, brosze i fermoary, tak, aby każde z nich miało obok siebie podobnych tylko sobie przeznaczeniem i kształtem towarzyszy; potem w porządku tym wzorowym zaprowadziła wielki nieporządek: szmaragdy pomieszała z rubinami, brylanty z perłami, z brosz ułożyła gwiazdy, z bransolet łańcuchy, z kolców żyrandole i t. d. Potem jeszcze zgarniała je wszystkie i przesypywała w chudych, żółtych swych palcach, i znowu je rozkładała i układała na stole najrozmaiciój. Zatrudnienie to zdawało się pochłaniać wszystkie władze czucia jój i myślenia, a jednak od chwili do chwili odrywała oczy od błyszczących przedmiotów swój zabawy i niecierpliwie spojżenia rzucała na drzwi od sieni.

Niebawem téż dał się słyszeć na dziedzińcu szelest sań, pod dom zajeżdżających, drzwi otworzyły się i, z wielkim szelestem jedwabiów, wbiegła przez nie do salonu wysoka, bardzo zgrabnej kibici kobieta, w nadzwyczaj długiej i strojnej sukni, w malutkim kapelusiku, zarzuconym na kunsztownie utrefione włosy. Była to wezwana przez generałową panna *Żulietta* Kniksowa.

Przybyła przebiegła salon bardzo szybko i bardzo wdzięcznym, elastycznym ruchem przypadła do kolan generałowej, pochwyciła jój rękę i poniosła ją do ust. W ręce generałowej znajdowała się wtedy wielka, przepiękna brosza brylantowa, której szpilka, w chwili właśnie dokonywającego się aktu całowania

ręki, skierowała się tak jakoś niefortunnie, że, przesunawszy się po białym delikatnym policzku pani Kniksowej, zostawiła na nim lekko różowy ślad swego przejścia.

— Co to? — zawołała generałowa — zadrasnęłam cię jakoś niechcący, *Żulietko!* co?

— Nic to, nic, najdroższa ciociu — harmonijnym niezmiernie, srebrnym głósiem odparła przybyła, a jakby pragnąc dowieść, że w istocie było to „nie” raz jeszcze pocałowała z przejściem się ciernistą ręką generałowej, poczem, przysuwając fotel bardzo blisko do kanapy i w bardzo wdzięcznej pochylonej postawie siadając na nim, zaczęła:

— Wezwałeś mię, najdroższa ciociu! jestem na twe rozkazy!

Gdy wymawiała to, oczy jej czarne i iskrzące się, pomimo, że okalały je już roje owych niegrzecznych zmarszczek, zwanych powszechnie motylkami, powiodły po stole zasłanym dyamentami i zaiskrzyły się jeszcze bardziej. Generałowa przekładała znowu brosze i bransolety, milcząc.

— Nie uwierzysz, najdroższa ciociu — zaczęła znowu przybyła — jaką radością nappełnił mię list twój wczorajszy! *j'étais folle de joie!* Upewnił mię on naprzód o dobrym stanie drogiego zdrowia twego, najukochańsza ciociu, a potem każda literka, ręką twą kreślona, jest dla mnie taką świętością! taką relikwią!

— Chi, chi, chi — zaśmiała się generałowa, nie



spuszczając wzroku z kilku długich kolców, które układała na stole w kształt fantastycznego jakiegoś pająka; — to bardzo pięknie! to bardzo czule! to dowodzi, że masz wiele serca, *Żulietto*, wiele! wiele serca!

— O! najdroższa ciociu — westchnęła dama — gdybym go mniej mieć mogła, była-bym z pewnością daleko szczęśliwszą! ale to serce... to serce moje, które uderza zawsze tak silnie, tak gorąco do wszystkiego, co dobre i piękne!

Przy ostatnich wyrazach, oczy pani Kniksowej tak uparcie już i tak ognicie wpatrywały się w ułożonego na stole brylantowego pająka, iż w istocie wątpić nie można było ani na chwilę, że serce jój nadzwyczaj gwałtownie uderzało do wszystkiego, co piękne. Zarazem delikatny paluszek jój przesunął się z lekka po różowej szramce, zakreślonej złośliwą broszką na białym jój policzku, która, jakkolwiek była „niczém,” bolała snadź trochę.

Generałowa zwykłym sobie, nagłym, nerwowym ruchem, odwróciła się od zabawiających ją dotąd klejnotów i, wpijając się wzrokiem w twarz przybyłej damy, najniespodzianiéj w świecie zagadnęła:

— I cóż *Żulietto*, jakże tam twój towar kosztowny? czy i dotąd jeszcze nie masz na niego kupca?

Błysk rumieńca przemknął po zwiędłej trochę twarzy pani *Żulietty*. Niewiadomo tylko, czy zmieszalo ją to wspomnienie o jakimś towarze, czy też

przez generałową na gorącym uczynku pochwycone, zbyt trochę namiętne może, przyglądanie się brylantowemu pajakowi.

— Towar? — uśmiechnęła się jednak słodziutko i żartobliwie—nie rozumiem dobrze, o czém, mówisz, najdroższa ciociu!

— A przecież to bardzo zrozumiałe! chi, chi, chi! — zachichotała pani domu; — „trzy piękne córy... — śmiała się dalej — trzy piękne córy było nas u matki!” Miałaś trzy piękne córy, *Żulietto!*

— Niestety! najdroższa ciociu! — wtrąciła, spuszczać oczy pani *Żulietta* — Sylwia i Romania nie były wcale pięknymi...

— A tak! tak! tamte były rozumne! miałaś tedy *Żulietto* dwie rozumne córki i jedną piękną... Rozumne wydałaś za męż, ale piękna siedzi... co?... chi, chi, chi! siedzi!

Oblicze pani *Żulietty* oblokło się wyrazem szczerzego smutku.

— Niestety! — szepnęła — przed tobą, najdroższa ciociu, sekretów żadnych nie mam! Delicya kończy rok dwudziesty trzeci, a dotąd jeszcze żadna się dla niej przyzwoita partya nie zjawiała. Po tych nieszczęsnych wypadkach... brak nam zupełnie młodzieży... odpowiedniej! przytém i smutny stan jój ojca, i posag niewielki, zraża może niejednego... Drzę z trwogi, patrząc na tego anioła, który...

— Otóż... otóż, *Żulietto*, ja dla twego anioła mam



teraz partyą... chi, chi, ale jaką partyą! Cała kula ziemską zazdrościć jój będzie, a panny Trzewikowskie i Kobyłkowscy żóltaczki podostają z zazdrości! chi, chi, chi!

Twarz pani *Żulietty* stała się jasną, bardzo jasną i radosną.

— O, najdroższa ciociu! — zawołała, giętką, wdzięczną kibić swą pochylając znowu do kolan generałowej — jakże wypowiem... jakże... *comment pourrai-je...*

— Nie trzeba nic wypowiadać! nie trzeba nic wyrażać! a po francuzku... ja nie rozumiem! — zapiszczała generałowa; potem zaś, przerywając nagle rozpoczętą rozmowę, zwróciła się znowu do swych klejnotów i, przesypując je między palcami, zawołała:

— Czy bardzo dziś zimno? *Żulietto*.

Pani Kniksowa drgnęła cała na niespodziane pytanie, z oczu jój strzeliła błyskawica niecierpliwości, najśłodszy jednak i najczulszy głosem odrzekła:

— O, bardzo dziś zimno! najdroższa ciociu! ale tu... u cioci, ciepło, jak w niebie!

W ogromnym salonie generałowej, niezmiernie skąpo opalonym, zimno było w istocie jak w lodowni, a delikatne członki pani *Żulietty* przebiegał od chwili do chwili, pod lekką jedwabną suknią, dreszcz febryczny.

— Jak w niebie? — powtórzyła generałowa — cie-

pło jak w niebie! a zkąd-że ty wiesz, *Žulietto*, czy w niebie ciepło, czy zimno? chi, chi, chi!

Pod fałdami i falbankami jedwabnej sukni dreszcz febryczny wzmógł się na chwilę. Niewiasta ta jednak silną wolę mieć musiała, bo błyskawicznie prędko opanowała nieprzyjemne wzruszenie i, całując znowu z wdziękiem nieopisanym rękę generałowej i srebrnie śmiejąc się, rzekła:

— Jakże szczęśliwą jestem, najdroższa ciociu, że cię widzę tak wesołą! Ale... — dodała prostując się — chciała-bym bardzo usłyszeć z ust twych, ciociu, kto jest ten, kogo...

— Czy lubisz papugi, *Žulietto*? — zagadnęła generałowa, huśtając na pomarszczonym palcu cudownie piękną bransoletę, całą sadzoną wielkimi rubinami.

— To jest... ciociu najdroższa... *je ne sais...*—nie wiem doprawdy.

— Ja bo lubię pasyami! pasyami! pasyami! czy widziałaś kiedy moją papuzię? śliczny ptak, mądry ptak! jedyny ptak! rozmawia ze mną, jak człow ick chi! chi! chi!

— O! kochane, drogie stworzonko, skoro umilić umiё chwile twe, najdroższa ciociu! Ale jakże-bym rada była usłyszeć imię tego, którego...

— A jakie imię mężkie najlepšíj lubisz, *Žulietto*—zagadnęła znowu kotka, bawiąca się z myszką.

Dreszcz dość gwałtowny już tym razem poruszył



jedwabiami pani *Żulietty*. W tym salonie, ciepłym jak niebo, atmosfera stawać się zaczęła dla niej straszliwie kołącą. Pohamowała się jednak i tym razem ta mężna niewiasta i, leciuchno wiodąc znowu paluszkami po różowej szramce, z westchnieniem odrzekła:

— Niegdyś uwielbiałam imię: Adam! Ale odkąd najukochańszy Adam mój uległ téj strasznej chorobie, dźwięk imienia tego przejmuję mię smutkiem...

— Chi, chi, chi! — niewiadomo dlaczego, ale ostro i przeciągle zaśmiała się generałowa. — Adam! Adam! — powtarzała — Adam, mąż twój! uwielbiałaś go, *Żulietto!* uwielbiałaś!

— Był on dla mnie wszystkiem, choć, niestety! jak pokazało się potem jasno, jam dla niego niczém nie była!.. Ale... najdroższa ciociu, jakże-bym chętnie z ust twych usłyszała nazwisko tego, którego przeznaczyć raczyłaś na męża dla mojej Delicyi.

Tym razem generałowa zwróciła się twarzą ku pytającój i odpowiedziała przeciągle:

— Nazywa się on, hrabia Cezary Pompaliński.

Pani *Żulietta* zbladła i zarumieniła się naprzemian kilka razy.

— Hrabia Cezary! — powtórzyła bardzo cichutko — syn hrabiego Jarosława i hrabiny Wiktoryi!

Z oczu jój widać było, że cieszyła-by się ogromnie, namiętnie, gdyby... mogła wierzyć. Ale nie wierzyła i zawołała;

— Najdroższa ciocia żartuje!

— Nie! nie! nie! — zapiszczała generałowa — ten osieł jest teraz w naszych stronach, sprowadzę go tu do siebie i poswatam z twoim aniołem! chi, chi, chi! z aniołem! wybornie sprzedasz towar swój, *Žulietto*, wybornie sprzedasz swój piękny towar! daleko lepiej, niż sprzedałaś dwa rozumne towary!

Niebiańska nadzieja, przedświt nadniebiańskiej radości, rozlała się po twarzy pani *Žulietty*. Tak uczuła się wzruszoną, że aż podniosła do ust drżących batystową chusteczkę.

— O, ciociu najukochańsza! jesteś opatrnością naszą! aniołem stróżem naszym!

Generałowa mówiła, a raczej piszcziała dalej:

— Jutro wydaję obiad... zaproszę dwadzieścia osób... napisz do swoich rozumnych córek, aby przyjechały... i jego zaproszę... przyjedzie najpewniej... Delicya niech ustroi się... niech ustroi się...

— Ciociu! aniele nasz! — szeptała pani *Žulietta* z ustami, przyklepionymi do ręki generałowej, w której na szczęście nie było na ten raz żadnej broszy.

— On podobno bardzo głupi i romansowy! z miłości chce ożenić się! czy słyszysz, *Žulietto*? chi, chi, chi! Pompaliński romansowy! złap go sobie dla Delicyi!

Po białém czole pani *Žulietty* mknęły chmury zamyslenia. Myśl jéj i wyobraźnia snadź już pracowały nad przyszlém zadaniem.

— A teraz — zawołała generałowa — jedź już



sobie, *Žulietto*, jedź! jedź! Uwielbiany twój Adam czeka na ciebie, a ja pójdę rozmawiać z moją papuzią!

Pani *Žulietta* szybko powstała z krzesła, tłumiąc w sobie spazmatyczny płacz i śmiech, który ją zwykł był ogarniać we wszystkich wielkich wydarzeniach jój życia, ucałowała raz jeszcze kolana i ręce „najdroższej cioci,” „Opatrzności swój,” „swego anioła stróża” i nie rzuciwszy już więcej przelotnego nawet spójrzenia na stół, klejnotami okryty, wybiegła z salonu. W sieni, gdy owijała się sobolowém futrem, usta jój drżały jak w febrze i mimowoli jakby szeptały: hrabina Pompalińska! hrabina Pompalińska!

Stawiając drobną stopę na stopniu karety na sianach, wymówiła głośniej już nieco: hrabina Delicya z Kniksów Pompalińska! A gdy drzwiczki powozu zamknęły się już za nią i konie ruszyły, upadłszy na poduszki, karety, głośno już zawołała: hrabina Pompalińska, moja córka! i... zanosła się serdecznym śmiechem!

---

## ROZDZIAŁ IX.

---

W téj saméj prawie chwili, gdy pani Kniksowa po konferencyi z „najdroższą cicią” wracała do swych Białowgórz, Pawełek, po krótkich odwiedzi-  
nach oddanych ciotkom w Bobrówce, zbliżał się do Pompalina, tam-to bowiem, jakkolwiek Pompalin hrabi-  
biego Mścisława był własnością, zamieszkał na czas pobytu swego na wsi hrabia Cezary. Było to już bowiem tradycyjnym niemal w hrabiowskiej rodzinie obyczajem, że każdy z członków jéj, na krótko do rodzinnego powiatu swego przyjeżdżający, obierał sobie rezydencją w Pompalinie, niby w głównej stolicy królewskiego rodu. I nie dziw wcale, że tak było. Pompalin mógł-by przynieść chlubę niepomierną niejednemu, choćby udziałnemu księciu. Z dała już, o wiorst kilka od miejsca tego, ukazywały się oczom przejeżdżających dumnie i szeroko na horyzoncie



szarzące mury, wznoszonego wciąż z mozołem a kosztem nadzwyczajnym, małego Watykanu. Dziewięć ukończonych już wież i wieżyczek strzelało ku niebu, a niżej nad ziemią wiły się pyszne, murowanemi słupami błyszczące, sztachety, otaczające dokoła podwórza pałacowe, ogrody i parki, które to ostatnie, jakkolwiek nie miały jeszcze czasu stać się starożytnemi, jakoś swą wynagradzały sownicie ilością, albowiem posiadały, nie wiem z pewnością ile, ale bardzo coś wiele morgów kwadratowych obwodu.

Bryczka Pawełka, podjeżdżając pod ściany pałacu onego, który z dala, wśród lekko tylko wzgórzystej okolicy, miał pozór wyniosłej góry, wyglądała przy nim tak drobnuchną i zaledwie dostrzegalną, jak mała muszka, przybiegająca pod stopy Himalai. Dostrzeżoną snadź jednak została przez osoby, znajdujące się we wnętrzu ceglanego olbrzyma, zaledwie bowiem Pawełek miał czas wyskoczyć z bryczki i wejść na wysoki, marmurem i złoceniami zdobny, perystyl pałacu, wybiegł naprzeciw niemu człek jakiś, o twarzy wielce poważnej, a więcej jeszcze stroskanej i z niecierpliwionej. Był to pełnomocnik hrabiów, traktujący wtedy właśnie z izraelskimi faktorami i cudzoziemskimi nabywcami o sprzedaż Malewszczyzny.

— Na miłość Boga! — zawołał człek ten poważny i stroskany, chwytając za rękę Pawełka — gdzie pan byłeś tak długo? Szczęście to przynajmniej, że

pan już przyjechałeś! Ja bo z hrabią Cezarym sam już sobie dać rady nie mogę!

— O cóż chodzi? — zapytał Pawełek.

— A no, o tę sprzedaż! Nabywca coś mi dziś zobojętniał dziwnie! zwleka umowę i widocznie wahać się zaczyna! Żydki szepcą między sobą ze szczególną tajemniczością, a jest między nimi i Icek Zelmanowicz, który przyjechał tu widocznie dla zepsucia nam interesu! Zdaje się, że stręczy nabywcy któryś z folwarków generałowej, obiecując mu go za bajecznie niską cenę! Stara sknera raz jeszcze widać chce hrabiemu podstawić stołeczek, o sknerstwie swém nawet zapominając! Wszystko to jednak było-by niczém, gdyby hrabia Cezary...

— Cóż hrabia Cezary?

— A cóż? z rana bylibyśmy już dobili targu i podpisali umowę, ale... przecieć tu podpis główny hrabiego. On tymczasem, za ledwie pan nogą za próg stąpiłeś, wymknął się nam, jak piskorz, i kędyś przepadł. Rozsyłam za nim służbę po całym dworze... rozstap się ziemi! niema hrabiego! W godzinę potem znajdują go, zgadnij pan gdzie? oto w pasieco siedzi między ulami i słucha, jak mu pasiecznik stary, oparty na kiju, bajdy jakieś opowiada. Idę sam do pasieki, przyprowadzam go do pałacu i sadzam na fotelu pomiędzy sobą a kolegą moim, którego w pomoc tu sobie przywozłem. Ale czasu upłynęło sporo; kiedym ja puszczzał się na wyszukanie hrabiego, Icko



Zelmanowicz wkradł się do pałacu i poszeptał coś nabywcy, który znowu dawaj stroić kaprysy. Ja z nim w targi nowe, tu ustępuje mu coś, tu się z nim sprzeczam, tu kolega mój przemawia do jego punktu honoru, który-by mu zrywać nie pozwalał, raz zawar-tój i nawet już spisanej, umowy. Mój nabywca, człek głowy nietęgiej, zgadza się znowu na wszystko. — Niech graf podpisze umowę — mówi. Ja i kolega mój, uradowani, zwracamy się do fotelu, w którym usadowiliśmy byli hrabiego... fotel pusty! w ogniu sporów przestaliśmy na niego zwracać uwagę i wymknął się nam znowu...

— Gdzież jest teraz? — zapytał Pawełek, który śmiał się, słuchając opowiadania rozgniewanego prawnika.

Na to prawnik, na-pół wzgardliwym, na-pół gniewnym gościem, wskazał w znacznej odległości od pałacu stojące murowane stajnie.

— Oto tam jest! — rzekł. — Słyszysz pan.

Od strony stajen dochodziło do uszu rozmawiających rozgłośnie i raz po raz powtarzane klaskanie z furmańskich batów.

— Bawi się dwudziestotrzechletnie hrabiątko i ze stangretami na wyścigi idzie, kto głośniej z bata palnie! Idź pan po niego, bo ja z pewnością już sam nie pójdę, i póki życia, nie zgodzę się nigdy więcej prowadzić jakikolwiek interes hrabstwa, w którym uczestniczyć będzie hrabia Cezary. To dziecko! to

idyota kompletny! Na ten raz jednak szkoda ponie-  
sionego już trudu. Zlituj się pan, przyprowadź go  
do pałacu, byleby prędko, bo temperatura u nas  
tak ochładza się w oczach, że za lada chwilę interes  
może całkiem zamarznąć.

Rzekłszy to, prawnik bardzo pośpiesznie cofnął  
się w głąb pałacu, a Pawełek skierował się ku  
stajniom, z kąd ciągle rozchodziły się odgłosy coraz  
zawziętszych klaskań z bata.

Ach! nie pierwszy to już raz „*ce pauvre César*”  
nabawiał otoczenie swe kłopotami, podobnemi do  
tych, których doświadczał teraz pełnomocnik hra-  
biowstwa, a niekiedy nawet i daleko większemi. Od  
samego dzieciństwa już spostrzegano nadzwyczajną,  
a wszechwzględną wyższość nad nim brata jego,  
Mścisława, i troskano się srodze o przyszły rozwój,  
tak fizyczny, jak umysłowy, téj najmłodszej odrośli  
rodu. Był jeszcze w kolebce, kiedy hrabina matka  
zdecydowała, że Cezarek jój, dziwném zrządzeniem  
Opatrzności, posiada członki ciała szczególnie jakoś  
grube i urodzeniu jego niestosowne; że głos, którym  
przywoływał ku sobie swą karmicielkę, niepojęcie  
był niedystyngowanym, a oczy, któremi patrzeć za-  
cynał na świat Boży, nie objawiały tego geniuszu,  
téj szlachetnej dumy, jakimi odznaczały się oczy  
Mścisławka, gdy był w téj samej porze swego ży-  
cia. Smutne słowa te powtórzył za hrabiną dom  
cały, tak, że gdy mały Cezarek zaczynał pierwsze



drżące kroki stawiać po powierzchni ziemskiej, ogólnie już przyjętą i zdecydowaną rzeczą zostało, iż jest on dzieckiem upośledzonym, nie wcale na przyszłość nieobiecującym, ciężkiem zmartwieniem dla swój dostojnej matki i srogą groźbą dla chwały i honoru całego swego dostojnego rodu. Mniemanie to potwierdzały z kolei wszystkie bony i guwernantki, którym powierzana bywała piecza nad dwojgiem hrabiowskich paniąt, potwierdził je następnie i l'abbé Lamkowski, gdy tylko zajął się prowadzeniem dalszej ich edukacji; hrabina-matka zaś wzdychała ciężko za każdym spójrzeniem na młodsze swe dziecię i, niosąc chustkę do oczu, szeptała:

— O, jakże nieszczęśliwą jestem matką! zdaje mi się doprawdy... że... gdybym nie lękała się zgrzeszyć... nie lubiła-bym jednego z synów moich!

Bardzo być może, iż, pomimo obawy swój, pani hrabina dopuszczała się grzechu nielubienia małego, a potem już i podrastającego Cezarka. Dziwném to jest na pozór, a jednak najzupełniej prawdziwém, że serca matek posiadają niekiedy bardzo energiczne preferencye i wstręty. Nie zdarza się to wprawdzie wśród zdrowego, pracującego plebsu, ale wśród nerwowego, trochę niby rozkapryszonego patrycyatu, zdarza się dość często. Było to w istocie dziecię nieśmiałe, nadzwyczaj w sobie zamknięte, z pojęciem tak mało rozwiniętém, że nigdy, pomimo usiłowań wszelkich, nauczyć się nie mogło ortograficznego pisania

po francuzku, z krtanią tak barbarzyńsko urządzoną, że nigdy francuzkiego *r* dostatecznie po paryzku wymówić niemogącą. Siadywało sobie bardzo często dziecię to w najciemniejszym kąciku pałacowej komnaty, i w czasie, gdy starszy brat jego świetniał już wszelkimi wdziękami i słynąc poczynął miłemi swawolami dorastającego młodzieńca, pogrążało się na długie godziny w biernej i beczynnjej nieruchomości. Wtedy przechodząca przez komnatę hrabina-matka zapytywała niecierpliwie:

— *César? à quoi donc penses-tu?*

A młodziutki hrabia Mścisław w zastępstwie brata odpowiadał:

— *Mais, maman, César ne pense à rien du tout!*

I zakorzeniło się to głęboko w przekonaniu hrabiny, że: *César ne pensais jamais à rien du tout!* Cały dwór, cała rodzina powtórzyły pacierz za panią matką.

Ale im dalj w las, tém więcej drzew. Co to było, gdy Cezarek doszedł już do lat siedmnastu i ośmnastu i powinien był, na wzór brata swego i innych rówieśnych paniąt, zacząć bywać w salonach, strzelać do celu, jeździć konno, oddawać się, słowem, różnym, tym podobnym, rozrywkom i exercycyom, tradycyjnie w obyczaj młodych paniąt weszłym! W salonach, jakkolwiek kości jego rozrosły się potężnie, a wzrost o wiele prznosił skalę wzrostu braterskiego, hrabia Cezary znikał, kompletnie znikał, był tak, jak-



by go nie było, kurczył się jakoś, zwiężał, za konsole i za fortepiany wlaził, zupełnie tak, jak-by grał *in cho-wanego*; milczał, jak ryba, a gdy zmuszonym już był do mówienia, wyrażał się nadzwyczaj ordynaryjnie, i na domiar nieszczęścia, wciąż, mówiąc, rękoma swymi się przyglądał, rękoma, które nad wyraz grubiańsko były duże, kościste i czerwone.

Uczono go konnej jazdy. Biadał Pomimo najgorliwszych starań, najbłęglejszych mistrzów ekwitacyjnej sztuki, młody hrabia dosiadał zawsze konia nie po *lacinie* już nawet, ale zupełnie, doskonale po *hebrajsku*. Podskakiwał na siodle i podskakiwało pod nim siodło; widzowie tłumili śmiech szalony, a patrząca przez okno hrabina dostawała spazmów.

Ale dwa szczególnie wydarzenia zaryły się głęboko w bolejącą pierś tej nieszczęśliwej matki, i do reszty już odwróciły serce jej od młodszego syna. Mając lat dziewiętnaście, hrabia Cezary zakochał się w pannie służącej hrabiny, ślicznej szlachcianeczce zagrodowej, jasnowłosej, błękitnookiej, czulej, marzącej, i co wieczor, przy świetle księżycowym, u otwartego okna garderoby, bardzo smętnie grywającej na gitarzel... Zakochał się w niej nie na żarty wcale, ale *tout de bon*, jakby w równej sobie... formalnie i z najgłębszym uszanowaniem, z najniepokalańszą skromnością, konkurował o jej serce, całował ją w rękę, rumienił się na jej widok, wzdychał i spuszczał oczy, gdy była przy nim. *Avec ce pauvre César,*

żartów nie było, jak nie było głupstwa, którego-by nie można po nim się spodziewać.

Mścisław! to co innego! on umiał rzeczy podobne brać z góry sobie, po rycersku, i obchodzić się z niemi, jak należało! Odprawiono więc pannę służącą i wysłano ją bardzo daleko, a hrabia Cezary dostał po jój odjeździe gwałtownego tyfusu, i o mało życiem nie przypłacił swój niepojętój głupoty.

Innym znów razem, pełnoletni już zupełnie, bo dwadzieścia jeden lat mający, hrabia, przypatrywał się na Ujazdowskim placu odbywającej się tam corocznie ludowej zabawie. Widok pajaców, huśtawek i dyabelskich młynów zdawał mu się sprawiać rozkosz niewypowiedzianą; śmiał się i klaskał w ręce wraz z tłumem, w sposób nadzwyczajnie głośny i zupełnie nieprzyzwoity; najbardziej jednak podobało mu się włożenie na słup, mydłem posmarowany, przez kominiarzy i mularskich czeladników dokonywane.

Patrzył na te, mniej lub więcej powodzeniem uwieńczane, akrobatyczne próby, zapal ogarniał go coraz większy, coraz pustsza porywała wesołość; aż nagle, w chwili właśnie, gdy mularczyk jakiś, dosięgłszy już połowy słupa, zsunął się po nim na ten padół płaczu, z szybkością nadzwyczajną i wśród śmiechów a gwizdań gawiedzi, hrabia Cezary poskoczył do słupa i zawołał:

— I ja spróbuję!



I już, już zdejmował z siebie angielską bonżurkę, a nogi swe ogołocił z paryzkiego obuwia, aby, ramionami słup omydlony objąwszy, puścić się w górne zawody z kominiarzami i mularczykami; gdy, na szczęście, obecny przy nim zwykle we wszystkich publicznych okazjach, Pawełek, w porę go za ramiona uchwycił, opierającego się i błagalnie o swobodę działania proszącego gwałtem prawie do ubrania się i ozucia napowrót przymusił, i od nieszczęsnego słupa w dal odprowadził.

W tłumie wydarzenie to narobiło wiele wrzawy. Palcami pokazywano sobie hrabiego, który chciał włązić na słup igrzyskowy, po śladach jednego kominiarza i dwu mularczyków; jedni śmieli się do rozpułku, inni płakali z rozczulenia, a majster jakiś szewki, podobno stary i na-pół pijany, wyszedłszy z tłumy, dopędził umykającego już pod przemocą Pawełka hrabiego-demokratę, i na znak, że chęci jego po-bratania się z ludem gorąco poważa i akceptuje, wziął go w ramiona swe i oba policzki jego kilku głośniami pocałunkami zaopatrzył.

Hrabina Wiktorya zaś, w towarzystwie księżnej B. powozem i bardzo powoli plac objeżdżając, widziała przez lornetkę całą tę *eskapadę* syna, a przy wieńczącym ją akcie, to jest przy udzielonym synowi jój uścisku brata w Chrystusie, majstra szewckiego — zemdląła.

Na wszystkich powyższych danych opierając się,

wszyscy członkowie rodziny uznali jednoznacznie, iż hrabia Cezary obejść się i rozrządzić stosownie wielkim, przypadającym na niego, majątkiem, nie potrafi i że najwyższą nieopatrnością rodziny było-by pozostawienie steru majątku tego we własnych jego rękach. Jakkolwiek więc, wnet po dojściu do pełnoletności obu braci, dział pójcowskiój ogromnej fortuny dokonany pomiędzy nimi został zupełnie formalnie i oficjalnie, za sprawą jednak przezornych a troskliwych starań hrabiny-matki, stało się tak, że hrabia Mściśław otrzymał z działu tego dwa razy więcej, niż brat jego.

Hrabia Cezary nie protestował bynajmniej, owszem, dowiedziawszy się od matki i pełnomocnika familijnego, że jemu przypadła w udziale Malewsczyzna z pięciu folwarkami innymi, a Mściśławowi Pompalin z małym Watykanem, dziesięć innych folwarków, jako też kapitały, będące, lub być kiedyś mogące własnością świętej pamięci ich ojca, nietylko, że w dziale tym żadnej ujemy dla siebie nie dojrzał, ale matkę swą bardzo pokornie i czule w rękę pocałował, a pełnomocnikowi dłoń bardzo serdecznie uściśnął, dziękując im za trudy, które około załatwiania interesów ponieśli.

Co więcej! Malewsczyznę i pięciu folwarkami hrabia Cezary nie rządził hynajmniej osobiście. Rządziła niemi rodzina. Wydzierżawiano je, sprzedawano, dochody z nich pobierano na mocy pełnomoc-



nictw, jak najobszerniejszych, które hrabia Cezary wydawał bez chwili wahania się każdemu, komu powiedziano, aby je wydał; jemu zaś dawano pensyą miesięczną, ale której drobną zaledwie część powierzano własnym jego rękom, resztę oddając pieczy osób, nierozłącznie do osoby hrabiego Cezarego przywiązanych, od dwóch lat Pawełkowi najczęściej. Każda z osób tych, do osoby jego przywiązanych, miała sobie za obowiązek dostarczać hrabiemu wszystkiego, czego-by potrzebował, składając następnie innym członkom rodziny ścisły rachunek z sum wydanych. Było to tedy coś niezmiernie podobnego do kurateli, nad młodym hrabią rozciągniętej. Ale młody hrabia nie protestował, a przynajmniej nic nie mówił nigdy, i nic nie czynił takiego, co-by na najlżejszy protest zakrawało.

Być może zresztą, iż, nie mówiąc i nie czyniąc nic, myślał sobie to i owo, jakkolwiek przypuszczenie podobne wydawać się mogło więcej, niż wątpliwém, wobec przyjętego raz na zawsze przez całą rodzinę przekonania, że „*ce pauvre César ne pense jamais à rien du tout*“.

A przecież hrabia Cezary, jakkolwiek skromny w swych gustach, miał także długi szereg ulubionych sobie rozrywek. Jedną z nich naprzykład było zakupywanie na mieście całych koszów jabłek, lub bułek, i rozdawanie ich ubogim ulicznym dzieciom, któ-

re znały go wybornie, i gdzie się tylko ukazał, gromadami go otaczały.

Drugi rodzaj rozrywki stanowiło przysłuchiwanie się różnym gminnym baśniom i legendom, opowiadany przez stare, na progach miejskich domowstw wygrzewające się babulki, lub starych, siwobrodych, wiejskich dziadów. Lubił też bardzo hrabia Cezary, gdy był w mieście, przyglądać się zabawom ludowym i płatać wśród zbiorowisk tych różne takie figle, jak na przykład wkładanie ukradkiem do kieszeni obdartych, kulejących staruszków dziesięciorublowych asygnat, albo chwytywanie z tyłu za włosy biegnących do dobroczynnego zakładu dzieciaków w różowych, lub niebieskich bluzach, i całowanie ich w chude, blade twarzyczki.

Na wsi nie było dla niego większej przyjemności, jak zarzucać snopy w stodole, lub grabić siano na łące z młodymi wieśniakami i, rozmawiając z nimi w ludowém ich narzeczu, śmiać się do rozpuku z konceptów ich i żartów.

Takie-to były upodobania i taki sposób życia hrabiego Cezarego. Nie dziw więc, że hrabina-matka tyle łez z jego przyczyny wylała, tyle wstydu przeniosła, i całej jego tak fizycznej, jak moralnej organizacyi, inaczéj sobie wytłomaczyć nie mogła, jak przez rodzaj wyrodzenia się jakiegoś, a raczéj wrodzenia się w któregoś z antenatów, z linii męzkiej naturalnie, przez to, słowem, zjawisko, które w je-



zyku naturalistów od niedawna otrzymało nazwę *atawizmu*.

W istocie, w téj chwili, naprzykład, patrząc na hrabiego Cezarego, jak, stojąc u roztwartych na oścież drzwi stajni, z szerokiemi ramionami swemi, z długą, kościstą twarzą, ręką dużą, twardą, czerwoną, rozwijał w całej długości wielki bat furmański, aby, zamaszycie przerznawszy nim powietrze, tryumfująco potem spojrzeć na idącego z nim w zawody młodego stangreta, nie można było powstrzymać się od myśli, że tak właśnie, a nie inaczej, wyglądać musiał poczciwy, barczysty i kościsty pradziad flisak, gdy, stojąc na przodzie wicyny, rozbijał fale rzeczne ogromnym rudlem i, śmiejąc się do towarzyszy swych, wołał z całego gardła:

— Ho ha! héj, ho ha!

— Wyżej, paniczu! szerzej, paniczu! silniej, silniej paniczu! — śmiejąc się serdecznie, wołała do młodego hrabiego otaczająca go liczna drużyna stangretów i stajennych posługaczy.

— Paniczu! paniczu! mój mi się rozchorował, a ja na doktora i na lekarstwo dla niego nie mam! — zapiszczała mu za plecami wiejska jakaś baba.

— Paniczu! mnie pan rządca konia zajął w szkodzie i nie oddaje! — kłaniał mu się do stóp wieśniak w sukmanie, z dziedzicznej jego Malewszczyzny przybyły.

Dwoje czy troje dworskich dzieciaków stało tuż

przy nim i niecierpliwie zdawało się czekać zakończenia paniczowej zabawy z batem, aby go o coś poprosić, czy też może, bez proszenia, od niego coś dostać. Jakoż na piskliwy głos baby i uniżoną prośbę wieśniaka, hrabia Cezary, nie wypuszczając z ręki bata, przestał nim jednak w powietrzu wywijać. Zwrócił się naprzód ku babie, ale tu, oko w oko spotkał się z przybyłym od strony pałacu Pawełkiem.

Zmieszał się widocznie.

— Co ty tu robisz, Cezary? — zagadnął Pawełek, który młodszego z kuzynów swych nie tytułował tak, jak starszego.

— Mój Pawełku — odparł młody hrabia — żebyś ty wiedział, jak oni mnie tam znudzili!

Stosowało się to zapewne do prawników i innych osób, obradujących nad interesami majątkowymi hrabiego, w pałacu.

— Hrabio! — uroczyście wyrzekł Pawełek — zapominasz ciągle o tém, kim jesteś!

Młody hrabia smutnie wstrząsnął głową.

— Kim-że ja jestem! no, kim-że ja tam jestem? szepnął.

— Rzuć-no ten bat, Cezary! — zadysponował Pawełek.

Po krótkiej chwili wahania się ze strony hrabiego, bat leżał na ziemi.

— A teraz, chodź do pałacu!



— Aj, mój Pawełku! byle nie tam! no, proszę cię, pójdziem na spacer... tam, wiesz, do tego wzgórza, z którego widok taki piękny!

— Pójdziemy tam potem. Teraz trzeba interesa załatwić.

— Aj, te interesa! żebyś wiedział, Pawełku, jak mi już one kością w gardle stanęły!

— Nieunikniona to odwrotna strona twój wielkości, mój drogi! Ale pomyśl tylko, co powie pani hrabina i co powiedzą twoi stryjowie, jeśli tak świętny interes z twojej przyczyny do skutku nie przyjdzie.

Uwaga ta zastanowiła snadź mocno młodego hrabiego, bo stał chwilę ze puszczoną głową, potem, westchnąwszy z cicha, rzekł:

— No, to już pójdę!

Na ganku pałacowym dwóch nadchodzących mężczyzn spotkał pełnomocnik z wielce posepną twarzą.

— Wszystko przepadło, panie hrabiol — rzekł — daliśmy czas żydom do intrygowania, nabywca stanowczo usunął się od interesu i wnet odjeżdża... Gdyby pan hrabia był z rana podpisał umowę, klamka by zapadła, ale teraz... ja ręce od wszystkiego umywam, i opiszę pani hrabinie i panu hrabiemu, jak wszystko było.

Rzekłszy to, pełnomocnik zstąpił z ganku i śpiesznie oddalił się ku oficynom, hrabia Cezazy zaś pozostał na miejscu, jak skamieniały.

— Pawełku! — ozwał się po chwili z cicha. — Ja nie wiem, co to będzie...

— Z czego? — zapytał Paweł.

— *On* to zrobi z pewnością... on napisze do mamy i do stryja, że ja siedziałem w pasiece i klaskałem z bata pod stajnią, kiedy trzeba było podpisywać umowę...

— No, naturalnie, że napisze... ale i cóż ztąd?

— Stryj, jak stryj... ale mama będzie znowu gniewała się bardzo na mnie.

— Będzie z pewnością! ale i cóż ztąd? — powtórzył Pawełek.

— Jako, cóż ztąd? czy ty nie wiesz, mój Pawełku, jak mi przykro, kiedy mama gniewa się na mnie...

— Zdarza się to jednak dość często.

— Zawsze, Pawełku. Od dzieciństwa mego nie pamiętam mamy inaczej, jak rozgniewaną na mnie... Nie łaje mię wprawdzie, nie bije... ale wołał-bym, żeby wyłajała mię, a nawet wybiła, niż słyszeć wjeździe, jak mówi do mnie: „*mon pauvre César, tu n'es bon à rien du tout!*”

Rozmawiając tak, weszli do jednego z pałacowych salonów.

— Mój Boże! — ciągnął młody hrabia — czyż ja-bym chciał martwić kogo, a tém bardziej mamę? Jestem *bon à rien*, sam to czuję, ale cóż zrobić, kiedy mnie już takim stworzyła natura...



— Kto wie, czy natura! — szepnął do siebie Pawelek.

Hrabia Cezary miał łzy w oczach.

— Ot i teraz naprzykład — ciągnął — z tą sprzedażą Malewsczyzny... będą na mnie gniewali się... Mściśław mnie wyśmieje...

— Bo też dobrze-byś zrobił, Cezary, żebyś raz już przestał tak bardzo zważać na te wszystkie gniewy i wyśmiewania, i tak bardzo martwić się niemi...

Hrabia pokiwał głową.

— Dobrze ci tak mówić, Pawelku, ale gdybyś był na mojem miejscu...

— Czy myślisz, doprawdy, panie hrabio, Czólno Don-Don Pompaliński, że jestem szczęśliwszym od ciebie? — uśmiechnął się Pawelek.

— Sto razy, tysiąc razy szczęśliwszym, mój Pawelku! i chciał-bym bardzo być na twojem miejscu!

Pawelek rozśmiał się z razu, potem jednak rzekł poważniej:

— Być może zresztą, iż masz słusność, ale — dodał — pomimo wszystkiego, co cię czeka w niedalekiej przyszłości, lepiej się stało, żeście Malewsczyzny nie sprzedali...

— Dlaczego? — zagadnął Cezary.

— Dlatego, że był-by to z waszój strony zły uczynek — zagadkowo wytłómaczył Pawelek.

Hrabia otworzył nieco usta i zadumał się nad słowami towarzysza długo i głęboko. To i owo mignę-

ło mu snadź przez głowę, w niewyraźnych zapewne zarysach, bo z lekkim wahaniem się w głosie odpowiedział przecież:

— A prawda!

Czoło jego rozjaśniło się nieco.

— No, dobrze przynajmniej i to! — rzekł — tylko że... że widzisz, mój kochany, mama i stryj znajdują sobie innego nabywcę i Malewsczyznę sprzedadzą...

— Dlaczegoż-by tak koniecznie?

— No, dlatego, że, jak powiadają, nie mógł-bym, nie umiał-bym zarządzić majątkiem, a z pieniędzmi to jakoś łatwiej... złożą je dla mnie w banku i... i... będą mi dawać procenta... — wytłómaczył Cezary.

— Ależ Malewsczyzna jest twoją własnością, Cezary, twoją najprawowitszą własnością..

— To i cóż ztąd, Pawełku?

Pawełek rozśmiał się.

— Mój drogi — rzekł — od dwóch lat już pracuję nad tém, ile sił mi staje, ażeby z dziecka przerobić cię na męża, a ty...

W téj chwili, stary, zaufany kamerdyner hrabiny-matki, jedna téż z nieodłącznych od osoby hrabiego Cezarego nianiek jego, wniósł na tacy list, do młodego hrabiego zaadresowany, a szczególny pozór mający. Była to szmatka grubego, szarego papieru, w fantastyczny kształt jakiś złożona, którą Pawełek



z ciekawością roztworzywszy, przeczytał, co następuje :

„JW. Panie hrabio państwa Rzymskiego,  
Cezary Pompaliński!

„Dowiedziawszy się, że kochany Waćpan *yesieś* w tych stronach, zapraszam Waćpana do siebie na na *yutro* na *obiata*. Kochany Waćpan mnie nie znasz, ale Ja *yestem* Waćpana krewną *y kobitą yestem, y starą yestem*. Jeżeli tedy mnie *odmuwisz* będziesz bardzo niegrzecznym kawalerem i hrabią.

*Cecylija z Pompalińskich*  
*Generałowa Orczyńska*”.

Cezary, wysłuchawszy treści listu, struchlał cały, Pawełek zaszedł się od śmiechu.

— A to szczególna fantazyja téj staréj czarownicy! czego ona chce od ciebie?

— Mój Pawełku! cóż ja teraz zrobię?

— Ja nie wiem. Pani generałowa jest w bardzo złych stosunkach z twoją rodziną, i stawia jéj stolki, gdzie i kiedy tylko może!

— Otóż to! mama gniewała-by się może...

— Z drugiéj jednak strony, jest to kobieta stara, a do tego i krewna; nie wypada więc może młodemu, jak ty, człowiekowi, odmawiać jéj...

— To prawda! ale jak tu zrobić?

Pograżyli się obaj w zamyśleniu; nagle hrabia Cezary poskoczył na krześle.

— Wicm już, wiem, jak zrobić! — zawołał—trze-

ba napisać do mamy, albo do stryja Światosława i zapytać się, jak zrobić?

— Wstydz się, Cezary, mówić tak bez zastanowienia żadnego — upomniał pupila swego Pawełek — odpowiedź z Warszawy przyjsć-by mogła najprędzej za dni pięć, a generałowa zaprasza cię na jutro...

-- A prawda! — potwierdził zmartwiony niepowodzeniem pomysłu swego hrabia.

— Wiész co? Cezary — zaczął Pawełek po chwili namysłu — nie wypada żadnym sposobem, abyś nie jechał... Dla kobiety, a do tego starój, trzeba mieć zawsze pewne uszanowanie. Hrabia Światosław będzie z pewnością tego samego zdania!...

— A mama? — wtrącił nieśmiało Cezary.

— Tego to już nie wiem.

— Widzisz, Pawełku! ja boję się...

Zniecierpliwiony Pawełek porwał się z miejsca.

— Przestań-że choć raz być dzieckiem, Cezary! — zawołał. — Przecież pani hrabina głowy ci nie zetnie i nosa nie oderwie...

Na to potworne przypuszczenie, Cezary parsknął śmiechem.

— A prawda — rzekł — tylko, że, widzisz, ja wołał-bym może, aby mi kto nos oderwał, niż żeby mama mi powiedziała znowu: „*mon pauvre César! tu n'es bon à rien du tout!*”

— To nie wierz temu, gdy ci tak mówić będą...

Cezary smutnie wstrząsnął głową.



— Koniec końców — zakończył Pawełek — do Odrzenic pojedziemy, choćby przez samą ciekawość, czego ta baba może chcieć od ciebie. Przymiemy i zgromadzenie będzie tam pewno liczne... zjeżdżają się do jęj milionów ludzie, jak na odpusty...

— Aj, Pawelku! — zawołał hrabia — to ja tam nie pojedę!

— Dlaczego?

— Kiedy będzie liczne zebranie...

— Mój Cezary, czyż ty jesteś dzikim człowiekiem?

— Nie, ale tak jakoś... nie chce się... widzisz bo, mój kochany, mnie te wszystkie wielkie zebrania okropnie nudzą... nie rozumiem, co w nich zabawnego... zjadają się... kłaniają się jeden drugiemu.. siadają rzędem i... rozmawiają o pogodzie... już téż każdy sam wie dobrze, czy słońce świeci, czy deszcz pada... Nie pcjmuję, po co o tém mówić! Potém... mówią sobie jeden drugiemu różne komplementa i... czy wiesz, Pawelku? na własne uszy słyszałem, jak ci, co mówili najpiękniejsze komplementa różnym osobom, na innym znowu zebraniu tak się z tych osób wyśmiewali, że ja... no ja, aż słuchać tego nie mogłem... Mama nawet... ty wiesz, Pawelku, że to święta kobieta... a nawet mama mówiła raz przy mnie pani baronowej K., że suknia jęj jest *de la dernière élégance*, a jak baronowa wyszła, powiedziała do Mścisława: *cette pauvre baronne!* wyglądała w swojej sukni, jak straszycło na

wróble! To téż, jak mi tylko ktokolwiek na jakim zebraniu cośkolwiek miłego powie, zdaje mi się zawsze, że potem śmiać się ze mnie będzie... i co to w tém zabawnego, mój Pawełku, sam powiedz! Zresztą panny na zebraniach wyglądają tak zawsze dziwnie, że... że jestem zawsze prawie pewny, że żadna z nich nigdy-by nikogo pokochać nie mogła... Wszak ty, Pawełku, jesteś daleko przystojniejszy ode mnie i daleko rozumniejszy i dowcipniejszy, a pomimo to, jak jesteśmy razem z tobą na jakim zebraniu, wszystkie panny mnie wciągają do rozmowy z sobą, a ciębie nigdy żadna nie zaczepiła. Cóż to pięknego, sam powiedz!

Wysłuchawszy słów tych, z wielkim zapalem przez hrabiego Cezarego wypowiedzianych, Pawełek powstał, zbliżył się do kuzyna swego, pocałował go w czoło, i popatrzył mu chwilę w oczy z miękkim jakimś wyrazem litości i sympatyj.

— Mój Cezarku! — rzekł poważnie, niż zwykł był mówić, powiedział-bym ci wiele, bardzo wiele, o tobie samym i o tym świecie, którego tak nie lubisz... gdybym mógł. Ale nie mogę... już i tak hrabia Mściśław napomknął mi raz, że cię buntuję przeciw familii, a to widzisz, kochanku, z mojej strony pachnie trochę zdradą... kiedykolwiek sam może oczy otworzysz, albo i ja ci w tém dopomogę, gdy przyjdzie stosowniejsza chwila... a teraz... Teraz — dodał weselój — trzeba się nam na jutro do Odrzenic wy-



brać... Jesteś tak młodym, że odmowna odpowiedź na zaproszenie kobiety wiekowej była-by z twój strony naprawdę nieprzyzwoitością wielką...

Rozmowa pomiędzy dwoma kuzynami o pojechaniu, lub nie pojechaniu do Odrzenic, wahała się jeszcze dość długo pomiędzy *tak* i *nie*, aż nakoniec, za sprawą głównie Pawelka, *tak* przeważyło stanowczo.

---

## ROZDZIAŁ X.

---

W Odrzenicach nie widać było najmniejszych przygotowań, najlżejszego choćby krzątania się, które poprzedza zazwyczaj w domach wiejskich wszelkie liczniejsze zgromadzenie gości. Było to tém dziwniejsze, że w domu pani generałowej służba była bardzo nieliczna, i pod względem płci męskiej ograniczała się starym kucharzem i, również starym, bieluteńkim, jak gołąbek, lokajem, Ambrożym. Ów Ambroży rozmawiał z panią swą o przyjęciu oczekiwanych gości, nie więcej, jak dwie minuty, szepnął z kolei coś bardzo lakonicznego staremu kucharzowi, poczem już ranek cały przepędził tak zupełnie, jak przepędzał wszystkie inne ranki, z tą jedynie różnicą, że w wielkim bawialnym salonie, jak téż i w większej jeszcze sali jadalnej, wcale już dnia tego w piecach nie palił.



Było to skutkiem wyraźnego rozkazu generałowej, która, kończąc krótką swą konferencyą ze starym służką, zawołała:

— W piecach nie palić, Ambroży! w piecach mi nie palić, ani odrobinki, ani krzty! Będzie im i tak ciepło! chi, chi, chi! Będzie im i tak gorąco!

W parę godzin po południu, generałowa siedziała już na swém zwykłym miejscu, w zimnym, jak lodownia, salonie, a z dala już ode drzwi można było dojrzieć axamitną jéj, jaskrawej barwy suknię, połyskującą na żółtej szyi gruby złoty łańcuch, z kosztownym medalionem, i ponsowe pióro, zdobiące axamitny toczek, nad wysoko utrefionemi białemi włosami.

Wkrótce pod ganek domu zajeżdżać poczęły sanie różnego kalibru, a salon napełniał się towarzystwem nadzwyczaj wyborowém, samą najgęstszą śmietanką i samym najdelikatniejszym kwiatem towarzystwa powiatu N.

Najpierwsi przybyli tam trzej bracia Tynf-Tutunfowiczowie. Młodzieńcy ci byli pod wszelkiemi zewnątrzniemi względami *extrêmement bien*, a tylko osoby, bliżej ich znające, odejść nie mogły ze zdziwienia, zapytując siebie: jakim sposobem trzymać się oni mogli dotąd na tak cienkich nogach i na tak zrujnowanych majątkach?

Co do pierwszego zagadnienia, rzecz rozstrzygała się znaném już powszechnie na Litwie przysłowiem

o pewnym gatunku ludzi, których Aniołowie na rękach noszą; drugie wyjaśniało się również przysłowiem czysto litewskim, opiewającym, iż... mędrkami opiekuje się Bóg. W istocie, nad rujnąjącą się wciąż ojcowizną trzech młodzieńców, (a rujnowanie się to postępowało na linii zupełnie równoległej ze zwężaniem się ich przyrzędów chodzenia), wyraźną pieczę swą rozciągała Opatrzność. Ile razy bowiem już już ojcowizna ta rozpaść się miała w gruzy ostateczne, spadał na nią, testamentem zapisany, lub ciepłą ręką ofiarowany, dar bogatjej cioci jakiejś, wuja, stryja, lub kogoś podobnego, i rozpadające się kawałki gmachu jako tako sklejał na nowo. Rujnował się potem znowu gmach ten, i znowu przybywała mu zkaćcis cudowna jakaś pomoc i podpora.

Trwało to tak już oddawna, i bracia Tutunfowiczowie głęboko wierzyli, że trwać będzie zawsze; że jednak strzeżonego Pan Bóg strzeże, i temu, kto sam sobie pomaga, Pan Bóg pomocy swjej udziela, trzej bracia, nie spuszczać się beczynnim i biernim, pomimo tylokrotnie doświadczonych cudów, na łaskę Opatrzności, własnymi siłami gotowali sobie nowy na przyszłość ratunek, bardzo pilnie pielęgnując znajomość, i bardzo gorliwie starając się o życzliwe względy pani generałowej, z którą zostawali w niejakiem stosunkach powinowactwa przez matkę swą, urodzoną z Orczyńskiej, stryjecznej siostry nieboszczyka generała.



I teraz także, po długiej peregrynacji przez lodowaty salon, dosięgłszy miejsca, na którym stała znana i słynna w powiecie szeroka staroświecka kanapa, trzej młodzieńcy (najstarszy z nich przeszedł już granice wieku nazywanego Chrystusowemi latami), złożyli kolejną pełną głębokiej czci pocałunki na suchej, żółtej ręce pani domu, i zajęli rzędem trzy, bardziej od kanapy oddalone, fotele, bliższe miejsca, zwyczajem dystygowanych i światowych kawalerów, pozostawiając damom.

Jakoż weszła wkrótce do salonu pani Sylwia Woryłowa, najstarsza, (jedna z owych dwóch brzydkich), córka *Żulietty* Kniksowej. Mąż, Woryłło, który na usilne domaganie się swjej małżonki i przez wzgląd na świętą spokojność domową, do poczciwego, szlacheckiego nazwiska swego dodał niedawno chlubny przyrostek *Jastrząb*, nie tyle prowadzony, ile, z pozoru sądząc, przemocą ciągnięty przez ukochaną swą Sylwią, z marszem na czole i ręką markotnie jakoś bujny wąż pokręcającą, miał pozór starożytnego niewolnika, prowadzonego na plac publicznych widowisk przez zwyciężkiego wodza.

Ciągnąc z jednej strony męża, z drugiej pani Sylwia prowadziła dziesięcioletniego synka swego, a w takim otoczeniu stanawszy przed generałową, podobnie, jak matka jój, nie tak tylko zgrabnie i lekko, do kolan „najdroższej babci” przypadła, poczem ten sam akt niewypowiedzianej czci i pokory wykonać

rozkazawszy synowi swemu, obejrzała się na męża, ze spójrzeniem i giestem w szczególny sposób przypominającemi owę grę dziecięcą, której przywódzca, oglądając się na resztę towarzystwa, woła: „jestem majster Wirgili! co czynię, czyńcie i wy”; poczem, za przewodnictwem majstra Wirgilego, dzieci przewracają krzesła, lub wdrapują się na piec. Ale zamięłowanie spokoju domowego posuwało się w wielkim Worylle do pewnego tylko stopnia; akt przypadania do kolan generałowój przenosił widocznie siły jego, i w najwyższym stopniu wydawać mu się musiał niestosownym, czy to z powodu niepomiernej wysokości i szerokości ciała jego, czy również wielkiej hardości duszy.

Wszystko, co zdołał wymódcz na sobie, było to pocałowanie ręki generałowój, czyli raczej muśnięcie ręki téj bujnemi, szorstkiemi węsami, poczem wyjątkowy mąż ten, z wyjątkowo wśród wszystkich tych promieniejących twarzy zehmurzoném czołem, oddalił się od kanapy tak szerokimi krokami, jakby pragnął w téj chwili posiadać na nogach swych owe bajeczne, siedmiomilowe buty, i usiadł na ostatnim z rzędu fotelu, odgraniczonym od generałowój dziesięciu, a od ostatniego z brzegu Tutunfowicza, pięciu fotelami.

Na szczęście, pani generałowa nie miała czasu dostrzedz, a pani Sylwia skarcić spójrzeniem buntowniczego znalezienia się tego samotnego, jak dotąd,



członka opozycji; otworzyły się albowiem drzwi i do salonu weszła pani Romania Trzewikowska, córka również pani *Zulietty* (druga z owych brzydkich), w podobnym, jak siostra jej, otoczeniu, liczniejszém tylko, bo oprócz męża, który ją prowadził, i pięcioletniego synka, którego prowadziła za rękę, miała ona ze sobą ośmioletnią córeczkę, w białej, leciuchnej, mocno wygorsowanej sukience, cudnie piękne dziecko, a portret żyjący „najdroższej Babci”, jak wyraziła się pani Romania, przyklękając (na wzór matki i siostry) przed generałową, przedstawiając jej córkę swą, której „najdroższa Babcia” od kilku miesięcy już nie widziała, i prosząc „Babcię” o błogosławieństwo dla dziecięcia tego, które Pan Bóg tak cudownie opatrzył wszystkimi, aż do najdrobniejszych szczegółów, rysami twarzy czcigodnej i anielskiej jej prababki.

— Podobna! Julisia podobna do mnie! doprawdy! a to muszę być bardzo piękną, chi, chi, chi! — nadzwyczaj ostro i cienko zapiszczała generałowa.

— Podobną, jak dwie krople wody! najdroższa babciu! niech państwo potwierdzą! czyż moja Julisia nie ma w istocie tych samych oczu, tych ust, tego uśmiechu...

— Ależ najpewniej...

— *C'est une ressemblance frappante!*

— Żyjący portret pani generałowej! — potwierdzili jednogłośnie bracia Tutunfowiczowie, za co obdarowanymi zostali przez panią Romanią bardzo

wdzięczném, przez panią Sylwią zaś trochę jakby zjadliwém, spójrzeniem.

— Niech mnie piorun zabije, jeżeli widzę tu najmniejszy cień podobieństwa — mruknał na pustyni swój wielki Woryłło.

Niegrzeczne to *à parte* było, szczęściem, zbyt cichém, aby usłyszeć go mogła pani Sylwia. Pani generałowa usłyszała je może, bo dziwnie dnia tego błyszczącym i zielonkowatém okiem swém strzeliła ku odgrodzonemu od niéj dziesięciu fotelami szlachcicowi. Ale Perła-Trzewikowski, mąż pani Romanii, ojciec ślicznej w istocie, jak anioł, Julisi, niepodzielającej bynajmniej hypochondrycznych usposobień swego szwagra, lecz odznaczający się przeciwnie nadzwyczajną łatwością humoru, i giętkością charakteru, odkąd szczególniej został Perłą i posiadał swą ukochaną Romanią, odezwał się z żartobliwo - pieszczotliwym uśmiechem:

— I kto-by to pomyślał, doprawdy, że pani generałowa jest już prababką!

— Dziesiąta woda po kisielu! — zachichotała generałowa — dwudziesta woda po kisielu, chil chil chil! Żulietta Kniksowa rodzi się ze Skórkowskiej, cioteczno-wujecznej siostrzenicy mojej stryjecznej babki...

Odezwanie się to pani generałowej, czy to w skutek zawartego w niém, a trochę jakoś w złym guście brzmiącego nazwiska Skórkowskich, czy téż dla onéj



przypomnianej dwudziestej wody po kisielu, rozluźniającej znacznie węzły pokrewieństwa z „najdroższą babcią”, zasepiło oblicza pań Sylwii i Romanii mgłą lekkiej melancholii.

Pomimo jednak lekkiego draśnięcia tego, które niemniejszą zapewne na sercach ich wryło szramkę, jak na twarzy ich matki wczorajsze draśnięcie złośliwej broszy, tkliwe te wnuki niewdzięcznej niekiedy babki usadowiły dziecińcy swe u jej kolan, w tak artystyczny i mistrzowsko wystudyowany sposób, że ze złożonymi rączkami, z twarzyczkami wzniesionymi ku żółtszej dziś, niż kiedykolwiek, twarzy generałowej, wyglądały one, jak grupa cherubinów, z nadprzyrodzonym zachwyceniem wpatrujących się w oblicze Pana nad Pany.

Po wzroku Woryłły widać było, że rad-by on był wielce syna swego z grupy tej wyłączyć i ku sobie przywołać, ale wzrok ten spotykał się wciąż z oczyma rozumnej Sylwii i w zniechęceniu smutnym ku ziemi opadał. Wkrótce zresztą, dla naprężonej tej nieco sytuacyi i urywającej się co chwila rozmowy, nadeszła dywersya i pomoc, w postaci nowo przybywających gości.

Byli nimi dwaj młodzi Kniksowie, synowie pani *Żulietty*, a bracia trzech siostr: Sylwii, Romanii i Delicyi, młodzieńcy będący także *extrêmement bien*, epuzerowie, jakich na te ciężkie czasy znajdzie się niewiele, stosownie też do wartości swój, wysoko się więc

ceniący, od czasu szczególniej, gdy do nazwiska swego, trochę za krótko może i za ostro dźwięczącego, dodali przedłużający je i uszlachetniający przydomek Trzaska.

Ojciec rodziny téj, Adam Kniks, ów uwielbiany Adam pani *Żulietty*, nic wcale o przydomku tym nie wiedział, albowiem, przed urodzeniem się jeszcze jego, uległ, jak wyrażała się pani *Żulietta*, „téj strasznej chorobie”, czyli po prostu mówiąc, zwaryował. Młodzi Kniksowie, po czołobitnościach, złożonych ze swéj strony „najczcigodniejszej babce”, połączyli się w jedno grono z Tutunfowiczami i Trzewikowskim, które to grono zwiększyło się niebawem przybywającymi do kompanii dwoma, czy trzema jeszcze, mężczyznami.

Była to już tedy, z wyjątkiem pani *Żulietty* i *Delicji*, które dotąd nie przybywały, cała, jak wyrażano się, najbliższa familia generałowój, zebrana w komplecie. Dalszej familii było jeszcze niezmiernie wiele, ale nie sprosiła jéj do siebie na dzień ten pani generałowa, z kąd znowu członkowie familii *sproszeni* wyprowadzali sobie w myśli różne wnioski i pieścili się, powstającymi z wniosków, słodkimi nad wyraz nadziejami.

Całe towarzystwo to zresztą, ze strony kobiet naturalnie, odznaczało się tém mianowicie, że miało na sobie suknie niezmiernie strojne i bardzo nizko u szyi wycięte, znaczną obfitość klejnotów w rozmaitych



miejscach toalety, z wyjątkiem rąk, z których na ż dnój nie było więcej pierścieni nad jeden. Niech nikt przeto nie mniema, aby damy, należące do śmietanki towarzystwa powiatu N., nie wiedziały o tém, iż suknie, nizko wycięte i znaczna obfitość klejnotów, nie wchodzą bynajmniej na wielkim świecie w skład obiadowych toalet. Wiedziały one o tém doskonale, jak o wszystkich zresztą innych prawidłach, obowiązujących wielki świat, do którego przecież i same należały. Ale, wycięte suknie, klejnoty i samotne na palcach pierścienie, były to wszystko czułe i delikatnie wyrażane komplementa generałowej, która, widząc na otaczających ją osobach podobnie wierne odzwierciedlenie najdrobniejszych szczegółów swego stroju, jasno ztąd wniesć mogła, jak była kochaną, poważaną, i poczytywać się słusznie za królową, nietylko już rządzącą sercami powiatu, ale i dyktującą jego—mody.

Pani *Zulietta* tymczasem i najmłodsza jój córka spóźniały się z przybyciem w sposób prawdziwie niepojęty. One! które tak pośpiesznie przybywały zwykle na każde wezwanie najdroższej cioci i babci, teraz pozwoliły ubiedz się wszystkim, ale to wszystkim, całej najbliższej jój familii! Panie Sylwia i Romania odejść nie mogły od zdziwienia i zaczęły przypuszczać, że *cette chère maman*, tak tkliwa zawsze, tak czuła, zachorowała może z nadmiaru serca, pierś jój przepelniającego; sama nawet generałowa, wy-

dawała się niespokojną, a nawet, prawdę mówiąc, formalnie złościć się zaczynała, czego dowodem było coraz żywsze trzepanie się jój po starój kanapie i coraz piskliwszym a ostrzejszym głosem wydawane okrzyki:

— Gdzież jest *Żulietta!* cóż się stało z *Żuliettą?* czy nie wywróciła się czasem ze swoim aniołem do jakiego rowu, chi, chi, chil

Otworzyły się w końcu drzwi, ale, zamiast oczekiwanych pań, do najbliższój familii należących, wszedł przez nie stary Ambroży, a stanąwszy na środku olbrzymiego salonu, w kształcie anonsowania wykrzyknął tubalnym głosem:

— Jaśnie Wielmożny Pan hrabia Cezary Pompański.

Gdyby od sufitu salonu spuścił się był sam Archanioł Michał i w znaną trąbę swą na sąd ostateczny uderzył, nie sprawiło-by to na zebraniu całém więcej piorunującego wrażenia, jak owo nazwisko, przez starego Ambrożego grobowym głosem ogłoszone. Wrażenie to posiadało kilka na raz przyczyn bytu. 1-o Nikt nigdy nikogo w salonie generałowój nie anonsował, brzydziła się ona bowiem o tyle przynajmniej wszelkimi ceremoniami światowemi, co barwami żywych kwiatów i świeżą zielenią drzew rozłożystych. Zdarzyło się to więc po raz piérwszy, odkąd najbliższa familia najbliższą krewną swą zapamiętać mogła, a zdarzyło się to dla kogo mianowicie? Oto dla krewnego także i daleko



bliższego, niż obecna tu najbliższa familia; wiadano bowiem doskonale o tém, że Pompalińscy z Pompalina przypadali generałowój stryjeczno jakoś stryjecznymi, coś w drugim czy trzecim stopniu. 2-o Nigdy przenigdy żaden Pompaliński z Pompalina stopy swój nie postawił na progu domu generałowój, odkąd została generałową i w Odrzenicach zamieszkała, zkaąd pytanie: czego teraz *ten* przyjechał? czy w zamiarze starania się o względy swój krewnój? a więc nowy kandydat do konkursu i ogólne niebezpieczeństwo! czy może w zamiarach jakichś nieprzyjacielskich, impertynenckich, napastniczych? a więc wypadnie potrzeba niezbędna bronienia przed najezdnikiem najbliższój i najdroższój krewnój — kłótnie, pojedynki może — w każdym razie dla ludzi, spokojność lubiących, nieprzyjemność wielka. 3-o Pompaliński czémkolwiek-by groził i w jakkolwiek niepojętych przybywał-by zamiarach, był zawsze Pompalińskim, to jest kimś, używającym (prawnie czy nieprawnie, kto-by tam w rzeczy podobne tak dalece chciał wchodzić,) używającym tytułu hrabiowskiego, dziedzicem majątku milionowego, co najwięcej zaś mieszkańcem stałym stolicy i zagranicy, prawowitym członkiem wielkiego świata. Nie idzie zatém, aby zgromadzona tu najbliższa familia generałowój nie uważała siebie samój za świat bardzo nawet wielki, ale każdy przecie ideał ma swe odcienie i stopnie... i tak, gdy ideałem Pompalińskich i im podobnych było towa-

rzystwo, jaśniejące imionami Zamoyskich, Lubomirskich, Sapiehów i t. p. szczęśliwców, o których nie zapominali dawni bardzo kronikarze i historycy, ideałem Kniksów, Trzewikowskich, Tutunfowiczów, i im podobnych była sfera, w której bezspórne już i bardzo nawet szerokie miejsce zajmowali Pompalińscy. Wyżej nie śmieli oni sięgać, ale ku Pompalińskim — czemuż-by nie? I ten ideał jaśniał wprawdzie dość wysoko, ale nie tyle już wysoko, aby do niego tęsknić, aby o nim marzyć, aby podług niego wzorować się nie było można. I téj-to właśnie tęsknocie żywej do ideału, temu silnemu ku niemu pięciu się, przypisać należało doskonale żurnalowe ubrania zebranych tu członków najbliższej familii, dystynkcyą ich ruchów, makaronizmy ich mowy, wszystko słowem co czyniło ich tak bardzo, tak zupełnie, tak *extrêmement bien*. Ideał, panowie i panie, jest wielką świętą rzeczą! I czegoż, panowie i panie, wart jest człowiek, czegoż jest warta społeczność, nie posiadając ideału swego? Owóż nagle, niespodzianie, wpośród zgromadzonej śmietanki towarzystwa powiatu N. spadł pod postacią Pompalińskiego aerolit, niby ze świecącego po nad nią słońca oderwany, spadł słowem — kawałek jój ideału! Było nad czém zamyślić się i czego zblednąć i zarumienić się, i dlaczego fałdy sukni szerzej rozsunać, lub wąsik sklejonny fixatorem, w formę zaledwie już dostrzegalnych różków ukształtować!



Generałowa także okazała się mocno zaniepokojoną. Nigdy przedtém nie spostrzegany u niój, ceglastej barwy rumieniec wybił się na jój żółte, zapadłe policzki, wyprostowała chudą drobniuchną postać swą jak strunę i — czekała!

Czekali wszyscy. Milczenie głucho zapanowało w salonie, który, pomimo zgromadzonego w nim dość liczного towarzystwa, wyglądał zawsze, jak step nagi i rozległy. Drzwi od sieni, zamknięte po odejściu Ambrożego, nie otwierały się jednak, za niemi niedo-słyszalny dla osób w salonie będących, toczył się mały, dyalog następującej treści:

— Pawełku! wejdz ty piérwszy!

— Ale cóż znowu, Cezarzel! to nie wypada!

— Mój drogi Pawełku! tam tak dużo ludzi...

— Cóż ztąd? pomyśl-że sam, Cezary, kim ty jesteś a kim ja jestem...

— No, kimże ja jestem? kimże ja tam jestem? Mój najdroższy Pawełku! jeżeli mię choć trochę lubisz, wchodź piérwszy... ja za tobą...

— Zastanów-że się! gdyby pani hrabina dowiedziała się o tém, że ja gdziekolwiek na świecie byłem piérwszym a ty drugim...

— Ale nie dowié się, z pewnością nie dowié się! mój Pawełku! jeżeli nie wejdiesz piérwszy, ja wróćę się do domu...

— Panie hrabio! chciéj pan wejść do salonu! — głośno i uroczyście zakończył dyalog ten Pawełek, za-

razem otworzył drzwi na oścież i procederem bardzo podobnym do tego, jakiego był użył niegdyś, w celu odprowadzenia kuzyna swego od igrzyskowego słupa, tylko najbardziej, o ile być mogło, ukrytym, wprowadził go, ściślej mówiąc, wepchnął do salonu.

Na widok wchodzących, a raczej wchodzącego, generałowa podniosła się z kanapy i, ręką o stół wspierając się, wpatrzyła się w pożądanego gościa, jak w tęczę. Podniosła się z kanapy! myśleli sobie świadkowie sceny téj: dla nikogo nigdy nie uczyniła tego! Wzruszoną jest widocznie, zdaje się nawet, jakby nie wiedziała sama, co czynił czyliż-by przywiązanie do tych stryjeczno-stryjecznych ozwało się w niéj tak nagle i tak silnie! Biada nam!

Pawełek tymczasem, w pobliżu drzwi jeszcze, szepnął kuzynowi swemu.

— Idź prosto ku wielkiej kanapie, co pomiędzy oknami stoi! Maleńka dama z ponsowém piórkiem na głowie, to gospodyni domu!

Cezary kroczył tedy ku wskazanemu punktowi. Ręce jego, te wielkie, kościste ręce, których widok do rozpacy doprowadzał zwykle hrabinę Wiktoryą, nakształt dwóch, wątko przytwierdzonych wahadeł, kołysały się po obu stronach czarnego jego fraka i czarnych również *inexprimablów*, według ostatniej mody uszytych, a siłę i bujny rozrost kształtów młodego hrabiego doskonale uwydatniających. Szapoklak, pod ramieniem trzymany, zsuwał mu się wciąż na żebra,



a dla przytrzymania go na właściwém stanowisku, hrabia Cezary czynił co chwila ramionami i całą górną połową korpusu swego rozpaczliwe wysilenia. Kiedy nakoniec stanął już u kresu wędrówki swéj ciernistéj, bo utkwionemi w niego oczyma ludzkiemi najeżonéj, usta jego lekko były otwarte, a we wzroku malowała się bezdnia zmieszania. Głos generałowej przerwał nakoniec ogólną ciszę.

-- Dziękuję — zaczęła — bardzo dziękuję kochanemu Waćpanowi za to, że zaproszenie moje przyjąłeś i dom krewnéj swéj nawiedzić chciałeś! Jesteś, kochany Waćpan, podobno faworytem swego stryja... prawém okiem, prawą ręką, przybranym synem pana Światosława! Bardzo pięknie! bardzo miło! bardzo chciałam kochanego Waćpana poznać! Zabaw-żeż się kochany Waćpan w domu moim wesoło! Oto równiennicy Waćpana, młodzi kawalerowie, jak i on: panowie Tutunfowiczowie, panowie Kniksowie, pan Trzewikowski, pan Kobyłkiewicz:.. bardzo proszę! bardzo proszę! bawcie się, kochani Waćpaństwo! bawcie się!

Jednym tchem prawie wszystko to wypowiedziawszy, generałowa usiadła znowu na kanapie swéj, zdyszana, dziwnie zmieniona, rzekł-by kto nawet, że trochę drżąca. Milczenie ogólne trwało po przemówieniu jéj dość długą jeszcze chwilę. Jak po górach i wypukłościach falistego gruntu echo rozgłośnie a ponure toczy się, leci i tysiąckrotnie powtarza dźwięk,

który zabrzmiał w powietrzu, tak wśród obecnego tu zebrania od głowy do głowy toczył się, leciał i tysiąc-krotnie a ponuro w mózgach się odzywał wyraz: Biada! biada! Nikt przenigdy nie słyszał generałowej, przemawiającej takim stylem, jak ten, którym teraz do stryjeczno-stryjecznego bratanka swego przemówiła! a mówiąc, nie zachichotała ni razu, ni razu głos jej nie zabrzmiał zwykłym sobie piskliwym tonem... i wzruszoną była — to widoczna — i gdy na kanapie swój już usiadła, ceglaste rumieńce wybiły się znowu na żółte jej policzki, a batystowa chustka do połowy prawie ukryła się w drżących widocznie ustach... Tak; biada! ale także i... ideał, a raczej kawałek ideału, spadły ze słońca wielkiego stołecznego świata! I niech nikt nie ośmiela się twierdzić, że w naturze ludzkiej pierwiastki nieszlachetne biorą przewagę nad szlachetnymi, realizm nad idealizmem, interes materyalny nad wzniosłym, eterycznym popędem ducha! Zebrani goście widzieli w hrabim Cezarym z jednej strony niebezpiecznego kandydata do konkursu, z drugiej odłam, odbłysek idealnego swego świata. I miłość dla ideału przeważyła nad instynktem złotozachowawczym, i powstał z miejsc swych panowie Tutunfowiczowie, i panowie Kniksowie, i etc., i otoczyli młodego hrabiego kołem, na pozór poważnym i uprzejmym, w gruncie zaś nadzwyczaj ciekawym osoby jego i do zbratania się z nią nadzwyczaj skłonnym.

— Pan hrabia dawno w naszych stronach bawi?



— Pan hrabia tak rzadkim jest w naszych stronach gościem!

— Stolica zabiera nam większą część kwiatu naszego towarzystwa!

— Słyszeliśmy, że panowie hrabiowie nie myślą już nigdy osiedlić się w naszych stronach! i t. d. i t. d.

O! gdyby tu, na miejscu brata swego, był hrabia Mścisław! Jakże jasno, jak świetnie przedstawić-by zdołał ów świat idealny, którego barw i blasków nadaremnie w hrabim Cezarym upatrywała, zebrana do koła niego, wykwintna młodzież powiatu N! Hrabia Mścisław dopiero mógł-by ukazać im to lekkie zaniebdanie układu, połączone przecież z najstaranniejszą przyzwoitością, tę pyszną obojętność na wielkie rzeczy, do świata ziemskiego należące, to głębokie znużenie życiem, tém cenniejsze, im w młodszym doświadczone wieku, tę nakoniec postawę, ten wzrok, ten uśmiech, w których malowało się jasno wysokie poczucie własnej godności i doskonała wiadomość o tém, kim był i co się mu od reszty bliźnich jego z prawa i słuszności należało! Był-by to dopióró wzór, model, żurnal, według którego mówiło-by, chodziło, uśmiechało się i patrzyło wszystko co tylko w powiecie N. widzieć go miało szczęście! Ale hrabia Cezary... Przemawiając do niego, a zarazem, w sposób jak najmniej dostrzegalny, opatrując go od stóp do głowy, młodzież powiatu N. jednomyślnie myślała: „Czy podobna!” *est-il possible!* Zmieszany był nieborak naj-

widoczniej; szapoklak swój trzymał nie na żebrach już, jak wprzódy, ale w obu rękach, spuszczonech w całej długości, a wyraźnie niewiedzących, co z sobą czynić mają; na liczne, zwrócone ku niemu odezwy, odpowiadał półsłówkami i, z pozoru przynajmniej sądząc, zdawał się niczego więcej nie pragnąć, jak możliwości wycofania się z otaczającego go grona i schowania się, albo za staroświecki komin, zapełniający jeden z odległych kątów salonu, albo za równie staroświecki fortepian, stojący w kącie innym. Młodzież powiatu N. myślała dalej: — Drwi z nas sobie wyraźnie! posponuje nam! gra komedią, aby nas w pole wywieść!

Na myśl tę bracia Tutunfowiczowie wyprostowali się w całej swój wysokości, a że w tej chwili właśnie jeden z Kniksów zapytywał hrabiego, czy Malewszczyzna jest już sprzedaną i otrzymywał krótką odpowiedź przeczącą, najstarszy z Tutunfowiczów, biorąc to za assumpt do wypowiedzenia przekonania swych, zaczął w ten sposób:

— Wcale się nie dziwiłem panu hrabiemu, słysząc, iż ma zamiar wyprzedać dobra swe, tu posiadane. Pan hrabia myśli zapewne o expatryowaniu się. Najzupełniej to pojmuję. Ja sam, gdybym tylko znalazł dobrą sposobność wyprzedania się, uczyniłbym to i expatryował-bym się. Życie w tych stronach stało się niepodobnym. *La vie est devenue ici out à fait impossible!*



— Dlaczego? — z cicha i z wyraźném zdziwieniem zagadnął hrabia Cezary.

— O! pan hrabia nie znasz widać tych stron, jeżeli się o to zapytywać możesz — ciągnął najstarszy z Tutunfowiczów. — *C'est un désert!* to pustynia! Towarzystwa wcale nie mamy, i gdyby nie dom pani Generałowej, w którym zbieramy się od czasu do czasu, tak.. nielicznie... w małym familijném kółku... mogliśmy doprawdy zapomnieć, jak wygląda dziesięciu przyzwoitych ludzi, razem zebranych...

— Doprawdy! czy w powiecie N. wszyscy obywatele są.. są tak.. nieprzyzwoitymi? — z doskonałą naiwnością zagadnął hrabia Cezary.

— Obywatele! — uśmiechnął się gorzko najstarszy Tutunfowicz — i któż tu z obywateli pozostał? *C'est sont des rustres, des gens de rien!* Są to gbury, ludzie... no ludzie... zupełnie nie! a z pretensjami to! z fumami takimi, że niewiadomo doprawdy, jak się od nich opędzić! Przedstawi sobie pan hrabia, jakie się tu dzieją awantury! Ci ludzie przywłaczają nawet sobie cudze nazwiska... tak np. wiadomo wszystkim, że w gubernii N. nie było nigdy innéj familii Tutunfowiczów, prócz naszéj, to jest téj, z której ja i bracia moi pochodzimy... Pieczętujemy się herbem *Podkowa* na złotém polu i jesteśmy jedynymi prawdziwymi Tutunfowiczami. Tymczasem, *figurez-vous comte*, — po tych tam zamieszaniach, które cały kraj nasz przemieniły w jakiś bigos... demokratyczny...

wcale niesmaczny... zjawiają się tu i tam jacyś Tutunfowiczowie, ani wiem jacy... wcale inaczej niż my pieczętujący się... jacyś szlachcice okoliczni... dorobkowicze... mówię panu hrabiemu *des gens de rien*... Przyjeżdżam raz do miasta... byłem trochę słaby... pytam się: jaki tu jest najlepszy doktor? Powiadają mi: Tutunfowicz! Jadę koleją, jedzie ze mną dwóch facetów... bez maniery żadnej... bez żadnego widocznie pojęcia o dobrém towarzystwie... przy końcu podróży prezentują się mnie: Tutunfowiczowie, inżynierowie przy drodze żelaznej! I tak dalej i tak dalej! Nudziło mię to z razu, potem zniecierpliwiło! Imię, pozostawione nam po przodkach, jest rzeczą ważną i świętą, nie można spokojnie patrzeć na to, *quand on le traine dans la boue*... gdy je tarzają w błocie... Postanowiliśmy ja i bracia moi wyłączyć się stanowczo z téj gromady nowonarodzonych Tutunfowiczów, zaczęliśmy rozglądać się w naszych familijnych papierach i, cóż pan hrabia powie? znaleźliśmy, że istotnie Tutunfowiczów było zawsze wielu, ale my... to jest familia, z której pochodzimy, nosiła niegdyś nazwisko Tynf, do którego potem dopięro, w skutek małżeństwa jakiegoś, dodaném zostało Tutunfowicz... Jesteśmy więc w rzeczywistości nie Tutunfowiczami, ale Tynfami, że jednak urzędowo znani jesteśmy pod pierwszym nazwiskiem, podpisujemy się tedy od lat kilku: Tynf — Tutunfowiczami... Cała ta historia warta wydrukowania... tak jest doprawdy charaktery-



styczną... tak dobrze maluje naszą biedną prowincją i wszystko, co się tu od pewnego czasu dzieje... Zawsze to jednak przykro... bardzo przykro...

— Bardzo przykro! — niby bierne echo szepnął hrabia Cezary, wysłuchawszy całego opowiadania nowego znajomego swego z szeroko otwartemi oczyma, w których malowało się nieudane bynajmniej zdziwienie. O wielu, wielu bardzo imionach arystokratycznych słyszał on był od matki swój, od obu stryjów swych i od brata, ale o imieniu Tutunfowiczów, ani Tynfów, nie słyszał nigdy. Namysliwszy się tedy dobrze nad tém, co mu powiedzieć wypadało, z pewnym jednak wahaniem się w głosie, zapytał:

— Więc familia panów jest zapewne... zapewne tak wielka, jak i familia Pompalińskich?

To niesłychane a publiczne i tak wyraźne przyznanie się do wielkości własnej familii, najwyższym zdumieniem napełniło słuchaczy. — Zartuje z nas sobie wyraźnie — pomyśleli i już mieli obrazić się, gdy najmłodszy z Tutunfowiczów, znany powszechnie z pantaliku swego, z którego niczém zbić go nie było można, odezwał się na-pół żartobliwie, na-pół dumnie.

— Wychodząc z naszej staropolskiej zasady, iż „szlachcic na zagrodzie, równy Wojewodzie!” śmiało utrzymywać możemy, iż ród nasz nie ustępuje żadnemu z największych rodów krajowych!

— To szkoda! — najniespodzianiej w świecie szepnął hrabia Cezary.

— Dlaczego? — chórem zapytali słuchacze, do najwyższego już stopnia zdumieni.

— Bo... — zaczął młody hrabia... — bo ja myślę że... że daleko wygodniej jest nie pochodzić z wielkiego rodu...

Aha! pomyślała młodzież powiatu N., — jesteśmy w domu! marzycieli! filozofi! nowomodny hrabia — demokrata!

— Zapewne! zapewne! — zgodził się pośpiesznie jeden z Kniksów — odpowiedzialność mniejsza... większa swoboda... *noblesse oblige!*...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale spójrzawszy przelotnie w okno i, przerywając sobie, zawołał;

— *Voici Maman!*

— *Voici Maman!* — jak zbiorowe echo powtórzyły za nim okrzyk ten panie Sylwia i Romania.

Za oknami przesunęła się w istocie karetka na saniach, ciągnięta czterema, w lice założonemi końmi, a po chwili otworzyły się drzwi od sieni i do salonu weszła pani *Zulietta*, prowadząca pod rękę najmłodszą córkę swą, piękną *Delicyą*.

O! jaka to była mądra i przebiegła matka ta pani *Zulietta!* Wiedziała ona bardzo dobrze, dlaczego przyjeżdżała tak późno, wtedy mianowicie, gdy była pewną, że wszystkich co do jednego zaproszonych gości generałowej znajdzie, zgromadzonych już w salonie! Wiedziała ona doskonale, że niema na świecie efektowniejszego, jak młoda i piękna panna, któ-



ra, wdzięcznie na ramieniu dość młodej i dość pięknej jeszcze matki swój zwieszona, przebywa zwolna ogromny salon, wyosobniona z pośród reszty towarzystwa, a więc wyraźnie i w pełni wszystkie dobre strony swój powierzchowności oczom widzów przedstawiająca! Co innego bywa zupełnie, gdy, przybywając, gość ujrzy tę samą pannę, siedzącą pośród liczego towarzystwa. Wtedy migocą mu w oczach różne twarze i różne barwy, wtedy może jęj nawet nie zauważyć wcale, nie odróżnić z pomiędzy innych, z blizka otaczających ją, kobiet. Było to wyrachowanie pani *Zulietty* jedno. Wyrachowanie jęj drugie ujawniało się w stroju, którym przyoblokła dnia tego piękną swą córkę. Delicya, wbrew wszystkim, przyjętym w Odrzenicach, zwyczajom, ubrana była w suknię z białego kaszmiru, niewygorowaną wcale, owszem bardzo skromnie aż po samę łąbędziałą szyję zapiętą, a powłóczytą, malowniczo opływającą ją bogatemi, lecz dziwnie dziewiczo i anielsko jakoś wyglądającymi draperyjami miękkiej materji. I tylko rękawy u sukni pozwoliły sobie być krótkimi, a w zamian, gazowe, przezrocyste rękawki, nakształt skrzydeł zwiniętych, osłaniały ramiona młodej panny o tyle tylko, aby doskonałe kształty ich i prawdziwa białość nie pozostawały w zupełnym przed oczyma świata ukryciu. Skromnie uczesane, ogromne, tak jasno-płowe, iż popielate pra-

wie, włosy Delicyi, stroiła jedna tylko, świeżo z wazonu wyjęta, blado-różowa *rosa-thea*.

Strój ten dziewiczy i poetyczny, a zarazem wszystkie wdzięki postaci doskonale uwydatniający, skomponowanym był na zasadzie może słów generałowej, uwiadamiających troskliwą matkę o tém, że hrabia Cezary miał w sobie wybitne romantyczne usposobienia, a może téż i pod dyktandem tego przedziwnego instynktu, który dla macierzyńskiego serca bywa tém, czém intuicya dla poety... trafném niezmiernie domyślaniem się, odgadywaniem, jasnowidzeniem, układaniem, słowem, całego skieletu mamuta, na mocy jednego posiadanego żeberka.

Przyznać téż trzeba, że nie nadaremnie pani *Zu-lietta* najmłodszą córkę swą nazywała Aniołem, posiadała ona bowiem ten właśnie rodzaj powierzchowności, w jakim kochają się malarze, przedstawiający na płótnach swych Aniołów.

Drobniuchna, niezmiernie kształtna, miała ona twarzyczkę okrągłą, z niezmiernie białą i delikatnymi rumieńcami okraszoną, cerą; usteczka małe, purpurowe i trochę zawsze w uśmiechu otwarte, jakby dla pokazania dwóch rzędów pięknych, jak perły, ząbków; oczy duże, błękitne, z brwią cienką i ciemną, charakterystycznie odbijającą przy popielatym war-koczu, otaczającym czoło.

Nigdy jeszcze Delicya nie wyglądała tak pięknie, jak dnia tego, a szczególniej tak niewinnie, poetycznie,



dziewiczo, anielsko. Nigdy też hrabia Cezary nie patrzył na kobietę żadną, (z wyjątkiem może owój jasnowłosej panny służącej, dla której z miłości, dostał był tyfusu), tak długo i z takiem zajęciem, jak na tę prześliczną istotę, zwolna przebywającą ogromny salon generałowej.

— Kto to? — zapytał z cicha jednego z młodych Kniksów, którzy stali po obu stronach.

— To nasza siostra, panie hrabio—odpowiedzieli młodzieńcy.

— A ta druga pani... starsza?...

— To nasza matka, panie hrabio!

Pani *Żulietta* w tój właśnie chwili skończyła całowanie rąk generałowej i, zasiadając na fotelu, wdzięcznymi skinieniami głowy witała opodal stojących synów. Być może, iż synowie zaczęli się domyślać czegoś ukartowanego. Spóźniony przyjazd matki, niezwykła, jak na to miejsce, toaleta Delicyi, żywsze, niż zwykle, rumieńce, które wybiły się na białą twarz pani *Żulietty*, w chwili, gdy wzrok jój szybko i przelotnie przesunął się po skromnie na uboczu stojącej postaci hrabiego,—wszystko to nasunęło może młodym Kniksom pewne myśli... przypuszczenia... dość, że starszy z Kniksów, z bardzo eleganckim kołysaniem się na obie strony i niezmiernie wdzięcznym uśmiechem, ująwszy pod ramię hrabiego, wyrzekł:

— *Vous permettrez, comte?*

I najzupełniej niewiedzącego, co z nim czynić zamierzają, pociągnął w stronę kanapy i fotelów.

— *Maman!* — rzekł, stając przed matką — pan hrabia Pompaliński!

Tu obrócił się wraz z hrabią ku innemu fotelowi i z małą odmianą powtórzył:

— *Delicyo!* pan hrabia Cezary Pompaliński!

Pan hrabia uklonił się dwa razy, i w straszliwy popadł kłopot z rękoma swemi, dla których żadnym sposobem nie mógł obmyślić naprędce właściwej sytuacji, zwłaszcza, że tkwił w nich ciągle okrągły i płaski, jak półmisek, szapoklak. W najdrażliwszych jednak położeniach, takt kobiety umie zarzucić od brzegu od brzegu leciuchny mościk i pierwsze lody zręcznie przełamać. Pani *Zulietta* rozkosznym gięstem wskazała hrabiemu sąsiedni fotel, a gdy on, domyśliwszy się, iż oznaczało to zaproszenie do konwersacyi, usiadł na nim, zaczęła:

— Miałam kiedyś przyjemność widywać panią hrabinę, matkę pana hrabiego, w porze, kiedy hrabiówstwo mieszkali jeszcze w naszych stronach. Cieszę się bardzo, że poznać mogę bliżej jednego z członków rodziny, związanej przecież z nami niejakim węzłem powinowactwa.

— Doprawdy? — zapytał hrabia Cezary, zdziwionemi oczyma patrząc na mówiącą — nigdy bowiem nie słyszał od matki swój, ani od stryjów, aby Kni-



ksowie byli w jakimkolwiek stopniu krewnymi Pompalińskich.

— Tak — potwierdziła pani *Żulietta* — przez panią generałową, naszą najdroższą, najlepszą ciocię... Ciocia przecież jest Pompalińską z domu, a ja rodzę się...

— Ze Skórkowskiej, cioteczno-wujecznej siostrzenicy mojej stryjecznej babki! — zapiszczał obok rozmawiających ostry głosik generałowej.

Pani *Żulietta* zarumieniła się do szkarłatu. Tracenie kontenansu nie leżało jednak ani w naturze jej, ani w interesie. Uśmiechnęła się słodko do najdroższej cioci, poczem, zwracając się do hrabiego i bystro na niego popatrzawszy, a ze spójżenia tego wywnioskowawszy, że genealogiczne wywody nie stanowiły dla niego najbardziej zajmującego przedmiotu do rozmowy, zaczęła z innego tonu.

— Ran hrabia lubi wieś? — zapytała.

Cezary ożywił się trochę.

— Bardzo lubię — odpowiedział, przestając oglądać paliowe rękawiczki i podnosząc głowę — chciałbym bardzo mieszkać na wsi...

— O, to zupełnie, jak my! ja i Delicya przepadamy za wsią, i nigdy-byśmy się nie zgodziły zamieszkać w mieście. Ta cisza wiejska... ta zieloność drzew... ten śpiew słowika w Maju!.. a w jesieni te żółte liście na drzewach!...

— To bardzo ładne! — wtrącił hrabia, ożywia-

jący się w miarę, jak pani *Zulietta* malowała przed nim z uniesieniem wszystkie piękności i uroki wiejskiej przyrody.

— *N'est-ce pas?* prześlizchnel! Całą wiosnę nic nigdy nie robimy z Delicyą, tylko sadzimy i podlewamy kwiaty... Delicyo! pamiętasz, *mon enfant*, tę różę, która w tym roku pod oknami naszymi zakwitła... tak była wielka, że, gdy wędła, przeliczyliśmy jej listki... ile to ona listków miała... nie pamiętasz, *Delice?*

Zainterpelowana w ten sposób, na pobliskim fotelu siedząca panna, zmieszała się widocznie. Nie posiadała snadź ona w téj mierze daru improwizowania naprędce sielankowych ustępów, bo zapłoniła się rumieńcami i za całą odpowiedź coś bardzo cichego i niewyraźnego wymówiła. Interpelacya jednak pani *Zulietty*, jakkolwiek nie oświeciła towarzystwa pod względem ilości listków, zawierających się w cudownej róży, osiągnęła przecież skutek pożądaný. Hrabia Cezary patrzył na Delicyą.

Patrzył i miał widocznie, wielką ochotę przemówienia do niéj. Bieda była w tém tylko, że i nie wiedział co mówić, i nie śmiał odezwać się. Spójrzył parę razy na swoje rękawiczki i, zaczerpnąwszy z nich jakby natchnienia, bardzo cicho zagadnął:

— Czy pani była w Warszawie?

Delicya podniosła śliczną swą główkę i odparła.



— O! byłam tam nieraz!

Słowa na pozór mało znaczące, lecz jakie towarzyszyło im spójrzzenie miękkie i powłóczyste! co za uśmiech wtórował im łagodny, smętny jakby nieco, a tak awantażownie dwa rzędy białych ząbków prezentujący! tego już żaden język nie opowie i żadne pióro opisać nie potrafi.

— Jakże pani podobała się Warszawa? — z większą jeszcze nieśmiałością, niż przedtém, zapytał młody hrabia.

Pani *Żulietta*, usłyszawszy pytanie hrabiego, struchlała w duchu. Nuż Delicya wyrwie się z czémś nie stosowném i powie naprzykład, że uwielbia Warszawę, gwar jój, blask i rozmaitość, tak, jak było w rzeczywistości! Cóż to będzie za rozdźwięk fatalny z sielankowemi, pełnemi czułej niewinności gustami, objawionemi tylko co przez matkę jój i — młodego hrabiego! Ale naprózno trwożyła się pani *Żulietta*. Córka niewiasty, tak biegłej w kombinacjach dyplomatycznych, musiała posiadać także wykształcenie dyplomatyczne, do dość wysokiego przynajmniej stopnia posunięte. Jakoż Delicya odpowiedziała z pełną wdzięku szczerotą i prostotą:

— O! ja tak tęskniłam zawsze w Warszawie do naszej kochanej wioski! Turkot, wrzawa i zabawy wielkiego miasta nudzą mnie bardzo i męczą!

— To zupełnie, jak mnie! — dość już głośno wy-

mówił Cezary, który widocznie ożywił się i ośmielał coraz bardziej.

— Jakież jednostajne gusta mają ci młodzi państwo! — piskliwiéj jeszcze, niż zwykle, zawołała generałowa. — Hrabia Cezary lubi wieś i moja wnuczka lubi wieś! moję wnuczkę męczy ruch wielkiego miasta i hrabiego także męczy! Co za podobieństwo inklinacyi! jaka zgoda bezprzykładna! chi, chi, chi! bezprzykładna!

Hrabia Cezary zwrócił się do mówiącéj tak pani, ruchem pośpieszniejszym, niż bywały zwykle jego ruchy, i ukłonił się. Dlaczego to uczynił? Określić trudno. To tylko pewna, że w fizyognomii jego zaszła od chwili zamienienia z Delicyą kilku zdań powyższych, zmiana widoczna. Ożywiła się ona znacznie, a w oczach hrabiego, mglistych wprzód i załęknionych, błyskała teraz iskra żywo uczuwanego zadowolenia. *Le pauvre César* posiadał w charakterze swym skłonność do cieszenia się małemi rzeczami...

Generałowa podniosła się z kanapy, i rzekłszy prędko:

— Proszę państwa na obiad! proszę! proszę!

Drobniutkim kroczkiem pobiegła ku drzwiom sąsiedniej sali, ugrupowanie się i porządek pochodu towarzystwa pozostawiając gościom i upodobaniom składających je osób. To téż wśród towarzystwa tego, dążącego ku drzwiom, w których zniknęła genera-



łowa, utworzyły się liczne grupy i zawiązały się krótkie, ciche dyalogi.

— Kochana Sylwio! co ci się dziś stało? dlaczego jesteś tak blada? — zapytała pani *Zulietta* najstarszą swą córkę.

— Czyż mama nie czuje, że zimno tu, jak w lodowni; skamieniałam cała...

— Romano! — mówił do żony swój Perła Trzewikowski — czy ta przeklęta baba postanowiła nas tu zamrozić?

— W istocie, musi ci być bardzo zimno, bo masz nos, jak u gila! — odparła małżonka.

— I twój nosek, Romciu, wcale nie lepiej od mego wygląda!

— Czy wiesz, Konradzie — szepnął swemu bratu najstarszy Tutunfowicz — że ta stara czarownica ma wyborne sposoby torturowania ludzi. Drzę cały od chłodu i obawiam się, abym nie dostał znowu zapalenia gardła, jak po ostatniej tu bytności...

— Ba! — pochwycił zbliżający się do dwóch braci Kniks — zaśpiewasz dopióro cienko, gdy się dobrze wygłodzisz... co to będzie za obiad!

— *Maman!* — mówił drugi Kniks do matki — odbywa się tu dziś, jak widzę, gra w łapanego...

— *Chut, Ladislas!* wytłomaczę ci to wszystko w domu...

— Nie płacz, Julisiu! babcia będzie się gnie-

wać! — szeptała do ucha córeczce swój pani Romania.

— Kiedy zimno, mamó! hu, hu, hu! jak zimno!

— Brrrr! jak zimno! — zatrzęsała się pani Sylwia....

— Oj, oj, oj! jak zimno! — zajęczeli jednogłośnie państwo Trzewikowscy.

— Hu, hu, hu, hu! — zabrzmiało nakształt roju pszczoł całe towarzystwo, z wyjątkiem jednego Woryły, który, bez najmniejszej ceremonii, z całej siły płuc swych potężnych, w palce swoje dmuchał, a do Pawełka bez najmniejszego cienia tajemniczości mówił:

— Panie, odpuść mi ciężkie grzechy za te wizyty moje tutaj, i za to marznięcie wszystkich członków moich! Niech mnie dyabli wezmą, jeśli ja się tu w słup lodu nie zamienię! Ha! cóż robić? mówią, że dla dobra dzieci jeździć tu trzeba, to i jeżdżę, ale, jak Pana Boga mego kocham, zbuntuję się kiedykolwiek i nie pojedę... niech tam sobie, co chcą, gadają, nie pojedą!

Tu był kres wszystkich szeptów, trzęsień się i wyrzekań, albowiem towarzystwo wchodziło do sali jadalnej, gdzie na jedném z krzeseł, stół otaczających, siedziała już generałowa.

— Zdaje się, że tu zimno dziś trochę! -- zawołała, ujrzawszy wchodzących.—Czy kochanym Waćpań-



stwu nie zimno? co? mnie bo nigdy nie zimno, ale kochanym Waćpaństwem...

— Ale bynajmniej, najdroższa ciociu...

— Gdzież-by tam, babunieczko...

— Wcale nie...

— Mnie przynajmniej zupełnie jest ciepło...

— Rzecz nawet szczególna, w jak doskonały sposób zbudowane tu są piece, że, pomimo obszerności salonów, jest zawsze tak ciepło...

— A prawda! kilka razy już obiecywałam sobie piece te rozpatrzeć, i podobne kazać u siebie urządzić....

Generałowa słuchała wszystkich tych odezwań się z niepospolicie u niej nawet ostremi, a na wszystkie strony latającymi błyskami oczu. Zarazem chichotała z cicha, przeciągle, i chustkę swą coraz głębiej do ust wkładała. Ostatni ze wszystkich odezwał się Woryłło.

— Już to, co do mnie — rzekł — jeżeli mam otwarcie przyznać się pani dobrodziejce, jestem bardzo drażliwy na chłód, i znajduję, że tu porządnie jest zimno... Ręk nie czuję prawie, tak mi skostniały od chłodu.

Liliowo blada od zimna twarz pani Silwii zsiniała od gniewu, na ten buntowniczy wyskok małżonka, ale generałowa wyjęła z ust chustkę, wlepiła w Woryłkę błyskające oczy i zawołała:

— Ręce zimne, serce gorące! gorące kochany waćpan masz serce...

Umyślnie, czy przypadkiem, nie dokończyła i, zwracając się ku drzwiom do salonu, zawołała:

— Ale gdzież jest pan hrabia i gdzież jest Delicya? nie widzę ich tu! nie widzę! dlaczego nie przychodzą?

Bał dlaczego nie przychodzili! powód tego był bardzo prosty, ale zarazem i wielce niepospolity. Oto, gdy całe towarzystwo ruszyło już było do stołu, pani *Zulietta, par mégard* zapewne, pozostawiła córkę swą siedzącą, jak siedziała. Delicya też nie ruszała się z miejsca przez chwilę. Nie ruszał się też ze swego i hrabia Cezary. Wiódł wzrokiem za odchodzącymi, to patrzył znowu na piękne swoje *vis-à-vis*, zajęte w téj chwili właśnie przyglądaniem się rzeźbionemu z brązu postumentowi lampy. Ciężko mu było odejść, pozostać — niepodobna, czuł to sam dobrze.

— Gdyby tak pójść z nią razem — pomyślał. — Ale jak? ona ani myśli wstać z krzesła!

Przypomniał sobie, jak to na wielkich obiadach, w których brał udział, mężczyzni podają ramię damom, aby je do stołu prowadzić. Podać więc jéj ramię i poprowadzić? Łatwo to pomyśleć, ale nie łatwo wykonać. Nie śmiał. Po chwilowém wahaniu się, powstał jednak. Powstała także i Delicya.

— Jakie to piękne rzeźby — rzekła, wskazując postument lampy.



— A prawda, bardzo piękne! — odpowiedział hrabia, i stali tak znowu chwilę naprzeciw siebie, nieruchomi, jak posągi: ona wpatrzona w postument, on w nią.

Tymczasem ostatnia już z towarzystwa osoba zniknęła w drzwiach jadalni. Delicya oderwała wzrok od postumentu i, ze zwieszonemi na suknię rączkami, oddaliła się od stołu. Oddalała się tak powoli, że hrabia Cezary miał czas do namysłu, jakoż namyślił się, i z nagłą determinacją wsuwając szapoklak swój pod jedno ramię, drugie podał odpływającój ku środkowi salonu dziewczycy. Serce jego biło mocno, bardzo mocno, w chwili szczególniej, gdy Delicya, składając, przykryte zwiniętóm gazowém skrzydłem, białe swe ramię na jego ramieniu, zapytała przyciszonym, melodyjnym głosem.

— Pan hrabia długo zabawi w naszych stonach?...

— To jest... nie wiem doprawdy...

— Bo — podchwyciła Delicya, spuszcżając oczy i uśmiechając się uroczo — jeżeli pan hrabia nie uleci ztąd prędko na ten wielki szeroki świat, o którym wiem z opowiadań tylko...

Tu zatrzymała się na chwilę.

— Chciał-bym jak najpóźniej w ten świat ulecieć! — odparł młody hrabia.

— Więc może pan hrabia zechce odwiedzić sąsiadów swych — dokończyła Delicya. — Mama nad-

zwyczaj lubi gości, i pan hrabia zrobi nam wielką przyjemność!...

— Będzie mi bardzo przyjemnie... — zaczął hrabia, ale przerwała mu Delicya z figlarnym uśmiechem.

— O! nie, nie wierzę, aby panu hrabiemu było przyjemnie...

— O! niech pani wierzy! — z zapalem już prawie przerwał hrabia, i z temi słowami weszli do jadalnego salonu.

Przy stole dwa już tylko krzesła niezajętemi były, zasiadła na nich młoda para, obok siebie. Po drugiej stronie hrabiego siedział Woryłło, za nim zaś umieszczony Pawełek przechylił się na swém krześle i bardzo cicho szepnął do Cezarego:

— Cezary! dlaczego nie zostawiłeś w salonie swego kapelusza?

Zagadnięty zmieszał się niezmiernie, i już - już chciał wstawać od stołu, aby przedmiot nieustannego frasunku swego odnieść na stosowniejsze miejsce, kiedy w téj chwili zwrócił się do niego Woryłło i obcesowo nieco wymówił:

— Szczerze wieszuję panu hrabiemu, szczerze cieszę się z tego, że pan hrabia nie pozbył się swój Malewsczyzny.

Odezwaniam się tém powstrzymany w zapędzie i na nowo z pantaliku zbity młody hrabia, złożył sza-



poklak swój na kolanach, i po niejakiém wahaniu się odpowiedział:

— Rzeczywiście, ja sam rad jestem z tego... lubię bardzo wieś... i Malewsczyznę lubię...

— Co bo téż to za majątek... — zaczął Woryłło.

Tymczasem przy bocznym stoliku, Leokadya rozlewała zupę z ogromnej srebrnej wazy na prześliczne talerze z porcelany saskiej. Ambroży roznosił dokoła stołu talerze te, w których pływała zawartość nieokreślonego rodzaju, coś nakształt wody ciepłej, różowo zafarbowanej i na mętnych swych toniach kołyszącej po kilka smętnych, samotnych krupek. Goście ujęli łyżki i z wielkim jednak, na pozór przynajmniej, apetytem, zajadać poczęli ciepłą wodę. Jeden tylko Woryłło, zakosztowawszy oniej niepojętego smaku i wyglądu potrawy, złożył spokojnie łyżkę swą na talerzu i mówił dalej do hrabiego:

— Malewsczyznę nabył był dziad pana hrabiego od podkomorzostwa W., zacnych nadzwyczaj, świętych ludzi... Majątek ten od niepamiętnych czasów zostawał w ręku rodziny W. Stanowił on punkt główny, do którego zjeżdżało się co tylko w województwie całym było najzacniejszego i najrozumniejszego. Odbywały się tam narady sejmikowe, zbierały konfederacye...

Cezary słuchał mowy téj sąsiada swego z wielką uwagą.

— Pradziwie — odrzekł — nie wiedziałem wcale o tych historyach... które mi pan opowiedział... ale to piękne historye...

— Bardzo piękne... — ze smutném jakoś na hrabię spójrzaniem ciągnął Woryłło — to téż nie godzi się, nie godzi się, doprawdy, wypuszczać z rąk swych pamiątek, i szczerze panu hrabiemu winszuję, iż namyśliłeś się pan i Malewsczyznę przy sobie zostawić.

— Ja także cieszę się z tego — powtórzył hrabia — i, jak tylko przyjadę do Malewsczyzny, muszę zaraz obejrzyć stary zameczek i téj... sali przypatrzeć się lepij...

— Warto! warto! markotnie jakoś dokończył Woryłło.

Cezary zaś zamyślił się tak, że łyżka, którą trzymał w ręku, zawisała beczynnje nad talerzem, a oczy jego machinalnie ściagały wędrówkę krupek, samotnie żeglujących po różowawej powierzchni ciepłej wody. Opowiadnie Woryłły wbiło mu widocznie, jak to mowią, klina w głowę. Z zamyślenia tego wyrwał go przecież wkrótce melodyjny, przyciszony głosik Delicyi.

— I my także — z rozkosznym uśmiechem przemówiła dziewica — i my także jesteśmy bardzo radzi z tego, że Malewsczyzna sprzedaną nie została... Pan hrabia, *bon gré malgré*, będzie musiał zostać naszym sąsiadem...



Słowa te, a bardziej może głos, jakim wymówionemi były, uczyniły na hrabim pewne wrażenie. Zwrócił się ku pięknej sąsiadce swój i z błogim na ustach uśmiechem zapytał:

— Czy doprawdy panią obchodzi to choć troszeczkę, czy ja zostanę sąsiadem państwa czy nie?

— Ależ bardzo, bardzo obchodzi to nas wszystkich! — figlarnie śmiejąc się, odparła Delicya. — Tak mało mamy tu towarzystwa... tak mało osób takich... takich... z którymi...

— Ależ pani mnie zna tak mało! — nieśmiało zarzucił hrabia.

— Alboż trzeba znać długo, aby ocenić... alboż pan hrabia nie wierzy w przecucie serca, które uwiadamia nas o kimś, czy będzie nam z nim przyjemnie, czy nie!

Twarz hrabiego rozpromieniała się coraz bardziej.

— Więc pani... pani wierzy w serce? — zagadnął z cicha, poczem, jakby mu coś bardzo przykrego nasunęło się na pamięć, mówił dalej z odcieniem wyrażonego smutku w głosie:

— Ja bo, widzi pani... nieraz słyszałem... że serce zwyciężać trzeba... dla wyższych familijnych interesów... i, że kto tego nie robi... ten jest *bon à rien!*

Delicya podniosła nagle do ust chusteczkę, co mogło oznaczać zarówno żywe wzruszenie, ja-

ko téż gwałtowną potrzebę ukrycia napastującego ją śmiechu. Bardzo prędko jednak odzyskała równowagę władz swych i, z przeciąglém na hrabiego spójrzeniem, zapytała:

— A pan hrabia jakiego jest zdania pod tym względem?...

— Mnie bardzo trudno jest zwyciężyć serce... to téż mama zawsze mówi: *mon pauvre*...

Już-już miał zwierzyć się Delicyi ze swych domowych zmartwień, gdy uczuł lekkie trącenie w ramię, w skutek którego uczynił na krześle skok nieco zbyt gwałtowny i twarz od towarzyszki swój odwrócił. Trącenie było dziełem niezgrabnego już nieco, w skutek starości, Ambrożego, roznoszącego dokoła stołu srebrny półmisek, na którym w niezupełnie malowniczym nieładzie, spoczywały straszliwie chude i straszliwiej przypieczone członki dwóch, na rzecz uroczystości dzisiejszej zamordowanych, kogutów. Goście z gorliwością, godną lepszego powodzenia, zabrali się do dyssekowania kogucich szkieletów.

Bądź co bądź, głodni byli okrutnie, a niezmiernie niska temperatura mieszkania, nadwężając giętkość i siłę ich palców, utrudniała robotę. Skrzypiały noże, uginały się widelce, kości kogucie, przykryte cienutką zaledwie, a od przepalenia rudawej barwy skórą, wyskakiwały z pod uciskających je narzędzi ze swawolą nieposkromioną, i wyprawiały na talerzach godne podziwu skoki i harce. Woryłło piérwszy po-



rzucił niewdzięczne zadanie, po nim złożył swój nóż i widelec hrabia Cezary.

— Pan hrabia nie jé? — z szyderskim nieco uśmiechem na dobrodusznych wargach, zagadnął sąsiada swego Woryłło.

— Kiedy pieczyste to bardzo... twarde! — najzupełniej dobrodusznie odparł hrabia — wszystko mi jedno zresztą... nie jestem głodny...

— A to szczęśliwie! — obracając się do Pawełka, sarknął szlachcic — bo co ja, to powiem otwarcie, że zdycham z głodu...

Cezary jednak mówił prawdę. Nie myślał on w téj chwili bynajmniej o jedzeniu. Delicya, która półmisek z pieczystem usunęła od siebie lekkim skinieniem dłoni i nie jadła wcale, wyciągnęła teraz rękę po karafkę z wodą, i nalewała jéj sobie do szklanki. Gdy to czyniła, przed oczyma młodego hrabiego mignęło parę razy, raz po raz, przysłonione gazowém skrzydłem, białe, jak alabaster, jéj ramię.

Młody hrabia wpatrzył się w to arcydzieło natury tak uporeczywie, że nie zauważył znowu starego Ambrozego, który, po odebraniu od gości talerzy z kuguciami kośćmi i obdzieleniu ich innemi, roznosił dookoła stołu inny znowu półmisek. Na półmisku tym piętrzyła się legumina, bardzo smaczna, jakkolwiek niewybredna, bo nosząca nazwę: kartofli w mundurach.

Tu nastąpiła inna znowu, jakkolwiek dziwniejsza jeszcze może, niż z koguciami szkieletami awantura. Kartofle były bardzo gorące, a goście okrutnie głodni. Głodne usta gości, stykając się z gorącymi kartoflami, poczęły parzyć się niemiłosiernie i, pomimo wszelkich usilności woli, sykać i dmuchać. W dodatku, aby spożyć leguminę tę, trzeba było wprzódy ogołocić ją z munduru. Dokonać tego niepodobna było inaczej, jak za pomocą białych paluszków dam, i również prawie białych, bardzo wypieszczonych palców mężczyzn. Parzyły się tedy usta, piekły się, a co gorsza, brudziły się kartoflowemi łupinami palce, talerze, okryte szczątkami mundurów, wyglądały nadzwyczaj nieestetycznie, do tego stopnia nieestetycznie, że, aby nie przedłużać widoku tego, panie bardzo prędko zakończyły jedzenie, a panowie, energiczniejszym apetytem obdarzeni, pożerali i gorące kartofle, i okrywające je, przypalone, więc gorzki smak posiadające, mundury.

Generałowa przecież dawała ze swój strony towarzystwu całemu przykład spartańskiego iście przedstawiania na małym. Ze smakiem widocznym, jakkolwiek powoli bardzo, zjadała kartofle, a w przestankach jedzenia, bardzo głośno i bardzo piskliwie mówiła:

— Nieosobliwym, wcale nieosobliwym obiadem poczęstowałam dziś kochanych Waćpaństwa, (szmer grzech nój bardzo protestacyi, połączony z pa-



ra syknieć, mimowoli wydanych przez jakiś mocniej sparzone usta), ale cóż robić? cóż robić? Stary Ignacy mój zachorował i sklecił już co mógł i potrafił! Wcale inny obiad, wcale inny dysponowałam mu wczoraj...

Szmer wśród publiczności:

— Ależ niepotrzebnie! doprawdy, niepotrzebnie! Generałowa dalej:

— Mielście, kochani Waćpaństwo, mieć dziś u mnie barszczyk z pulpetami..,

Publiczność szemrze:

— Ależ i bulion był bardzo dobry! doskonały!

Woryłło do Pawełka:

— Czy to był bulion? ja myślałem, że zupa z mu-  
chomorów!

Generałowa dalej:

— Po barszczyku dysponowałam sztukę mięsa z truflami...

Szmer wśród publiczności:

— Ależ i pieczone było dobre, bardzo dobre!

Tutunfowiczowie przesuwiają języki po oparzonych kartoflami wargach i wzdychają bardzo cicho:

— O trufle, trufle! trufle!

Generałowa dalej:

— Po sztuce mięsa miał być pasztet z jarząbków... z farszem... we francuzkiem cieście...

Publiczność milczy głucho. Widok pasztetu, przedstawiony jój wyobraźni, wprawia zmysły smaku i po-

wonienia w drażliwość gorączkową, prawie mówić niedozwalającą.

Młodszy Kniks nachyla się ku najstarszemu z Tutunfowiczów i szeptem bardzo cicho:

— Czy ta baba postanowiła nas zamęczyć?

Generałowa dalej:

— Zamiast kartofli dysponowałam krem jabłeczny z biszkoptami...

Publiczność szemrze:

— Nie lubię słodczy... słodczy są niezdrowe...

Pani Romania do siostry swój bardzo cicho:

— Przepadam za kremem jabłecznym...

Pani Sylwia głośno z pieśczośliwym uśmiechem:

— Przepadam za kartoflami w mundurach, babciunieczko!

Woryłło do Pawełka:

— Drwi z nas sobie baba, jak sama chce! noga moja tu więcéj nigdy nie postanie!

Pawełek do Woryłły:

— Pani Generałowa mówi zapewne prawdę. Dysponowała co innego, a co innego stary kucharz sporządził.

Woryłło do Pawełka:

— Dyabła tam! zawsze nas tak częstuje.

Delicya niesie szklankę z wodą do purpurowych usteczek. Białe ramię z-za gazowego skrzydła przesuwają się raz jeszcze przed oczyma hrabiego Cezarego. Hrabia Cezary wzdycha bardzo cicho.



Generałowa mówi znowu:

— Pan hrabia Pompaliński przebaczyć raczy, że go tak źle uczęstowałam... chi, chi, chil

Hrabia Cezary Pompaliński podnosi się na-pół z krzesła, kłania się i mówi z nadzwyczajnym zmieszaniem:

— I owszem... nic nie szkodzi... wszystko mi jedno... bardzo mi przyjemnie...

Przy ostatnim wyrazie wzrok jego, oszklony już lekką mgłą rozmarzenia, spływa znowu na zwinięte skrzydło sąsiadującego z nim anioła, i na białą, jak alabaster, tego skrzydła zawartość.

Generałowa szybko bardzo zrywa się ze swego krzesła, i wołając:

— Proszę państwa do salonu! proszę! proszę! — drobniutkim kroczkiem opuszcza jadalną salę.

Wielkie suwanie krzesłami, szelesty jedwabiów, ciche jęki zgłodniałych piersi, cichsze jeszcze szepty i ponowne trzęsienie się od chłodu, poczem panowie podają ramiona swe paniom, (hrabia Cezary bez najlżejszego już namysłu podaje ramię Delicyi) i, parami wszedłszy do bawialnego salonu, zatrzymują się na samym jego progu, rozłączają się, oddają sobie wzajemne ukłony, i rozsypują się w różne strony pustego, zimnego stepu.

Dla tak szczupłego pożywienia, były to może zbyt obszerne trochę ceremonie. Stało się jednak! Obiad był przesiedzianym, ceremonie poobiednie odbyte,

uroczystość cała zbliżała się ku końcowi. Wiedziano powszechnie, że generałowa nie lubiła, jeśli zbyt długo u niej przesiadywano, że zaś wola jój była dla całej najbliższej, a zebranój tu jój familii, świętą i nienaruszalną, myślano tedy tu i owdzie o odwrocie. Delicya tylko, bynajmniej nie wdając się w to, o czém inni myśleć mogli, z twarzą okrytą lekkim rumieńcem, opowiadała o czémś z wielkiem ożywieniem młodemu hrabiemu, obok niej siedzącemu. Generałowa rzucała w stronę młodój pary błyskające, szybkie wejrzzenia.

— Złapał się! — szepnęła do siedzącej tuż przy niej pani *Zulietty* — złapał się już gagatek swego stryjaczka w sidelka twego anioła! Bierz go teraz sobie, *Zulietto!* bierz! bierz! już ty to wiesz, jak zrobić...

— Pani *Zulietta* pochyliła się i rękę najdroższój cioci do ust swych przycisnęła.

— O! ciociu najdroższa! wdzięczność moja... — szeptała — dozgonna...

Zachichotała generałowa.

— Nie trzeba wdzięczności, nie trzeba! nie trzeba! tylko pamiętaj sobie, *Zulietto!* pamiętaj! jeżeli ten maryaż do skutku przyjdzie, Delicya będzie notowana w moim testamencie... zobaczysz, jak będzie notowana...

Pani *Zulietta* obie już ręce generałowój w miękkie dłonie swe pochwyciła.



— Tyle łask, najdroższa ciociu! tyle łask! jakże wypowiem...

Nie miała czasu wypowiedzieć, bo w tej chwili panowie Tutunfowiczowie zbliżali się ku kanapie, naciągając na zaczerwienione od zimna ręce liliowe rękawiczki, z szapoklakami, mocno do żeber przyciśniętemi.

Nastąpiły pożegnania, przed generałową składane, i żegnania się wzajemne gości. W godzinę niespełna po obiedzie, step generałowej pusty już był zupełnie, i głucho zalegało go milczenie, od chwili do chwili tylko przerywane ostremi, lub chrapliwemi wykrzykami, z sypialni generałowej do bawialnego pokoju dołatującymi.

W niewielkiej sypialnej komnacie panował już zmrok głęboki, rozświetlony tylko smukłym i mogotliwym płomykiem lampy, przed obrazami zawieszoną. Był to jedyny oświetlony kąt pokoju, dalsza głębia jego nurzała się w ciemniach, wśród których widać było posępny, nieruchomy profil Leokadyi, siedzącej u jednego z okien, u drugiego zaś wielką klatkę, kołyszącą się pod uderzeniami skrzydeł rozbudzonej ze snu papugi.

Twarz za to i postać generałowej, zwiniętej naksztalt kłębka w kącie kozetki, złotawo oświetloną była blaskiem palącej się u obrazów lampy. Na czole jej i wkoło ust widać było i falowało mnóstwo zmarszczek, żółte powieki drżały nad palącymi się zreni-

cami; lśnił i połyskiwał na szyi jój złoty łańcuch, a bransolety, okrywające ramiona, dzwoniły jak łańcuchy.

Wiodła ona jedną ze zwykłych swych rozmów z papugą. Obelgi, rzucane na ludzi, sypały się z ust jój z ostrym, przeciągłym chichotem; podchwytywał je ptak, powtarzał i piskliwemu śmiechowi swój pani wtorował długim, zanoszącym się śmiechem. Przez dobry kwadrans, wielka, wysoka komnata pełną była téj dzikiéj, ponuréj wrzawy i nic w niéj innego słychać nie było, jak lecące od kozetki do okna i od okna do kozetki wyrazy: „ludzie są głupi, głupi! obłudni! chciał podli!...” Nakoniec, niby ostatni akord piekielnéj jakiéjs muzyki, zabrzmiały, ciszej już przez generałową wymówione, wyrazy: — nędza na świecie, nędza! cichsza jeszcze odpowiedź papugi, która głośnym, przenikliwym szeptem powtórzyła: nędza! i, zwinąwszy skrzydła, opadła ze stukiem na zielone pręty swój klatki.

Na chwilę umilkło wszystko. Generałowa oddychała z razu bardzo prędko i dzwoniła wciąż bransoletami jak łańcuchami; potém pierś jój opadać zaczęła w oddechu coraz powolniejszym, głębszym, i ramiona nieruchomo na kolanach spoczęły. Wtedy złotawe błyski zwisającéj od sufitu lampy przeglądały się w źrenicy jój blado-błękitnéj, nieruchomo utkwionéj w wiszące naprzeciw obrazu. Długo milczała, zanurzona jakby w głębokiéj jakiéjs tajemnéj kontempla-



cyi, poczém, nie zmieniając kierunku wejrzenia, zawołała dość głośno i ostro:

— Czy panna tu jesteś?

— Jestem — odparł z głębi pokoju głos przyciszony nieco, z ciężko uciśniętej zda się piersi wychodzący, i ciemna postać, pod oknem siedząca, podniosła się z miejsca swego.

— Pójdź tu panna... bliżej... chcę z panną porozmawiać...

Leokadya przeszła zwolna przez pokój i, ze złożonymi na kolanach rękoma, usiadła na taborecie, w pobliżu kozetki stojącym. Teraz blask lampy ukazał i jój twarz bladą, z pochyloném czołem i spuszczone-mi powiekami, i srebrzył zmieszane z kruczemi siwe jój włosy.

— Niech panna podniesie oczy i spójrzy na te obrazy... — zaczęła generałowa, a głos jój daleko był mniej ostry i przenikliwy niż ten, jakim przemawiała zazwyczaj.

Leokadya, nakształ niewolnicy, przyzwyczajonój do machinalnego prawie spełniania udzielanych sobie rozkazów, podniosła powieki i suchy szklisty wzrok zwróciła we wskazanym kierunku.

Generałowa milczała. Po wązkich i drżących trochę jój ustach wił się dziwny jakiś uśmiech, jadowity i zarazem bolesny. Wyciągnęła nakoniec chudy żółty swój palec w stronę obrazów i mówić zaczęła:

— Niech panna dobrze tylko przypatrzy się temu obrazowi, co wisi po samym środku! jak tam wesoło być musi i ciepło w tym pokoiku, takim pełnym ludzi! pełnym! pełnym! prawda? co? czy panna tego nie czujesz, jak tam wesoło! czy panna nie słyszysz, jak tam ludzie rozmawiają i śmieją się, a na tym kominie ogień trzaska, a tam panienska pięknie na fortepianie przygrywa i dzieciaki tańczą, krzyczą, hałasują! Och! co to za gwar, co to za hałas i... tak tam zacisznie i bezpiecznie! za oknami wiatr wyje... śnieg wali, a oni sobie ani dbają... dobrze im! dobrze!... czy panna patrzysz na ten obraz?

— Patrzę pani! — szepnęła Leokadya. Patrzała w istocie na obraz sobie wskazywany. Przypatrywała mu się tak po raz setny może; wzrok jój przecież, pod wpływem generałowej, tkwił w nim zawsze jednostajnie nieprzepartą siłą.

Generałowa mówiła dalej.

— A czy panna wiesz, kto są ci ludzie, co tu na tym obrazku siedzą sobie przy kominie.., i uśmiechają się do siebie... wiesz panna?

Tu podniosła w górę palec, ten właśnie, na którym połyskiwał samotny ów pierścień ze łą brylantową i wymówiła zniżonym głosem:

— To mąż i żona! słyszy panna! mąż i żona!

Głos jój nie był już ani trochę piskliwym ni ostrym, można-by go było prędzej nazwać uroczystym.



— A czy panna wiesz, jak dawno ludzie ci żyją już z sobą... w tym pokoiku... O! dawno, dawno! dawno! on przyprowadził ją tu, kiedy był młodym i ona była jeszcze młodą... i płynęły potem dnie... płynęły... płynęły... razem... teraz śmierć do nich biegnie... ale niech panna przypatrzy się tylko, jak oni śmieją się sobie ze śmierci... cóż ona im zrobi? nie odbierze im tego, co było... co było... co było...

Mowa generałowej, coraz cichsza, skończyła się w szepcie zaledwie dosłyszalnym. Oczy jój były szeroko otwarte i miały znowu barwę prawie tak szafirową jak niegdyś; brwi podniesione nadawały twarzy całej wyraz zdumienia i głębokiej, przepaścistej zda się zadumy. Leokadya nie odrywała téż oczu od obrazu i zdawała się zapadać stopniowo w coraz rzewniejsze, miększe zamyślenie.

Generałowa przeniosła wzrok swój na inny obrazek.

— Niech panna teraz tam spójrzy... na prawo... w srebrnych ramkach ta dziewczyna, chodząca po łące... widzisz panna, jak tam słońce pięknie świeci... jasno! jasno! tam dalej gaj szumi... dziewczyna trzyma kwiaty w ręku i na gaj patrzy... czy ona czeka kogoś ztamtąd?... jakie u niój włosy ogromne, czarne... jakie oczy niewinne... wesole... jaka twarz świeża... jak róża... czy panna słyszysz, jak pod białym staniczkiem serce bije mocno... głośno... dobrze jój...

jasno... ciepło... wesoło... Przypatrz się panna dobrze  
tęj dziewczynie... i panna kiedyś taka byłaś i...

Tu głos jój zniżył się znowu do szeptu, zaledwie  
dosłyszalnego.

— I... — dodała — i ja kiedyś taką byłam...

Patrzała wciąż na wdzięczny obrazek migocącemi,  
szeroko otwartemi oczyma. Patrzała na niego także  
i Leokadya, a czarne źrenice jój, tak suche zwykle  
i obojętne, zaperliły się i błysnęły wielką łzą...

Pozostały tak obie w nieruchomych postawach —  
długo.

I był to dziwny duet, śpiewany przez dwa te serca  
kobiece, zbolełe, zgorzkniałe, przez dwie te dole zła-  
mane i sterane, duet żalów nieprzeplakanych, tęsknot,  
na najgłębszém dnie serca chowanych, podnoszący  
się ku wizerunkom tego, co w świecie i ludzkości pię-  
knością jest, świętością, miłością i szczęściem!

Nagle zwróciły się twarzami jedna ku drugiej  
i zatonęły w sobie oczyma. Ośm lat, ośm lat, dłu-  
gich jak wieki, przesiedziały tak razem w wielkim pu-  
stym domu, a za każdym razem, gdy dom ten napeł-  
niał się obcymi ludźmi, przegwarzyły tak długie zi-  
mowe wieczory przed obrazami, niby ołtarz, lampą  
oświetlonemi, i przemodliły się do nich tęsknotą i ża-  
lem. Leokadya młodszą była... serce jój więc ude-  
rzyło teraz żywiej, pierś wzdeła się, jak do modlitwy  
splotły się ręce, i nagłym, instynktowym niemal ru-



chem, porwawszy się z siedzenia, osunęła się ona na ziemię do stóp generałowej i zawołała:

— O pani! pani, gdybyś chciała! gdybyś tylko wyciągnęła ramiona swe do mnie, czy do kogo innego!.. Tyłu jest biednych, cierpiących na świecie, a tyś taka można... i jam taka smutna... a tyś tak samotna...

Generałowa ocknęła się z zamyślenia swego i drgnęła, niby pod palącym, raniącym dotknięciem.

— I ty także... i panna także!.. — zawołała zwykłym już sobie piskliwym głosem... — Przypadasz mi do kolan... chcesz mię całować w ręce... jak wszyscy... nigdyś dotąd nie robiła tego... miałam cię za lepszą... aleś taka sama, jak wszyscy... wszyscy ludzie tacy sami... precz!... precz!..

Leokadya powstała, wyprostowana, blada bardzo. Dłonią przyciskała serce, a usta jój, złożone w wyraz dumnej obrazy, drżały ostatniem, niestłumionem jeszcze łkaniem. Nic jednak nie odpowiedziała. Nie broniła się. A tylko z głębi piersi odetchnąwszy, stanęła przed generałową i zapytała:

— Czy pani potrzebuje mnie jeszcze!

— Niech panna idzie i siedzi tam pod oknem, dopóki jój nie zawołam. Proszę tylko z pokoju nie wychodzić, proszę! proszę!

Leokadya usiadła znowu na tém samym miejscu, gdzie siedziała wprzód. Wsparła czoło na dłoń, przyknęła oczy, bezmierne znużenie legło na bladój, nieruchomój jój twarzy; po chwili wydawać się mogło,

że usnęła. Przy drugim oknie spała téż nieruchoma w swój klatce papuga, i tylko w głębokim kącie pokoju, oświetlonym złotym promieniem lampy, szeleściły od chwili do chwili jedwabie, lub na gwałtownie poruszających się ramionach generałowej bransolety wydawały ciche lecz ostre dźwięki. Płynęły tak godziny; w sąsiednim wielkim salonie staroświecki zegar z kukawką wygłosił północ, a głos jego, doskonale naśladowujący wesołe wołania wiosennego ptaka, dwanaście razy rozległ się w wielkim, pustym, milczącym jak grób domu, i napełnił go przypomnieniem lata, słońca, zielonych gajów.

Po chwili konni posłańcy wyjeżdżali śpiesznie ze dworu, do pobliskich miast i miasteczek dążąc po lekarzy. Wiedziano powszechnie, że generałowa ulegała od czasu do czasu gwałtownym napadom tajemniczój jakiejś nerwowej choroby, podczas których życie jój nawet bywało w niebezpieczeństwie. Przytrafiało się to jój zwykle w pewne dni roku, — pamiątkowe dla niej może, i za każdym prawie razem, gdy przyjmowała u siebie liczniejsze cokolwiek zebranie gości. Lekarze, w wypadkach tych wezwani, namyślali się nad chorą, wstrząsali głowami, a zebrawszy się w sąsiednim pokoju na naradę, chorobę generałowej nazywali każdy inném imieniem. Na jedno tylko zgadzali się jednogłośnie:



— Organizacya to przeważnie nerwowa — mawiali... — umysł w najwyższym stopniu niespokojny, a może nawet pewnym patologicznym zboczeniem ulegający... parę jeszcze podobnych ataków a... wielka będzie radość pomiędzy sukcesorami!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

**Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42**











F

2554